

Z czarów i tajemnic przyrody.

Dla Czytelników „Gazety Grudziądzkiej”

opracował

Dr. J. Ulatowski



Rasa biała.

1. Hindus. 2. Feluch egipski. 3. Turek. 4. Bulgar. 5. Włoch. 6. Greczynka.
7. Hiszpan. 8. Rusin. 9. Holenderka. 10. Huculka. 11. Polka z pod Warszawy.
12. Polak. 13. Niemiec.



GRUDZIĄDZ.

Drukiem i nakładem Wiktora Kulerskiego.

1912.

Przedmowa.

Nie bardziej nie zaciekania człowieka, jak najrozmaitsze zjawiska w przyrodzie. Nieraz z zachwytem spoglądamy na niebo nocną porą roziskrzone gwiazdami, podziwiamy majestatyczny bieg księżyca po skłonie nieba wśród gwiazd rozlicznych, lubujemy się widokiem bujnej roślinności i precudnych kwiatów, przysłuchujemy się rozkosznym pniom ptaków, śledzimy żwawe ruchy rozmaitych stworzeń, odczuwając w duszy niezmierną wdzięczność dla Stwórcy za tyle pięknych i wspańiałych dzieł, otaczających nas zewsząd w przyrodzie.

Zaciekawia nas dobroczynne światło słońca, czyli wielkiej, ba olbrzymiej kuli ognistej, od której pobiera nasza ziemia oprócz światła także ciepło, potrzebne dla roślin i stworzeń. Nieobeznanych z istotą gwiazd, rozmieszczonych na kopule nieba, trwoży nieraz zjawianie się komet, wlokących długą świetlaną różgę za sobą.

Na ziemi samej rozmaite zjawiska przyrody ciągle pobudzają naszą ciekawość, jak np. zmiana pór roku, powstawanie prądów powietrza czyli wiatru, deszczu, śniegu, rosy, śronu, grzmotu i błyskawicy, gradu i jeszcze wiele, wiele innych zjawisk przyrody, które wyjaśnia nam nauka zwana fizyką. Nie mniej zajęcia budzi w nas ziemia sama, która jest siedliskiem naszym. W pokładach i warstwach jej nieraz głęboko ukrytych znajdują ludzie węgle kamienne, rudy, naftę (petroleum) i. t. d. O utwo-



824010

W. 34/
103

rzeniu i powstawaniu rozmaitych pokładów i warstw, gór, a nawet ziemi samej objaśnia nas geologia czyli nauka o ziemi.

Powierzchnię ziemi zdobi bujna roślinność; rosną tam rozmaite zioła, krzewy, drzewa, a piękność i barwność kwiatów i zapach ich miły nas orzeźwia i czaruje. Jest to królestwo roślin. Zajmuje się niem botanika czyli nauka o roślinach. Obok roślin istnieją też różne stworzenia: zwierzęta, ptaki, gady, owady i. t. d., ryby w morzach i rzekach, małże i. t. d. Jest to królestwo zwierząt. Zajmuje się niem zoologia czyli nauka o stworzeniach (zwierzętach).

A ile to ludzi o najrozmaitszym wyglądzie zaludnia ziemię, która jest naszym siedliskiem doczesnym? Ma ich być do 1600 milionów. Niejeden już słyszał np. o Chińczykach w Azji, a może już ich gdziekolwiek widział. Wyglądają oni trochę inaczej, aniżeli my; mamy bowiem skórę jasną, białą, a Chińczycy żółtą; jeszcze mniej są do nas podobni Murzyni w Afryce, skóra ich bowiem jest czarna. Natomiast jesteśmy dosyć podobni np. do Francuzów, Niemców, Czechów i. t. p., gdyż wszyscy mamymniej więcej skórę białą czyli należymy do ludów, zaliczanych do rasy czyli plemienia o skórze białej.

A ciekawa to rzecz poznać choć z opisu najrozmaitsze ludy i rasy, zamieszkujące różne części świata. Z ludów tych jedne są dzikie, drugie ucylizowane i kulturowe; są tam ludy myśliwskie, pasterskie lub rolnicze; jedne lubią pokój, inne są wojownicze i drapieżne, jeszcze inne oddają się wstretnemu ludożerstwu.

W niniejszym dziełku, którem rozpoczynamy szereg dalszych opracowań z dziedziny przyrody i jej zjawisk, podajemy opis ras czyli plemion ludzi wraz z pięknymi rycinami i obrazkami kolorowemi ku miłej a pożytecznej rozrywce naszych Czytelników.



I.

O rasach czyli plemionach ludzi.

Człowiek na ziemi.

Co do ciała i potrzeb życiowych, wogóle co do utrzymania życia nie odroźnia się człowiek niczem od zwierzęcia. Je i pije, trawi i oddycha jak zwierzę, i tak samo się porusza i odczuwa wszystko, jak np. chłód, zimno, ból i. t. d.

Jedno go jednak zasadniczo od zwierząt wyróżnia i wysoko ponad inne wynosi, i to dusza nieśmiertelna, oraz wysoki rozwój umysłu, który uczynił go panem wszystkiego stworzenia na ziemi. Wyrazem tego wysokiego rozwoju umysłu jest mowa, najwspanialsze narzędzie jego sił duchowych, które z swej strony daje człowiekowi popęd do dalszego ciągłego doskonalenia się.

Wiele innych stworzeń przewyższa człowieka siłą, zręcznością, szybkością ruchów, nadzwyczajną czułością zmysłów, lepszym ubezpieczeniem przed nagłymi zmianami ciepłoty, jednym słowem przed zimnem za pomocą szaty naturalnej, złożonej z pior lub sierści (upierzenie ptaków, futerka u zwierząt ssących); żadne jednak stworzenie nie posługuje się narzędziami, jak człowiek w celu obrony, przygotowania żywności, budowy mieszkań i. t. p.

Cechą też zewnętrzną człowieka, różniącą go od reszty stworzeń na ziemi, jest przedewszystkiem mowa, oraz posługiwanie się narzędziami.

W celu upolowania zwierząt oraz obrony przed drapieżnymi stworzeniami człowiek pierwotny z początku chwycił za kamień surowy, nieobrobiony. Później nauczył się go łupać i wyrabiać z kamiennych odłamów (krzemieni) noże, siekierki i groty do dzid i strzał, a potem jeszcze wydoskonalił swoje kamienne narzędzia sztuką gładzenia czyli polerowania. Wreszcie zaczął wyrabiać najrozmaitsze narzędzia z metalu i to z miedzi i brązu, a w końcu z żelaza i stali.

Ileż to w tylu latach od najdawniejszych czasów zdziałał człowiek, poczynawszy jużby od pierwszego odłamu krzemienego, którym odkrobywał mięso od kości upolowanego zwierzęcia, a kończąc na budowie złożonej nowoczesnych maszyn! Potęgą swego ducha wyzyskał człowiek siły przyrody i opanował całą ziemię.

O budowie ciała ludzkiego.

Wybitną cechą człowieka jest postawa stojąca na wyprostowanych w kolanach nogach. Ciało zaś człowieka składa się z odrębnych części z sobą połączonych, które nazywamy członkami. Takie odrębne części naszego ciała czyli członki są: głowa, oparta na szyi, szyja, złączona z tułowiem (kadłubem), dwie ręce, z obu stron kadłuba od góry zwieszona i dwie z dołu (tułowia) kadłuba wychodzące nogi, oraz i kadłub (tułów) sam. Od położenia tych siedmiu głównych członków zależy postać naszego ciała.

W każdym członku można odróżnić jeszcze osobne jego części, jak na przykład na głowie: nos, oczy, uszy, usta i. t. d., które są częściami czyli członkami głowy tak jak głowa jest częścią czyli członkiem całego ciała.

Członki są to części ciała, które z innymi, odpowiednimi częściami są zawsze niezmiennie połączone.

Co do członków ciała i ich części, to mamy na myśli tylko sposób ich połączenia z sobą, nie zwracając wcale uwagi na to, do czego służą. Natomiast wewnętrzne części ciała, jak np. płuca, serce, żołądek wątroba jelita, nerki i. t. d., które służą do pewnego celu i wykonują konieczne czynności, nie nazywamy członkami, lecz wewnętrznymi narządami (organami) ciała.

Narząd (organ) zatem jest to część ciała, służąca do pewnego celu.

Niektóra część ciała może jednak być zarazem i członkiem i narządem, jak na przykład noga jest członkiem ciała, o ile łączy się z tułowiem w dolnej jego części, ale jest też narządem zewnętrznym ciała, o ile służy nam do pewnego celu, to jest do chodzenia.

Na głowie odróżniamy następujące części: tył głowy, jej szczyt czyli ciemie i jej przód, zwany twarzą. Twarz składa się z następujących części: u góry jest czoło, z jego boków skronie i niżej połączone małżowiny uszu, pod czołem zaś znajdują się: oczy, nos, policzki, usta i podbródek.

U szyi rozróżnia się jej przód, zwany gardłem, i tył zwany karkiem.

U kadłuba tułowia czyli tył cały zwie się grzbietem, a gorna jego część plecami, przód zaś składa się w górnej części z piersi, a w dolnej z brzucha.

Ręce i nogi, zwane razem kończynami ciała, posiadają po trzy członki. I tak u ręki odróżniamy ramię, które sięga od kadłuba (tułowia) do łokcia, dalej przedramię idące od łokcia do dłoni, i w końcu dłoń sama z palcami, które również składają się z kilku członków.

Podobny skład członków jest też u nogi. Górna część nogi od tułowia (kadłuba) do kolana jest udem, pod kolaniem aż do kostek przy stopie znajduje się przedudzie z przednią stroną zwaną golenią, i z górną tylną i boczną zwaną łydką, a w końcu z przedudziem łączy się trzeci członk nogi: stopa z palcami, które też jeszcze składają się z kilku członków.

Ręka chwyla za pomocą dłoni przedmioty; palce bowiem dłoni obejmować je mogą łatwo i utrzymać z tej przyczyny, że możemy przeciwstawić wielki palec czyli ksiuk każdemu innemu palcowi.

U stopy wielki palec nie jest do tego zdolny. To też stopą prawie niemożliwe jest chwytanie przedmiotów. Stopa ma też inne dla nas przeznaczenie. Służy bowiem do opierania się, chodzenia, biegania i skakania.

Członki (kończyny) ciała ludzkiego są tak zestawione, że całe ciało wpodłuż od góry do dołu dzieli się na dwie połowy. Jednakowoż te dwie połowy nie są jednakowe; są one do siebie podobne tak jak np. przedmiot jaki do swego obrazu w zwierciadle. To też możemy zawsze odróżnić lewą i prawą połowę (stronę) ciała, a w końcu odpowiednie członki jak np. prawą i lewą rękę, nogę, dłoń i. t. d.

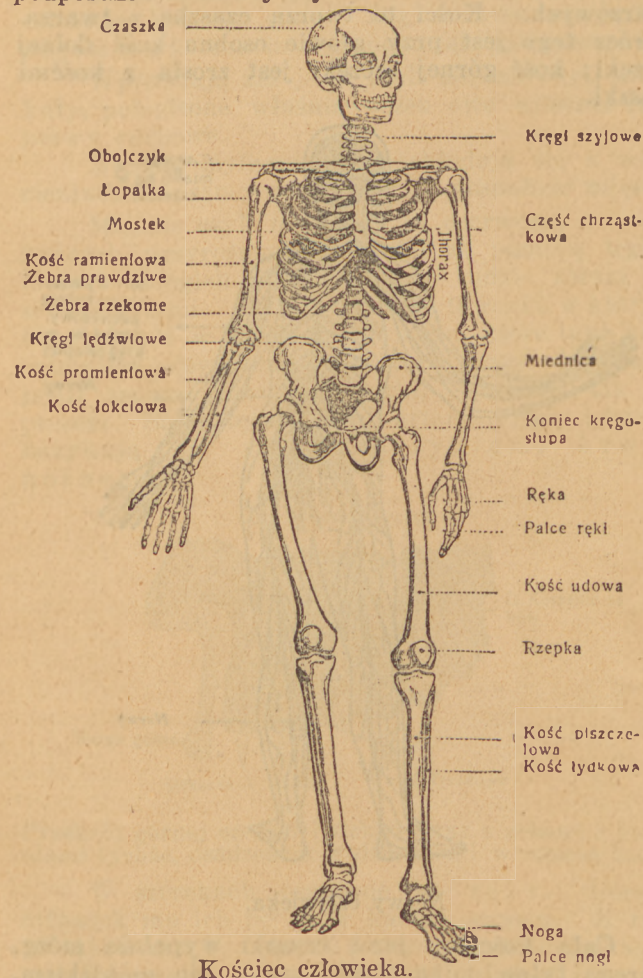
Taką budowę jakiegokolwiek ciała, w którym możemy rozróżnić dwa boki: lewy i prawy, oraz przód i tył, nazywamy dwustronnie symetryczną czyli grzbiecistą.

Ciało ludzkie jest zatem grzbieciste; dzieli się bowiem na dwie podobne do siebie połowy czyli boki.

Całe ciało ludzkie, złożone przeważnie z miękkich i wiotkich części, spoczywa na mocnej podporze, ukrytej wewnątrz ciała, jakoby na rusztowaniu. Kościste to rusztowanie stanowi szkielet czyli kościec, złożony z poszczególnych kości, połączonych z sobą w stawach, które powodują też ruchomość kości.

Główną podporą ciała jest słup kostny, ciągnący się przez całą długość tułowia. Słup ten, złożony z szeregu kości, kształtu pierścienia, czyli z kręgów, nazywa się kręgosłupem; wewnątrz niego ciągnie się długi kanał niby rura, wypełniona rdzeniem, i ma związek z mózgiem w głowie, osadzonej na karku, zbudowanym z 7 kręgów.

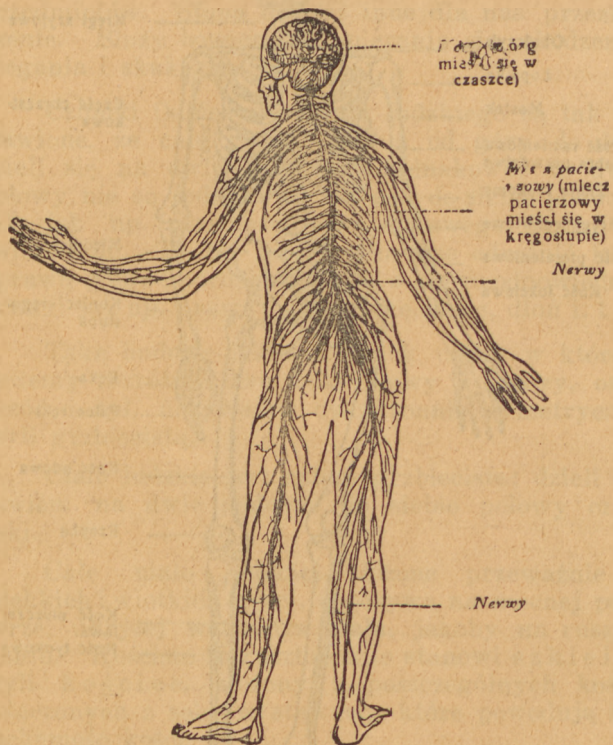
Z pewną częścią kręgów kadruba (tułowia) połączone są dłuższe kości stanowiące żebra, które są podporami ścian jamy kadruba, w której leżą



Kościec człowieka.

wnętrznosci (płuca, serce, żołądek, wątroba, jelita, nerki.) Część żeber zrosnięta jest z mostkiem, położonym w górnej części przodu kadruba.

Kanał kręgosłupa, wypełniony rdzeniem (mleczem) łączy się bezpośrednio z mózgowiem w czaszce kulistej, złożonej z kości czaszkowych i twarzowych. Kości te tworzą czaszkę z twarzą. Oprócz tego jest przy głowie osobna kość dolnej szczęki; kość górnej szczęki jest zrosła z kośćmi czaszki.



Nerwy człowieka.

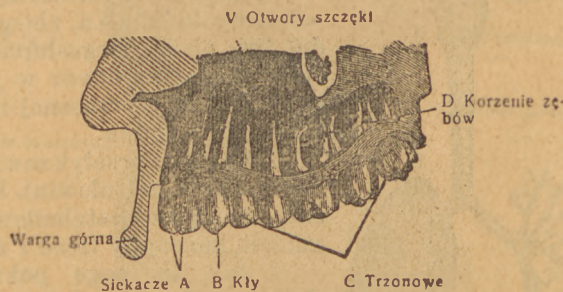
Całą kościstą jamę czaszki wypełnia mózg, którego tylna dolna część nazywa się mózdzkiem. Mózg i mózdzek pozostają w związku z rdzeniem pacierzowym, który wypełnia kanał czyli rurę kostną kręgosłupa.

Z mózgu i rdzenia pacierzowego rozchodzą się po całym ciele niteczki, nerwy; jedne z nich służą do odczuwania, drugie zaś wpływają na ruchy członków i całego ciała. Bez nerwów nie byłoby zmysłu dotyku (czucia), ani ruchu rąk, palcy, nóg i. t. d.

Wprawiają zaś je w ruch mięśnie czyli muskuly, pobudzone właśnie przez owe niteczki czyli nerwy ruchowe.

Mięśnie czyli muskuly składają się z wielu cieniutkich pasm; nazywamy je pospolicie mięsem.

Mięśnie czyli muskuly są czerwone, a w obu końcach przyrośnięte do kości za pomocą tęgich, białych ścięgien. Nazywają je ludzie nieraz fałszywie żyłami. Żyły bowiem są to rurki, w których krew płynie w kierunku do serca, które inną krew jaśniejszą odświeżoną w płucach przez oddychanie, pędzi znowu przez inne rurki, obdarzone tak zw. pulsem. Są to tętnice czyli arterye. Żyły i tętnice nazywają się razem naczyniami krwionośnymi.



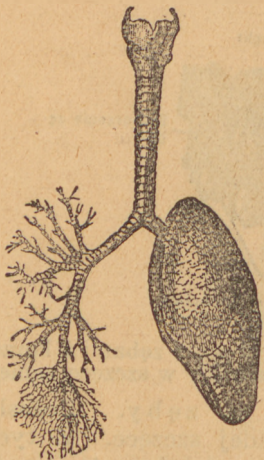
Przekrój górnej szczęki ludzkiej wraz z zębami i korzeniami tychże, osadzonemi w dziąsłach i w szczęce samej.

W szczękach osadzone są zęby. Dorosły człowiek ma ich po 16 w każdej szczęce. Z tych 16 zębów ma 10 tylnych koronę sęczkowatą; są to zęby trzonowe. Przed nimi stoi z jednej i drugiej strony stożkowaty kieł, a na przodzie cztery dłutkowate siekacze. W każdej zatem szczęce dorosłego człowieka jest 10 zębów trzonowych, 2 kły i 4 sie-

kacze, a w obu szczękach razem jest 20 zębów trzonowych, 4 kły i 8 siekaczy. Razem więc wszystkich zębów posiada człowiek dorosły 32.

Zęby tkwią w dziąsłach i dochodzą korzeniami do odpowiednich zagłębień szczęki. Do spodu korzeni wchodzą nerwy i naczynia krwionośne.

Obie szczęki zamykają jamę ustną. Od góry ogranicza ją podniebienie, z boków policzki, od spodu i tyłu leży język. Za nasadą języka znajduje się gardziel; w górnej części tejże jest otwór idący do nosa. Do gardzieli zatem prowadzą dwie drogi: jedna przez nos, druga przez usta. W górnej części szyi gardziel rozdziela się na dwie rury to jest na tchawicę i na przełyk. W górnej części tchawicy znajduje się głośnia do wydawania głosu. Tchawica w jamie piersiowej (w górnej jamie tułowia) rozwidła się na dwie rurki, zwane oskrzelami; jedna z nich prowadzi do lewych płuc, a druga do prawych płuc. Tchawicą dostaje się powietrze do płuc.



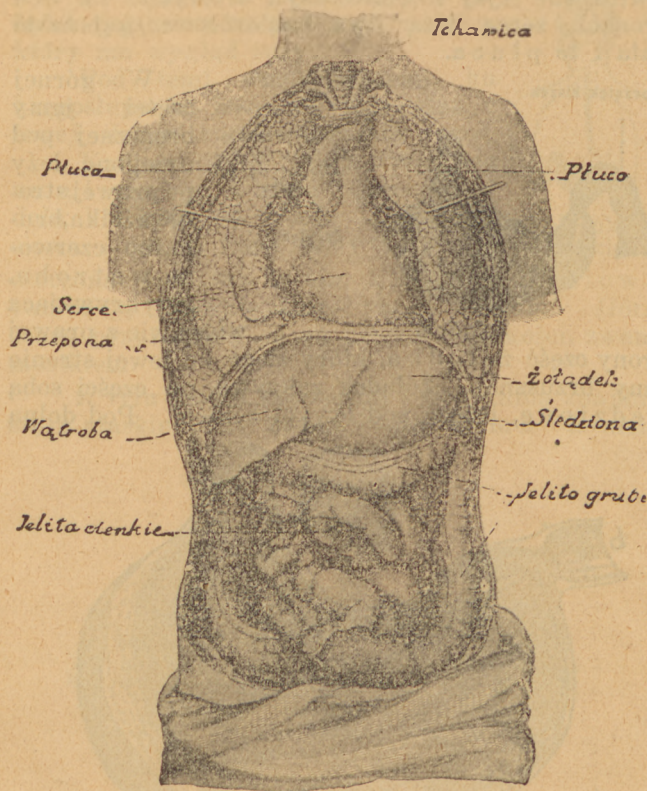
Płuco lewe z tchawicą i oskrzelami. (Prawe płuco usunięte, by uwi-
docznić zakończenia oskrzeli).

Przełyk, którym dostają się pokarmy do żołądka, zbiega na dół tuż obok kręgosłupa, dostaje się przez otwór w przeponie do jamy brzusznej i prowadzi do żołądka.

Tchawica i przełyk zawiodły nas do klatki (tułowia), który całkiem inaczej jest budowany, aniżeli kończyny (ręce i nogi). I tak np. nogę pokrywa skóra, pod którą leży mniej lub więcej tłuszczu. Pod nim są liczne mięśnie, przyłączone za pomocą ścięgien do kości. Wśród mięśni i pod skórą przebiegają naczynia krwionośne i nerwy.

W udzie znajduje się jedna tylko kość, w podudziu są dwie kości: goleniowa (piszczel) i

łydkowa, stopa zaś z palcami składa się z licznych kości. Na kolanie znajduje się mała osobna kostka, zwana jabłkiem lub rzepką. Podobnie jak noga, złożona jest i ręka ludzka. W ramieniu ręki jest jedna kość, w przedramieniu (łokciu) są dwie kości, a w dłoni z palcami jest ich wiele.



Wnętrznosci.

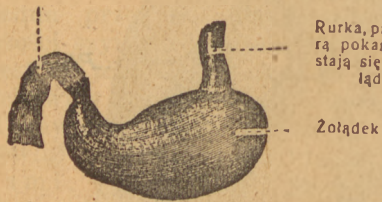
Z klatką (tułowiem) ma się sprawa inaczej. Otóż pod skórą i mięśniami znajdują się w klatce (tułowiu) dwie wielkie jamy: od góry jama piersiowa, a od dołu jama brzuszna. Obie jamy

oddziela przepona, utkana z tęgich pasm mięśniowych.

W obu tych jamach znajdują się różne wewnętrzne narządy (organy).

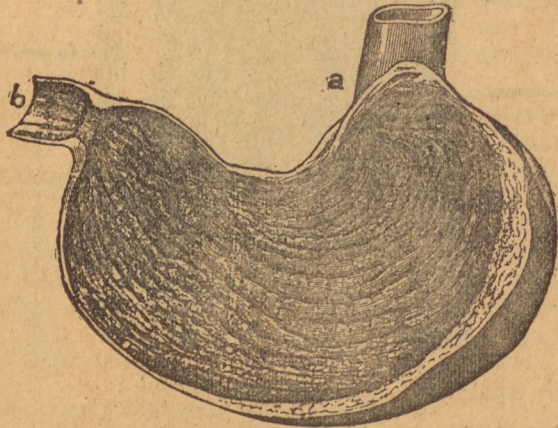
W jamie piersiowej leży na przodzie serce, z którego rozechodzą się po całym ciele naczynia krwionośne (żyły i tętnice czyli arterye.) Po obu stronach serca leżą dwa białoróżowe, gąbczaste ciała i to płuca.

Początek klazek



Żołądek.

W górnej części jamy brzusznej pod przeponą leży po prawej stronie wielka, brunatno-czerwona wątroba, przykrywająca właściwie z prawej strony część żołądka, który sięga ku lewej stronie jamy brzusznej. Żołądek zakrywa po części sobą śledzionę, leżącą pod lewym bokiem. Pod dolną



Wnętrze żołądka.

częścią żołądka kryje się podługowata trzustka, której wydzieliny potrzebne są do strawienia ży-

wienia, poprzednio już przerobionego w żołądku, który ma pewne podobieństwo do torby. Żołądek jest połączony w dalszym ciągu z jelitami cienkimi, a te z kiszka grubą, która kończy się odbytnicą do wydzielenia kału. W jelitach pochłania ciało pożywne części, zawieszone w strawionym pokarmie.

Z ustami i gardzielią jest żołądek połączony za pomocą przełyku, który ma wygląd rury.

Pod temi wnętrznościami, ku kręgosłupowi, leżą nerki, jedna z lewej, druga z prawej strony tegoż.

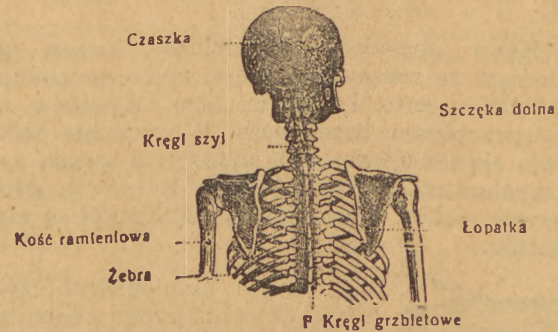
Kadłub (tułów) cały spoczywa na miednicy, z którą łączą się od dołu kości udowe. Cała jama piersiowa i górna część jamy brzusznej przelykiem.

otoczona jest tak zwaną klatką piersiową; tworzą ją łukowate kości, zwane żebrami. Górne żebra przyrośnięte są na piersiach do kości, zwanej mostkiem.

Z tyłu klatki piersiowej koło ramion znajdują się 2 płaskie kości, zwane łopatkami. Z niemi



Żołądek z przełykiem.



Klatka piersiowa z tyłu.

łączą się za pomocą stawów kości ramion. Obojczyki są to dwie cienkie kości, które łączą ze sobą łopatki i mostek.

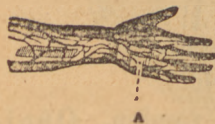
Całą powierzchnię ciała pokrywa skóra, która się składa z wierzchniego naskórka i właściwej

skóry. Skórę porastają mniej lub więcej obficie włosy, rosnące najbujniej na głowie. Każdy włos tkwi korzeniem, podobnym do cebulki, głęboko w skórze.

Wewnętrzne jamy ciała i wewnętrzne narządy powleka cienka, różowa skórka; jeśli jest śluzowata, to nazywamy ją błoną śluzową, jaka się znajduje w ustach, gardle, nosie i. t. d.

Najważniejszą cieczą ciała ludzkiego jest krew. Składa się ciecz ta czerwona z bezbarwnego płynu, zwanego osoczem (surowicą) i z małych, czerwonych, gołym okiem niewidzialnych krążków, zwanych ciałkami krwi. Małe ciałka krwi, widzialne tylko przy pewnym powiększeniu za pomocą mikroskopu, są zawieszzone w owej cieczy bezbarwnej i nadają jej barwę czerwoną. Każdy pokarm, skoro został strawiony, dostaje się do krwi, która go roznosi po całym ciele. Również tlen pochłonięty w płucach z powietrza wdychanego, a potrzebny dla wszystkich części ciała, dostaje się wszędzie każdej cząstce ciała za pośrednictwem krwi.

Krew powoduje wydzielanie kwasu (gazu) węglanego ze wszystkich części ciała; powoduje też wydzielanie potu i moczu, jako odpadków ciała. Krew przepływa przez serce i przez nie pędzona, dostaje się do tętnic czyli arteryi, a wraca żyłami z powrotem do serca. Ściany tętnic są grube i sprężyste, iakby kauczukowe, ściany żył są cienkie i wiotkie.



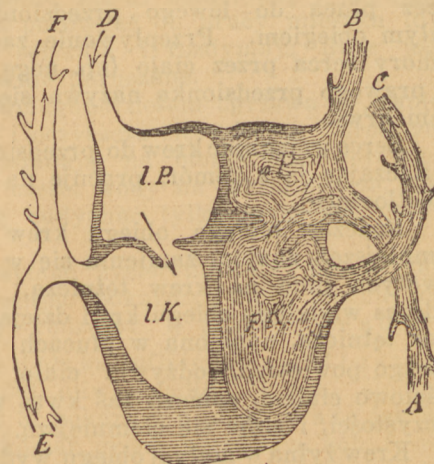
Wierzch ręki

A. Żyły na ręce, odprowadzające krew ciemną (żylną) do serca.

Końce najcieńszych żyłek i tętniczek są połączone z sobą siatką tak cieniutkich rurek, że je nazwano rurkami włoskowatymi. Są one wszędzie w każdym miejscu ciała. Kropla krwi, jaka po ukłucie szpilką wypływa z ciała, zwykle pochodzi z owych rurek włoskowatych.

Serce stanowi jedyny worek, utkany z tęgich mięśni i przedzielony ścianką szczelną na dwie połówki. W każdej z nich jest u góry przedsionek, a na dole komora. W ściance pomiędzy przedsionkiem a komorą, pod nią leżąca, jest otwór zamknięty przez zastawkę (kłapę) która może otwierać się tylko z góry na dół.

Serce zatem składa się z dwu połówek; prawa połówka z swoim przedsionkiem i komorą wypeł-



Serce.

ona jest krwią żylną, która ma barwę ciemnoczerwoną od rozpuszczonego w niej kwasu (gazu) węglanego. Lewa zaś połówka serca z swoim przedsionkiem i komorą posiada krew tętniczą, jasnoczerwoną z powodu zawartości tlenu.

Skoro krew napłynie z ciała przez krwionośne naczynia do obu przedsionków i je wypełni, to oba przedsionki równocześnie się kurczą i wypychają krew przez otwarte zastawki do komór. Gdy zaś komory obie napełniły się krwią, to zastawki zamykają się i obie komory kurczą się równocześnie. Krew zaś, mając zamkniętą drogę do przedsionków, zostaje z obu komór wskutek skurczu tychże wypełniona w krwionośne naczynia na zewnątrz serca. Krew z prawej komory przepływa przez płuca, a z lewej komory przez ciało i dostaje się znów do odpowiednich przedsionków, które tymczasem się

rozszerzyły. To bezustanne kolejne kurczenie i rozszerzanie się serca nazywany biciem serca.

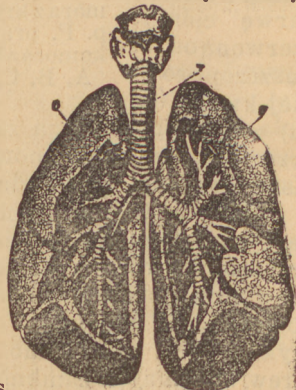
Przepływanie krwi z prawej komory serca przez płuca do lewego przedsionka nazywa się małym obiegiem. Przepływanie zaś krwi z lewej komory serca przez ciało (np. nogę, palce i. t. p.) do prawego przedsionka nazywa się wielkim obiegiem krwi.

Serce wciągając krew do przedsionków, a potem wytłaczając ją z komór, pracuje na podobę pompy ssącołoczającej.

Podczas małego obiegu krew żylna, barwy ciemniejszej, zużyta, zamienia się w rurkach włoskowatych płuc na krew tętniczą, jasnoczerwoną. Podczas wielkiego obiegu krwi dzieje się odwrotnie: krew tętniczą, napojoną w płucach tlenem z wdychanego powietrza, odżywia ciało czyli staje się częściowo ciałem, zabiera zaś kwas węglowy i inne nieczystości, i staje się ciemniejszą.

Krew żylna w małym obiegu wydziela w płucach kwas (gaz) węglany, pochłania tlen z wdychanego powietrza i staje się przez to jasno-czerwoną krwią tętniczą. W wielkim obiegu krew tętniczą dochodzi do wszystkich części ciała i oddaje im tlen, a zabiera im kwas (gaz) węglany; wskutek tego staje się krew tętniczą ciemnozabarwioną, zamienia się więc na żylną, która odprowadza kwas węglany za pośrednictwem serca do płuc celem wydzielenia kwasu (gazu) węglanego, a odżywnia się znowu tlenem.

Z płuc wydychamy kwas (gaz) węglany, który w większej ilości dusi stworzenia żyjące. Świeże powietrze, zawierające tlen, potrzebny do palenia, a tu do odświeżania krwi, dostaje się do płuc za



pomocą opadania i rozszerzania się całej klatki piersiowej, zbudowanej z żeber, oraz za pomocą poruszania się przepony, która do płuc od dołu przylega. Działanie klatki piersiowej i przepony brzusznej można porównać do pracy mieszka (dymaczki), który ściska i rozdmyna dwie jego deszczułki stósownie poruszane.

Powietrze wciągane nosem ogrzewa się, zanim dojdzie do płuc, i oczyszcza się z kurzu i drobnych pyłków, które osiadają na błonie śluzowej nosa, tak jak brudne części wody na jakim filtrze. To też powinno się oddychać tylko przez nos, a nie przez usta.

Ażby utrzymać życie, musimy nasze ciało odżywiać, przyjmując pokarmy, które można rozdzielić na trzy rodzaje: 1) pokarmy mączne, pochodzące np. ze zbóż i kartofli i cukru; 2) tłuszcze jak np. masło, olej, oliwa, sadło, okrasa, słonina, smalec, i. t. d. i 3) pokarmy białkowe jak np. mięso, jaja, mleko, ser, groch, soczewica, bób, fasola czyli szablak i. t. d. Wymienić też należy w końcu dojrzały owoc i warzywo, wpływające doskonale na trawienie i na utrzymanie zdrowia.

Usta i jama ustna są przeznaczone do pobierania pokarmów, które pożute za pomocą zębów, osadzonych w szczękach, i zmieszane z śliną, wydzielaną z odpowiednich gruczołów, dostają się przez gardziel i przełyk do żołądka. Dolny jego koniec otwiera się do jelit. Górny i dolny koniec żołądka podczas trawienia jest zamknięty przez skurczenie się mięśni, otaczających w kształcie pierścienia oba końce żołądka. To też póki żołądek trawi, póty pokarm nie może wyjść z żołądka.

Ściany żołądka wysłane są gruczołami, które wydzielają sok, rozpuszczający szczególnie pokarmy białkowe, jako to mięso, jaja i. t. d. Skoro pokarm w żołądku zamieni się na papkę, otwór wiodący do jelita cienkiego czyli dwunastnicy, roztwiera się i papka, powstała z pokarmów, miesza się tam z żółcią, pochodzącą z wątroby, oraz z

sokiem, wydzielanym przez trzustkę. Żółć, która na zapas zbiera się w pęcherzyku żółciowym, działa rozpuszczająco na wszystkie wogóle pokarmy.

W dwunastnicy strawiony pokarm wygląda jak mózdek rozbity w wodzie, ma wygląd białawy i nazywa się mleczkiem. Mleczko płynie powoli dalej przez jelita, które niezależnie od naszej woli kurczą się i posuwają mleczko coraz dalej; niestrawione resztki pokarmów dostają się przez ruch, tak zw. robaczkowy jelit, do kiszki grubej i zostają w postaci kału wydalone na zewnątrz. Ściany jelit są kosmate; wyglądają tak, jak aksamit, a ich włoski, tak zwane kosmki, wysysają z mleczka wszystko, co się z pokarmu podczas trawienia w żołądku i w przedniej części jelit czyli w dwunastnicy rozpuściło. Wessany pokarm rozpuszczony płynie jak otaczające go limfy (osobne naczyniami (rurkami) do żył, gdzie miesza się z krwią, płynąca do serca. Limfa ta wzbogaca krew w części potrzebne do utrzymania życia, do rośnięcia, tycia i. t. d.; staje się więc sama w końcu krwią.

Krew podczas swego obiegu częściowo zamienia się na mięso czyli ciało, częściowo zabiera zużyte cząstki ciała, które muszą być usunięte. Dzieje się to za pomocą skóry i nerek. Ze skóry wydziela się ciągle pot i wyziewy. Nerki zaś, przez które przechodzi część krwi, wydzielają z niej zużyte i szkodliwe części w postaci moczu.

Mocz wydzielony w nerkach sływa dwiema rurkami — jedną rurką z każdej nerki — do pęcherza moczowego.

Kuchy naszego ciała są zależne od nerwów, które pobudzają nasze mięśnie do kurczenia się. Są jednak w naszym ciele jeszcze inne nerwy, za pomocą których czujemy. Nerwy te dochodzą do organów czyli narządów zmysłów. Narządami zmysłów są: 1) skóra, 2) oko, 3) ucho ukryte w czaszce, 4) jama nosa poczęści ukryta wewnątrz głowy, i w końcu 5) język. Posiadamy zatem pięć zmysłów: dotykanie, wzrok, słuch, powonienie i smak.

O rasach ludzi.

Według najnowszych obliczeń ma być na ziemi do 1600 milionów ludzi. Jedne okolice są bardzo gęsto zaludnione, drugie zaś tak słabo, że są prawie bezludne.

Pierwotną ojczyzną człowieka, z której z biegiem czasu wywędrował i zaludnił wszystkie zakątki ziemi, był raj, o którym pismośw. wspomina. Ale gdzie ten raj był, tego nikt dobrze niewie. Zdaje się jednak, że ojczyzna ta, kolebka pierwotna ludzkości, istniała gdzieś na jednym z wielkich lądów, jakie dotykają morza Śroziemnego, lub też zapadła się pod morze.

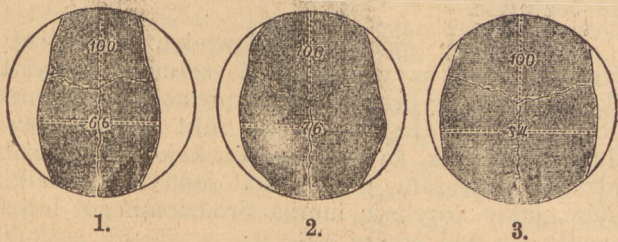
Ogólnie uważa się Azję jako kolebkę, pierwotną ojczyznę człowieka. Zapatrywanie to jest jednak tylko przypuszczeniem.

Człowiek różni się duszą, rozumem i wolną wolą od zwierząt; jednakowoż ciałem swoim jest do nich z wielu względów podobny. Wszyscy ludzie mają jednakowe złozenie ciała: te same członki i takie same wewnętrzne narządy czyli organa. Jednakowoż różnią się ludzie między sobą przede wszystkim barwą skóry, kształtem głowy (czaszki) i postacią włosów.

Panuje zatem wśród ludzi, z których składają się ludy i narody, wielka różnorodność pod tym względem. Jedne mają skórę białą, jak my, drudzy mają czarną skórę, jak murzyni, inni zabarwioną czekoladowo, czerwoną, przypominającą kolor miedzi, jeszcze inne mają żółtą skórę, jak np. Chińczycy lub Kałmucy.

Również kształt głowy jest u ludzi rozmaity. Jedni mają czaszki krótkie a szerokie, czyli kuliste, drudzy zaś długie a wąskie czyli jajowate. Jeśli długość czaszki wyrazimy linią, podzieloną na równych 100 części, to u czaszek krótkich (kulistych) szerokość wyniesie 80—98 części, a u długich (jajowatych) tylko 58—75 części tejże linii. Oprócz tego istnieją też czaszki, których szerokość wynosi 75—80 części tejże linii. Czaszki te nazywamy

średniodługimi. Oprócz tych różnic u ludzi istnieją jeszcze następujące: zabarwienie i rodzaj włosów na głowie, zabarwienie tęczówki w oku, długość albo szerokość oblicza, skośność oczu, — i wreszcie rodzaj mowy czyli język.



Czaszki ludzkie.

1. Czaszka długa (jajowata wązka.)
2. Czaszka średnio-długa (przejście do krótkiej).
3. Czaszka krótka (kulista szeroka.)

Stosownie do tych różnic podzielono ród ludzki na rasy i plemiona. Głównie uwzględniono przy tem zabarwienie skóry i odróżniono 5 ras czyli plemion:

1) R a s a i n d o - e u r o p e j s k a (kaukazka), zwana też inaczej rasą białą, do której my też należymy, poznaje się po głowie owalnej, dużym czole i oczach poziomych; policzki ludzi tego plemienia nie są wystające, a skóra jest, jak się to mówi: biała, w rzeczywistości jednak nieraz mniej lub więcej śniada, a nawet chociaż rzadziej także brunatna (bronzowana.) Do białej rasy należą Europejczycy z wyjątkiem Kałmuków nad Wołgą, Hindusi w Indjach Wschodnich, ludność w Ameryce i Australii pochodzenia europejskiego, Arabowie w Azji i Afryce, Berbrowie i Marokańczycy w półn. Afryce, Abisyńczycy w Afryce, ludy kaukazkie, dalej Armeńczycy, Persowie, Afganiec w Azji i. t. d. Niektórzy zaliczają do tej rasy także pierwotną ludność Japonii, nazwiskiem Aino, której szczątki przebywają jeszcze w północnej Japonii na wyspie Jeso. — U rasy białej są czaszki długie, krótkie i średniodługie.

Rasa biała dzieli się na 3 szczepy: 1) Aryjski, 2) Semicki i 3) Chamicki. Aryjczyków (Słowianie, Germanie, Romanie i. t. d.), jest około 800 milionów, Semitów (Arabowie, żydzi i. t. d.) około 30 milionów, a Chamitów (Bербrowie, Marokańczycy i. t. d.) do 20 milionów.

Przejście do następnej rasy żółtej czyli mongolskiej stanowią ludy turańskie czyli ural-altajskie w Azji i w wschodniej Europie, dzielące się na grupę północną z Finami, Laponami, Estonami czyli Czuchnami, Ostiakami, Permiakami, Czuwaszami, Mordwinami i Czeremisami koło Moskwy, oraz z Samojedami, i na grupę południową z ludami tureckimi, jakoto z Kirgizami, Uzbekami, Turkmenami, Osmanami czyli Turkami i Jakutami w północno-wschodnim Sybirze. Ludy tureckie nazywają się też Ugrami, do których należą też Węgrzy-Madziary, przybyli w r. 895 z nad Wołgi do teraźniejszych Węgier nad Dunaj. Ścisłe się zapatrując, należy według najnowszych badań uważać Węgrów-Madziarów za Ostiaków, którzy sąsiadując w swej pierwotnej ojezynie za Wołgą z ludami tureckimi czyli ugryjskimi, prawdopodobnie z Kirgizami, ulegli prawie całemu sturzeniu. Do ludów turańskich czyli ural-altajskich należą też Tatarzy; nazwę tę nadawano przedewszystkiem ludom tureckim (ugryjskim), które urządziły nieraz dawniej wyprawy wojenne i napady zbójckie na Polskę, a Rosyan zamieszkujących dawniejsze carstwo moskiewskie, trzymały w niewoli prawie 300 lat.

Szczep turański czyli ural-altajski (Tatarzy, Turcy, Kirgizi i. t. d.) liczy do 20 milionów głów. Czaszki tego szczepu na ogół krótkie (kuliste.)

2) R a s a m o n g o l s k a albo żółta ma twarz spłaszczoną, czoło niezbyt wysokie, oczy jakoby skośne, kości policzkowe wystające i skórę żółtawą. Twarze u tego plemienia są zwykle szerokie, a czaszki krótkie czyli kuliste. Zabarwienie skóry dochodzić może do koloru brunatnego. Włosy

na głowie są czarne i twarde, zarost u mężczyzn słaby.

Do rasy tej należą Kałmucy w Europie i Azji; inne narody rasy tej zamieszkują prawie wyłącznie Azję, jako to Burjaci w Sybirze, Kameczadale na Kameczatce, Tunguzi w wschodnim Sybirze, Tybetanie, Chińczycy, Giljaci w Sybirze, Koreańczycy na półwyspie Korea, Mongołowie w Azji środkowej i północnej i. t. d., a na północy dalekiej w Ameryce Eskimosi.



Rasa żółta zamieszkuje Azję przeważnie. Liczy zaś przeszło 500 milionów głów.

Do rasy mongolskiej, a przynajmniej do plemienia, bardzo zbliżonego do Mongołów (mongoloidy), zaliczają niektórzy ludy pierwotne zamieszkujące północną środkową i południową Amerykę pod nazwą Indyan.

Mają oni pewne cechy wspólne z plemieniem mongolskim. Różnią się jednak od niego jak np. zabarwieniem skóry, która jest miedzianego koloru; to też wielu uważa pierwotne ludy amerykańskie jako plemię osobne; ludy te z powodu miedzianego zabarwienia skóry nazwano „czerwonoskórcami.“

3) Raza amerykańska czerwonoskórców czyli Indyan zaludnia cały ląd amerykański. Barwa skóry jest czerwonobrunatna lub oliwkowobrunatna. Czaszki tych plemion są krótkie (kuliste), kości policzkowe wystające, a włos na głowie czarny i twardy, bujnie rosnący, nos zaś wydatniejszy, niż u Mongołów, często postaci „orlej.“

Do tej rasy należą wszystkie ludy pierwotne zamieszkujące północną, środkową i południową Amerykę.

Nazwę Indyan nadał krajowcom Kolumb, który przybywszy w r. 1492 do Ameryki, sądził, iż dotarł do Indyi Wschodnich, leżących w Azji.

Ludność pierwotna Ameryki rozpada się na wiele szepców, których języki bardzo się różnią między sobą. Na ogół jednak tem się odznaczają, że wszystkie poszczególne wyrażenia (słowa) w zdaniu są z sobą pozlepiane i tworzą jeden długi wyraz.

Indyanie amerykańscy należą przeważnie do ludów myśliwskich, jak np. szepcy Indyan Tlinkity, Nutka, Tine, Algonkin, Irokezy, Hurony, Dakota z przewiskiem Siux, Czerokezy, Apacze, Szoszony, i wiele, wiele innych w północnej Ameryce, a w południowej: Karaibowie, Botokudzi, Tupi, Gezy, Araukanie, Patagończycy czyli Tehuelcze, Peszere i. t. d.

Niektóre tylko ludy amerykańskie wytworzyły pewną kulturę i cywilizację rodzimą w środkowej i południowej Ameryce, którą zniszczyli Hiszpanie. Takimi ludami byli w Meksyku Tolteki i Azteki, a w południowej Ameryce lud Czipcza w Bogoto i Keczły (Kiczua) oraz Junka w Peru. Ludy te miały osady, wsie i miasta, zajmowały się rolnictwem, znały rzemiosła, budownictwo i handel.

Indyanie amerykańscy częściowo wymarli; częściowo są na wymarciu. Obecnie jest ich do 10 milionów

Z rasą żółtą czyli mongolską łączy się też z wielu względów

4) Raza malajska, którą wielu zalicza wprost do rasy żółtej czyli mongolskiej z mniejszą lub większą domieszką właściwości innych ras, jako to murzyńskiej.

Ludy rasy malajskiej mają skórę barwy żółtej, kawowej, czekoladowej, brunatnej i w końcu prawie ciemnej. Włosy na głowie są u nich podobne jak u Mongołów i Indyan amerykańskich czarne i twarde, proste, podobne do włosa końskiego. Budowa czaszki jest różnaita: spotyka się długie (jajowate), krótkie (kuliste) i średniodługie czaszki.

Do rasy tej należą: 1) właściwi Malajczycy, 2) Polinezyjczycy, 3) Mikronezyjczycy i 4) prawie czarni Melanezyjczycy, którzy stanowią przejście do murzynów. Ludy malajskie i polinezyjskie zamieszkują głównie wyspy na morzu Spokojnem w sąsiedztwie Australii. Są to ludy po większej części żeglarskie.

Rasa malajska liczy do 40 milionów głów.

W pewnym związku z tą rasą stoja niektóre pierwotne ludy australskie o ile są mieszańcami plemienia malajskiego z murzynami Papua lub z jakim innym szczepem murzyńskim, którego szczątki zachowały się na kilku wyspach w północnej stronie Australii.

5. Rasa murzyńska albo czarna dzieli się na grupę afrykańską i azyatycko-australską; dolną część twarzy ma wysuniętą naprzód, czoło niskie i w tył podane, wargi grube i skórę w różnych odcieniach czarniawą a nosy szerokie, grube i mięsiste.



Murzyn afrykański.

Murzyni afrykańscy i rosla odmiana murzynów azyatyckich, tak zwani Papua, mają czaszki długie i wąskie (jajowate). Natomiast azyatyccy murzyni niskiego wzrostu, tak zwani Negrito, Nigrillo (t. j. murzynkowie) mają czaszki krótkie a szerokie (kuliste). Włos na głowie murzynów afrykańskich i azyatyckich Negritow (murzynków) jest krótki, kędzierzawy, podobny do wełny owczej. Ma wygląd wełniasty. U murzynów zaś azyatyckich Papua wyrastają włosy w zbite i bujne kędziory, połączone z sobą na podobę pilśni lub pakuł, tworząc olbrzymią, gęstą szopę włosów na głowie murzyna.

Do rasy czarnej należą murzyni z Afryki, mieszkańcy pierwotni Australii oraz niektórych wysp Wielkiego Oceanu czyli morza Spokojnego, jak np. na wyspach Fidżi. Nowej Gwinei i. t. d.

Do rasy murzyńskiej zaliczają niektórzy murzynów karłów nazwiskiem Obongo, Akka, Tiki-Tiki, oraz Buszmanów i Hotentotów w Afryce. Inni uważają, iż tworzą osobną rasę afrykańską ludów o skórze żółto-brunatnej. Dotyczy to mianowicie Buszmanów i Hotentotów w południowej Afryce.

Także Melanezyjczyków z Nowej Gwinei i wysp morza Spokojnego zaliczają do rasy murzyńskiej. Są to właściwie mieszańce rasy malajopolinezyjskiej z rasą murzynów wzrostu rosłego zwanych: Papua.

W pewnym związku z rasą murzyńską stoja jeszcze ludy azyatyckie: Wedda na Ceylonie, Drawida w Indyach wschodnich i Tamule na Ceylonie.

Pod względem wyglądu możnaby je uważać jako krewniaków tak zw. rasy australskiej.

Według najnowszych badań są ludy Drawida i Tamule mieszańcami rasy mongolskiej, lub też malajo-mongolskiej z murzynami Papua.

Rasa czarna (murzyńska) liczy przeszło 100 milionów głów.

Siedziby ras na ziemi.

Każdą część świata zajmuje głównie jedna z ras wyżej wymienionych,

Siedzibą pierwotną rasy białej jest Europa, rasy żółtej czyli mongolskiej jest Azya, siedziba rasy czerwonoskórców jest Ameryka, rasy malajopolinezyjskiej są wyspy morza Spokojnego, rasa murzyńska (o włosach kędzierzawych) zamieszkuje głównie Afrykę, a odmiana tejże rasy o włosach pakulastych (ludy Papua) zajmuje niektóre wyspy morza Spokojnego i niektóre okolice Australii.

Ras zupełnie czystych niema właściwie weale; wszystkie są mniej lub więcej ze sobą pomieszane.

To też jest pełno przejść czyli mieszaiców pomiędzy rasami poszczególnymi. Rasy mieszane powstają nieustannie tam, gdzie dwie odmienne rasy lub też więcej tychże zamieszkuje ten sam kraj lub graniczą o siebie ze sobą. Na ogół dzieli się plemiona czyli ludy na dwa wielkie działy: na ludy kulturowe i dzikie. Zaznaczyć jednak trzeba, że tak zwani „dzicy“ nie stoją wcale na stopniu nierozumnych zwierząt; posiadają bowiem niektóre zdobycze kultury, gdyż znają użyteczność ognia, ozdoby, odzież, narzędzia, broń, posługują się mową i mają własne pojęcia o Bogu. Ludy przechodziły też pewne stopnie rozwoju, tak że się rozróżnia: a) ludy myśliwskie, blakające się na rozległych obszarach w pościgu za zwierzyną, b) ludy pasterskie czyli koczownicy (nomady), i c) ludy osiadłe, rolnicze.

Z rodzin powstawały osady, gminy, a w końcu państwa. Utworzenie się tychże zależało jednak od stopnia kultury ludów i od właściwości siedzib. U ludów myśliwskich pojawiały się mniej lub więcej liczne rodziny jako szczepy luźno lub wcale niepołączone z sobą. Właściwe państwo w całym tego słowa znaczeniu utworzyć tylko może lud osiadły, rolniczy. To też państwa ludów koczujących (nomadów) nie odznaczały się żywotnością i szybko ginęły bez śladu, jak np. państwa ludów tatarskich.

I. Rasa biała.

Ludzie rasy białej mają wszyscy skórę mniej więcej białą, jeżeli nie jest opaloną przez słońce i wskutek tego śniadawą, mają nosy dosyć proste, włosy jasne, płowe (blond) lub ciemne, brunatne, krucze (szatyni, bruneci), miękkie w dotyku, niekiedy lekko sfalowane w kędziory.

Ludzie o skórze białej zamieszkiwali i zamieszkują od niepamiętnych czasów Europę. Oprócz Europy zamieszkują też niektóre części Azji i Afryki, oraz Ameryki i Australii, gdzie się wiele Europejczyków z biegiem czasu osiedliło.

Bliskość Azji, z którą Europa jest połączona, i łatwy dostęp do ładu afrykańskiego, obecnie oddzielonego od Europy wąską cieśniną Gibraltarską, a dawniej w zamierzchłych czasach połączonego z ładem europejskim, wpływały na mieszanie się w większym lub mniejszym stopniu ludów o białej skórze z ludami azyatyckimi i afrykańskimi czyli z ludami o żółtej i czarnej skórze. Działo się to głównie w czasach przedhistorycznych. Z nowszych czasów znane są najazdy Mongołów, ludów o żółtej skórze (śniadej) i kruczych, twardych włosach na głowie i o czaszkach krótkich. To też wsiąknęło w ludy białej skóry wiele obcych pierwiastków i wytworzyły się odmiany silne i żywotne.

Najdawniejsze zapiski historyczne podają nam w ogólnym zarysie wieści o rozmieszczeniu ludów białej skóry w Europie, jakie jeszcze dziś istnieją.

Przy tej sposobności można zaznaczyć, że pochodzenie ludów czarnej, żółtej i białej skóry łączyli niektórzy z trzema synami Noego, i to murzynów z Chamem, Mongołów z Semem, a Europejczyków z Jafetem. Dziś jednak nazywają Chamitami i Semitami dwie wielkie odmiany rasy białej, powstałe wskutek zmieszania się z innymi rasami, jak np. z mongolską i murzyńską w większym lub w mniejszym stopniu.

Rzadko też nazywają ludy rasy białej Jafetami; rasie tej nadano nazwę rasy indo-europejskiej, też indo-germańskiej (przez uczone niemieckie); ogólnie jednak przyjęto też nazwę rasy morza Śródziemnego, gdyż zamieszkuje kraje położone wokoło tegoż. Nadano też niektórym ludom białej skóry miano: „rasa aryjska.“ Wyrażenie: aryjski, Aryjczycy pochodzi od arya, słowa starożytnego Hindusów, które oznacza pana. (Od słowa tego pochodzi też nasz wyraz: jary, tyle co silny, rzeński.)

Rodzina ludów aryjskich (indo-europejskich) do której należymy, mówiła kiedyś jednym językiem. Później rozpadła się na rozmaite ludy z osobnymi językami, które dotychczas okazują pokrewieństwo z sobą.

Odnogi tej rodziny dostały się już dawno, może na 2000 lat lub więcej temu, do Azji t. j. do Persyi (Iranu) i Indyi Wschodnich. Inne odnogi Aryjczyków, i to Słowian, Niemców (Germanów), Celtów wyliczają nam historycy (dziejopisarze) w Europie wschodniej, środkowej i zachodniej, gdy już przed tem na południu Europy w Grecyi i na Bałkanie znane były ludy aryjskie Greków, Traków i Ilirów, a we Włoszech znowu ludy italskie wraz z Rzymianami. Wśród ludów aryjskich zachodzą blondyni i bruneci, ludzie z długą, krótką i średniodługą czaszką, z oczyma niebieskiemi, szaremi, brunatnymi i czarnymi. Panuje więc tam wielka różnorodność, spowodowana pomieszaniem się w mniejszym lub większym stopniu z rasami o skórze zabarwionej.

Na ogół jednak są cechy rasy białej następujące: twarz owalna z mało lub prawie wcale niewystającymi kośćmi policzkowymi. Nos wysoki, wąski, podbródek okrągły z dolną szczęką mało podaną naprzód, prostopadle osadzone zęby. Wargi zgrabne mało mięsiste. Włos miękki, falisty, czasem tworzący kędziory, przechodzi wszystkie odcienia zabarwienia od jasno-blond aż do barwy kruczej z odcieniem niebieskawym. Zarost u mężczyzn jest bujny. Płeć jest jasna; u północnych ludów aryjskich jest wprost biała; im bardziej na południe, tem ciemniejszą się staje. To też w południowej Europie jest płeć „rasy białej” ciemniejszą, śniadą, oliwkową, w Arabii i w Indjach Wschodnich (Azja południowa) jest brunatną, a w Afryce po części prawie czarną, jak u murzynów.

Na ogół jednak odznaczają się ludy białej skóry jaśniejszą płcią od Mongołów (żółtoskórców) i od Murzynów (czarnoskórców.)

Dzięki wysokiej kulturze i cywilizacji, zajmuje rasa biała obecnie pierwsze miejsce wśród innych ras o skórze zabarwionej na ziemi. Należy też do niej prawie połowa wszystkich ludzi na świecie, i to około 800 milionów.

Pod względem językowym i wskutek pomieszania się większego z innymi rasami podzielić można rasę białą czyli śródziemną na 3 wielkie odnogi, które stanowią:

1) **I n d o - e u r o p e j c y c y** czyli Aryjczycy, do nich należą: a) Słowianie, a więc Polacy, Czesi, Rosyanie i. t. d. wraz z Litwinami, b) ludy teutońskie (germańskie) jako to: Niemcy, Holendrzy, Fryzowie, Duńczycy, Szwedzi, lud teutońsko-romański czyli Anglicy, c) ludy romańskie jak np. Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Rumuni, d) ludy celtyckie jak np. Irlandczycy, Szkoci, Walijczycy w Anglii i Bretoni w Francyi, e) starożytni Grecy i Rzymianie, Albańczycy jako pozostałość po starożytnych Ilirach, w Azji zaś f: Ormianie czyli Armeńczycy, Persowie, Kurdowie, Afganie, Hindusi w Indjach wschodnich.

2) **S e m i c i** [Hebrejczycy czyli żydzi, Arabowie, Syryjczycy, starożytni Assyryjczycy, Babilończycy i Fenicyanie, i po części Abisyńczycy, mieszańce z ludami chamickimi lub chamicko-murzyńskimi w Afryce.]

3) **C h a m i c i** [Bербrowie i Marokańczycy czyli krajowcy w półn. Afryce, Tuaregi w pustynii Saharze, starożytni Egipcyanie i pochodzący od nich terazniejsi Koptowie i Felachy (obecnie wynarodowieni, mówią bowiem po arabsku), brunatni Nubijczycy nad Nilem, i mieszkańcy północno-wschodniej Afryki o ciemnym zabarwieniu skóry: Galla, Somali, Massai.]

Jako szczątki, rozbitki ludów, które można zaliczyć jeszcze do rasy białej czyli śródziemnej, uważa się większą część ludów, zamieszkujących góry Kaukazkie na pograniczu Europy i Azji. Ludy te nieliczne na Kaukazie, jak Abchazowie i Czerkiesi, Gruzini, oraz Lezgińcy mówią językami, które nie mają pokrewieństwa z sobą ani z językami aryjskimi, do których i nasz język polski należy, ani z językami semickimi i chamickimi.

Oprócz ludów szczątkowych białej skóry na Kaukazie mieszka na południu Europy w północnej

Hiszpanii nieliczny obecnie ludek zagadkowego pochodzenia, który dawniej żył w całej Hiszpanii i dochodził w Francji aż do rzeki Garony. Starożytni zwali lud ten Iberami lub też Equitanami. Wyginął on prawie zupełnie, a szczątki tegoż nazywają Hiszpanie Baskami, a Francuzi Gaskonczykami. Lud ten nazywa siebie: E-uskaldanak, a język swój: e-uskara.

Niektórzy uważają go spokrewnionym z Chamitami (Berbrami afrykańskimi), język jego jednak nie jest spokrewnionym z językiem Chamitów, ani wogóle z żadnym językiem znanym w Europie i w Azji, natomiast pod względem budowy ma wielkie podobieństwo do języków Indian amerykańskich.

Niektórzy sądzą, że Baskowie, oraz już za rzymskich czasów wymarły lud Etrusków w Włoszech, należą do zagadkowych ludów niearyjskich, które poprzedziły zjawienie się ludów aryjskich w Europie zachodniej i południowej.

1. Aryjczycy.

Ludy aryjskie są głównymi przedstawicielami rasy białej. Spokrewnione z sobą nawet co do języka, tworzyły ongi w zamierzchłych czasach jedną wielką rodzinę, pierwotny lud aryjski. Niewiadomo gdzie pierwotna ojczyzna owego ludu aryjskiego leżała, od którego pochodzą Słowianie, Germanie, i inne ludy aryjskie. Szukano jej dawniej w Azji środkowej, mianowicie na wyżynach Pamiru, — oczywiście bezskutecznie. Dziś zgadzają się na ogół prawie wszyscy uczeni, iż ojczyzną pierwotną ludów aryjskich jest Europa. Jedni poszukiwali tych siedzib pierwotnych w stepach południoworosyjskich, drudzy twierdzą — zapewne zupełnie słusznie —, iż siedziby ludów aryjskich otaczają kotlinę morza Bałtyckiego, a przynajmniej leżą w pasie lesistym na południe od morza Bałtyckiego. Inni mniemają, iż także w okolicach Połesia (błota nad Prypecią) należy szukać pierwotnej siedziby Aryjczyków. Inni zaliczają też południową Szwecyą



Rasa żółta amerykańska i malajska.

1. Kalbuk. 2. Kirgiz. 3. Maori. 4. Indianin Siux. 5. Apaczka. 6. Indianin z Peru. 7. Indianka z Patagonii. 8. i 9. Chińczycy. 10. Samoanka. 11. Kobieta z wysp Karolin (Polinezja). 12. Kobieta z wysp Admiralskich. 13. i 14. Japończycy. 15. Aino.

do pierwotnych siedzib tych ludów. Tam, o ile wiemy z historyi i ze znalezionych wykopalisk, mieszkali od najdawniejszych czasów szczepy teutońskie (germańskie) Skandynawców, do których



Hucul (Rusin, góral z Galičyn).

należą np. Szwedzi. W każdym razie mało mają słuszności ci, którzy twierdzą, iż ludy aryjskie, do których my także należymy, przybyły z Azji. Jeśli jednakowoż ludy aryjskie pochodzą z Azji, to wędrówka tychże do Europy odbyła się tak

dawno temu, że wszelkie ślady zagięły, a jakiegokolwiek szczątki dawniejszych ludów aryjskich, pozostałe w zakątkach Azji, do naszych czasów nie zdołały się zachować i utrzymać.



Huculka (Rusinka, góralka z Galicyi).

Ludy aryjskie lub indo-europejskie tworzą dwie wielkie, główne grupy: są to Aryjczycy europejscy i azyatyccy. Języki ich są spokrewnione z sobą i są niejako narzeczaniami jednego pierwotnego, prastarego języka aryjskiego czyli indoeuropejskiego.

Lud pierwotny aryjski o skórze białej pomieszał się w mniejszym lub większym stopniu z rozmaitemi innymi ludami, jakie przedtem zamieszkiwały różne okolice Europy, i dał początek obecnym ludom aryjskim czyli indoeuropejskim, jak np. plemionom celtyckim, słowiańskim, germańskim, (teutońskim), romańskim i t. d.

Ludy aryjskie, mówiące językami z sobą spokrewnionemi, ze względu na pewne właściwości językowe, dzielą się też na grupę zachodnią i wschodnią. Do grupy zachodniej należą ludy celtyckie, teutońskie (germańskie), romańskie i greckie. Poszczególne ich języki odznaczają się bogactwem spółgłosek gardłowych g, k, ch, q. Do języków tych należy też język łaciński i dawny grecki. Do grupy zaś wschodniej należą ludy słowiańskie, litewskie, Hindusi w Indjach z najstarszą z wszystkich języków aryjskich mową, zwaną „sanskrytem“, obecnie już martwą, dalej Persowie, Kurdowie i po części Ormianie. Języki tych szczepów aryjskich odznaczają się obfitością spółgłosek syczących, jak np. sz, szcz, z, ź, ż.

Aryjczycy europejscy.

Ludy aryjskie w Europie dzielą się na 6 wielkich plemion. Należą do nich:

1. Celtowie, którzy dawniej zamieszkiwali całą zachodnią Europę od Hiszpanii aż po Ren i dalej jeszcze ku wschodowi w Europie środkowej się rozszerzyli i północną część Włoch zaludniali. Zostali w końcu wyrugowani przez Rzymian i ludy niemieckie (teutońskie, germańskie), z którymi się po części mieszały, ulegając wynarodowieniu. Utrzymali się tylko w górzystych okolicach na krańcach Europy zachodniej, i to w Bretanii (Bretanowie) we Francji, w księstwie Wales w Anglii, w Szkocji, w Irlandyi i na wyspie Man.

Słowianie zwali Celtów Włochami, Włochami, a nazwa ich przeszła na lud romański, spadkobiercę dawnych Rzymian i na ich ziemię.

Italię, zwaną Włochami. Ludy niemieckie zwały Celtów: Wlachen, Wälsche.

Celtów jest jeszcze w Europie 9 do 10 milionów.

2. **Słowianie** zamieszkują cały wschód Europy i według badań uczonych czeskich i polskich (jak np. Bogusławski) dochodzili do Renu, sąsiadując z Celtami (Włochami, Włochami), którzy Słowianom nadawali nazwę: Wenedy, Wenety, jaką Niemcy potem przejęli i urobili na Wendy (Wenden.) Rychło jednak ulegli Słowianie pomiędzy Renem a Elbą naporowi zaborczego plemienia teutońskiego (germańskiego) czyli niemieckiego w pierwszych wiekach krzewienia się chrześcijaństwa w państwie rzymskim. To też nie wiele co wiemy o historii Słowian nad Renem i Menem.

Wyraźniej występują już w historii Słowianie nad Łabą (Elbą), którą się zwykle uważa jako zachodnią granicę dawniejszych siedzib słowiańskich w Europie.

Niemcy po przyjęciu chrześcijaństwa jeszcze bardziej tępiłi Słowian, aniżeli wtedy, kiedy byli jeszcze poganami, i zabierali ich ziemię nad Łabą. Czynili to głównie pod płaszczykiem szerzenia chrześcijaństwa za pomocą miecza. Można powiedzieć śmiało, że cała zachodnia dawniejsza Słowiańszczyzna nad Łabą utonęła w morzu krwi z jej łona wytoczonej, a to co zostało z ludu słowiańskiego, utonęło w niemieczyźnie, która od 2000 lat ciągle wdziera się w dzierżawy ludów słowiańskich, by je wyrugować, wynarodowić, wchłonąć w siebie i z kretelem wytępić.

Dopiero w ostatnim czasie coraz trudniej to Niemcom przychodzi, gdyż i Słowianie, jak np. Czesi i Polacy nabyli znacznego doświadczenia w tej walce, którą dawniej miecz i rozboj rozstrzygał, a dziś praca, oświata, pomysłnym wieńcząc wynikiem dla zagrożonych w swoim bycie Polaków i Czechów.

Słowianie są wzrostu średniego; włosy mają jasne, ciemne i krucze (blondyni, szatyni, bruneci),

czaszki krótkie, oczy głęboko umieszczone, kości policzkowe cokolwiek wydatne. Dzielią się na 3 grupy: zachodnią, wschodnią i południową.

Do zachodniej grupy należą: a) Połabcy pomiędzy rzekami Łabą (Elbą) a Odrą, dziś wymarli i pochłonięci przez Niemców, b) Polacy (Lehici) (około 21 milionów), c) Czesi z Morawcami i Słowakami (około 12 milionów), d) Łużyczanie (kilka tysięcy), zwani też Wendami nad Sprewą i w królestwie saskim.

Do wschodniej grupy należą: a) Rosyanie (Wielkorusy) około 60 milionów b) Rusini (Małorusy jako to: Białorusy, Czarnorusy, Czerwonorusy) około 50 milionów.

Do południowej grupy należą: a) ChorwacizSerbami i Czarnogórcami czyli Serbo-chorwaciz Słowienkami, razem około 7 milionów, b) Bułgarowie około 4¹/₂ miliona. Słowianie mówią narzeczami (językami) bardzo podobnymi do siebie, tak że łatwo mogą porozumieć się z sobą.

Wszystkich Słowian razem jest około 170 milionów.

Król Mikołaj czarnogórski.

3) Teutonni (Germanie) czyli niemieckie ludy rozszerzyły od czasów rzymskich nadzwyczaj



swoje siedlisko w Europie. Początkowo mieszkaly. ludy te w Skandynawii (Szwecyi i Norwegii) oraz w Danii, w końcu na krańcach północnozachodniej Europy głównie u ujścia rzek jak np. Ren, Wezera, Ems, oraz prawdopodobnie na lądzie, częściowo pochłoniętym i zalanym przez morze Północne czyli Niemieckie. Zajmowały się ludy te pierwotnie rozbojem, grabieżą, korsarstwem czyli rozbojem morskim i polowaniem, kiedy Słowianie byli od niepamiętnych czasów ludem rolniczym i osiadłym.

Ludy teutońskie są na ogół wzrostu wyższego, aniżeli Słowianie; dawniej przeważali u ludów teutońskich blondyni z niebieskimi oczyma. Czażki na ogół mieli długie. Dziela się na 2 grupy: północną i południową. Do północnej grupy należą: Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie i naród Gotów, który wyginął.

Do południowej grupy należy wiele szczepów, które pod względem językowym tworzą 3 odnogi: Niemcy z dolnoniemieckim, średnio-niemieckim i górno-niemieckim językiem. Dzisiejszy niemiecki język literacki, szkólny i urzędowy jest narzeczem średnio-niemieckiego języka.

Narzeczem dolno niemieckiem osobnem mówią Holendrzy i Flamandowie w Belgii.

Anglicy, których język utworzył się z narzecza anglosaskiego t. j. jednego z narzeczy dolnoniemieckich, oraz z języków celtyckiego i łacińskiego, nie należą wprost do ludów teutońskich. Są to właściwie mieszańce Anglosasów z sfrancuziałymi Normanami, przybyłymi z Francji północnej, oraz z krajowcami celtyckimi.

Liczba ludów teutońskich czyli germańskich wynosi około 220 milionów.

4. Romanie zamieszkują zachodnio-południową Europę. Są nimi Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Wallonowie w Belgii i w prowincji nadreńskiej, Rumani w Szwajcaryi i Rumuni czyli Wołosi na półwyspie Bałkańskim. Mówią językami spokrewnionemi z językiem łacińskim. Ludy

romańskie wytworzyły się przeważnie z Celtów, których Rzymianie podbili i wynarodowili.

U ludów romańskich przeważają bruneci; barwa skóry jest cokolwiek ciemniejsza, aniżeli u północnych ludów aryjskich.

Ludy romańskie obliczają na 170 milionów.



Albańczyk.

Najważniejszym ludem romańskim są Francuzi, którzy dzielą się na a) północnych Francuzów, b) południowych czyli Prowansalów i c) na Wallonów w Belgii i prowincji nadreńskiej.

5. Litwini spokrewnieni z Słowianami, zamieszkują Litwę i po części Prusy Wschodnie.

Do ludów litewskich należą oprócz Litwinów także Łotysze, którzy zamieszkują rosyjskie prowincje nadbałtyckie, oraz starożytni Prusacy (Pruszcze) wytepieni w Prusach Wschodnich i Zachodnich przez niemieckich Krzyżaków.

6. Grecko-albańska odnoga Aryjczyków europejskich obejmuje: Greków nowożytnych i starożytnych (wymarłych Hellenów), oraz Albańczyków czyli Arnautów, zowiących się Szkipetarami.

Albańczycy mieszkają na półwyspie Bałkańskim i pochodzą od starożytnych Ilirów, którzy wyginęli za czasów rzymskich.

Albańczycy mówią językiem albańskim do połowy zromanizowanym, — ulegli bowiem wpływowi języka łacińskiego za czasów rzymskich. Jest ich około półtora miliona.

Grecy mówią językiem podobnym do starożytnego języka greckiego. Jest ich około 6 milionów głów.

Albańczycy stanowią naród górali wysokiego wzrostu. Grecy nie są tak rośli. U jednych i u drugich są prawie sami bruneci. Czaszki mają krótkie, okrągłe. —

Ludy aryjskie w Europie są chrześcijańskie. Jedyne na Bałkanie drobna część Słowian (Bułgarów, Serbów) przeszła na islam czyli wiarę mahometańską.

Aryjczycy azyatyccy.

Ludy rasy białej, mówiące językami, które są spokrewnione z mową ludów europejskich (Aryjczyków) dostały się w odległych czasach do Azji, dokąd według swych podań mieli przybyć z Zachodu, to jest najprawdopodobniej z Europy. Są to Aryjczycy azyatyccy, do których należą 3 ludy: 1) Hindusi czyli Indowie, 2) Irańczycy jak np. Persowie i 3) Armeńczycy czyli Ormianie.

1. Hindusi czyli Indowie zamieszkują północno-zachodnie okolice Indyi Wschodnich w południo-

wej Azji, gdzie wyrugowali może na 2000 do 3000 lat przed Chrystusem pierwotną ludność albo murzyńską albo mieszkańców tejże z rasą żółtą (mongolską), zwanych ludami Drawida. Zdobywszy ów kraj azyatycki, zaprowadzili stany ściśle oddzielone i odgraniczone od siebie czyli tak zw. „kasty“, głównie w tym celu, by nie mieszać się z narodami podbitemi innej rasy o ciemniejszym zabarwieniu skóry. Takich kast wśród ludności Indyi Wschodnich jest 4: 1) brahmani czyli stan kapłański i uczonych, 2) kszatrya czyli wojownicy (szlachta i książęta), 3) sudra czyli rolnicy i rzemieślnicy i 4) parya; do kasty parya należą wszyscy, dla których miejsca niema w pierwszych trzech kastach. Najjaśniejszą barwą skóry odznaczają się brahmani i poniekąd jeszcze kszatrye (wojownicy); to też kasta brahmanów szczególnie obejmuje potomków tych Aryjczyków, którzy ongi zdobyli Indye. W kaście „sudra“ (rolnicy i rzemieślnicy) a jeszcze bardziej w kaście „parya“ (paryasi) widzi się ludzi o ciemniejszym zabarwieniu skóry, nieraz prawie czarnem. Do tych dwu niższych kast (stanów) to jest: sudra i parya, włączono ludy podbite, po większej części ludy pochodzenia murzyńskiego lub mongolsko-murzyńskiego, jak np. ludy Drawida, Tamule itp. Hindusi na przeszło 1500 lat przed Chrystusem mieli pieśni narodowe, rycerskie, i rozmaite pogańskie, oraz utwory poetyczne, pisane w języku starożytnym aryjskim. Dochowały się one aż do naszych czasów. Język ten, spokrewniony z innymi językami europejskimi (aryjskimi), nazywa się „sanskryt“ czyli „święty język“. Językiem tym obecnie w Indyach już nie mówią; istnieją tam jednak jego odmiany, narzecza nowszej daty, które są w użyciu.

Hindusi wytworzyli sobie pewną własną kulturę, budownictwo wielkich świątyń, dziwne pogańskie religie jako to brahmanizm i buddaizm, które dotychczas się zachowały, i mają swe własne dzieje.

Wskutek wpływu jednak gorącego klimatu podzwrotnikowego z czasem zniewieścili, stając się ludem innych narodów i najeźdźców, jak np. Mongo-

łów, Arabów itd., a w końcu Anglików, do których obecnie Indye Wschodnie należą. W kraju tym żyją słonie największe dziś zwierzęta lądowe, które krajowcy umieją oswajać i zużyć do rozmaitych posług i robót, oraz krwiożercze, drapieżne tygrysy.



Indyjski pogromca węzów jadowitych.

gdzie lud jeszcze dziś odznacza się wielką muzykalnością. Zapewne wyrzuceni z wszystkich kast indyjskich, paryasy więc nad paryasami, albo wyrugowani przez mahometan opuścili w czternastym stuleciu (po r. 1300) stoki gór Hindukusz i udali się na tułaczkę. Tym sposobem z biegiem czasu dotarli do Egiptu, Afryki i aż do zachodnich krańcy Europy. Pozostali też dotychczas koczownikami, a raczej włóczęgami w Europie i w ogóle wszędzie, gdzie się pojawili.

2) Irańczycy (Iranie) zamieszkują wyżynę Iranu w Azji. Należą do nich Persowie, Kurdowie,

Osety (Oseleńcy) na Kaukazie, Parsowie (czczący ogień) w Indyach Wschodnich, Tadziki (naród rolnicy w Turkestanie), Afganie (cokolwiek pomieszani z ludami semickimi), i Beludźowie (cokolwiek pomieszani z indyjskimi ludami Drawida).

Persowie dzisiejsi są potomkami starożytnych Persów, którzy wiedli krwawe boje z starożytnymi Egipcyanami, Assyryjczykami, Babilończykami, Grekami czyli Helenami i Rzymianami. Persowie wytworzyli sobie kulturę własną, dzieje, poezję i budownictwo, oraz wierzenia pogańskie. Z czasem podupadli; obecnie są mahometanami. Dawniejszy język ich, staro-perski podobny jest do starożytnego języka Hindusów, do sanskrytu. Część dawniejszych pogan perskich uciekła przed prześladowaniem Mahometan do Indyi Wschodnich, gdzie przetrwała do dziś dnia. Są to tak zw. czciciele ognia i nazywają się Parsami czyli Gebrami.

Irańczyków jest około 30 milionów.

3. Ormianie czyli Armeńcy.c.y mieszkają w górzystym kraju Armenii z górą Ararat, cokolwiek pomieszani z ludami semickimi (Syrjczykami itp.), które przebywały ongi pierwotnie w tamtych okolicach lub też sąsiadowały z nimi. Ormianie też z twarzy przypominają nieco żydów. Mają włosy krucze, a czaszki krótkie, okrągłe, jak Słowianie lub ludy mongolskie. Nazywają sam siebie: Haikh, a Armenię Haiastan. W starożytności prowadzili wojny z Asyryjczykami, Persami i Rzymianami. Do roku 350 byli poganami i mieli podobne wierzenia, co dawniejsi Persowie. W czwartym stuleciu zostali chrześcijanami i pozostali nimi dotychczas. Jako języka liturgicznego w kościele używają języka staroarmeńskiego. Część ich należy do unii z Kościołem katolickim. Oni tworzyli Armeńcy państwo samodzielne, które z biegiem czasu podupadło; obecnie jedna połowa Armenii należy do Rosyi, a druga do Turcyi. Z powodu prześladowań ze strony Mongołów i Mahometan zaborecznych wielu Ormian opuściło dawniej swoją ojczyznę i osiedliło się w innych kra-

jach, jak n. p. w Polsce południowej (Małopolsce), gdzie potworzyli liczne kolonie.

Dla nich to utworzono ormiańskie arcybiskupstwo we Lwowie, to jest dla Armeńczyków, unitów obrządku ormiańskiego.

Język ormiański spokrewniony jest z językami irańskimi i indyjskimi, oraz oczywiście z językami Aryjczyków europejskich (Słowianie, Romanie, Tentyoni czyli Niemcy, Celtowie i t. d.). Liczba Ormian wynosi około 2½ miliona.

2. Semici.

Ludy te mówią językiem odmiennym, prawie niepodobnym do języków pochodzenia aryjskiego. Stanowią też osobną grupę wśród rasy białej i otrzymały nazwę ogólną Semitów jako potomkowie Sema, najstarszego syna Noego. Ludy semickie okazują właściwości rasy mieszanej. Musiały kiedyś, dawno temu wchłonać w siebie plemiona o ciemnej barwie skóry w większym lub mniejszym stopniu. Na ogół jednak znamiona ras pochłoniętych, jak n. p. murzyńskiej, nie uwydatniły się i nie zagłuszyły w Semitach znamion rasy białej.

Semici mają rysy twarzy wyraziste, wargi niepełne, nosy wydatne po większej części gięte z przedziałką nosową występującą na zewnątrz u dołu nosa, jak u Mulatów (mieszaniec Europejczyka z murzy-nem), zarost na twarzy, ostro zarysowane łuki brwi nad oczyma i czaszki przeważnie długie. Zabarwienie skóry na ogół jest ciemniejsze (oliwkowe lub brunatne, śniade), aniżeli u Europejczyków północnych. Na ogół ludy semickie posiadały już wcześniej, aniżeli Aryjczycy (Indoeuropejczycy) dosyć wysoką kulturę. Przejęli ją Aryjczycy dopiero od Semitów; ale znacznie ich pod tym względem prześcignęli w końcu, zająwszy pierwsze miejsce w świecie jako przodownicy i przywódcy kultury i cywilizacji nowoczesnej. Ludy semickie zamieszkują głównie wschodnią Azję (Małą Azję): Syryę, kraje nad rzekami Eufratem i Tigrem (Mezopotamię), Arabię, dalej wiele okolic w północnej Afryce i jako mieszance z Chamitami i po części z mu-

ryznanami — Abisynię; Semitów dzieli się na południowych i północnych.

Do południowych Semitów należą przede wszystkim Arabowie; jedni zajmują się rolnictwem i tworzą osady, drudzy pozostali dotychczas wojowniczymi koczownikami, pasterzami. Są to Beduini. Arabowie wstawili się w dziejach świata po wystąpieniu ziomka swego Mahometa, założyciela religii mahometańskiej w 7 wieku po Chrystusie. Poprzednio byli poganami. Potem jako mahometanie stali się zaborcami. Wtargnęli nawet do Hiszpanii, skąd ich później wypędzono napowrót do Afryki, i rozszerzyli wiarę mahometańską w całej północnej Afryce i w wschodnich i południowych częściach Azji.

O wiele wcześniej przed Mahometem przeniósł się jeden z szczepów południowych Arabów do Afryki wschodniej, gdzie pomieszał się z pierwotną ludnością chamicką, zachował swój język i utworzył niezależny naród abisyński. W Abisynii też pomimo naporu mahometan arabskich utrzymało się do dzisiaj chrześcijaństwo, które ongi tam rozkrzewili da-



Cesarz abisyński Menelik II z cesarzową.

wniejsi Egipcjanie, później podbici przez Arabów i przemocą pozyskani dla islamu czyli wiary mahometańskiej.

Do północnej grupy Semitów, której nadano też nazwę: grupa syryjska, należą głównie ludy starożytne, wymarłe, znane z dziejów, a mianowicie Chaldejczycy, Asyryjczycy, Babilończycy, Fenicyjanie i w końcu Hebrejczycy i ich potomkowie dzisiejsi czyli Żydzi, żyjący dotychczas rozproszeni po całym świecie. Ludy semickie wymarłe wytworzyły kulturę, która jest jedną z najstarszych.

Fenicyjanie byli śmiałymi żeglarzami, wielkimi kupcami i zakładali kolonie (miasta) na brzegach morza Śródziemnego, jak np. Sydon, Tyrus, Kartagine, Marsylię itd. Wynaleźli pomiędzy innymi alfabet, z którego powstały inne alfabety, jak n. p. pismo hebrajskie (żydowskie), greckie i w końcu łacińskie, używane n. p. u nas, gotyckie (niemieckie, tak zw. „szwabacha“) i cerkiewne, używane n. p. u Rosyan, Serbów, Bułgarów i t. d.

Asyryjczycy i Babilończycy mieszkali w Małej Azji w Mezopotamii, gdzie płyną rzeki Eufrat i Tygris. Narody te wytworzyły wysoką stosunkowo kulturę, może jedną z najstarszych na świecie, której zabytki sięgają do r. 2250 przed Chrystusem. Uprawiano tam sztuki, nauki, przemysł, budownictwo, handel, znano prawo i ustawy, miary i wagi, sztukę wojenną, wytworzono rodzaj pisma, zwany pismem klinowem (runy). Z kultury starożytnej asyryjsko-babilońskiej przeszło niejedno do kultury narodów europejskich; dotyczy to mianowicie sztuk pięknych, budownictwa, miar i wag. O Babilonie i Asyryjczykach wiemy też niejedno z Pisma św. Ludnie ich miasta, jak np. Babilon o dawniejszej nazwie Tintera lub Dendera, z olbrzymią, wielopiętrową wieżą i wiszącymi ogrodami, lub Niniwe, Agade i t. d. runęły w gruzy.

Z grupy tej północnej ludów semickich, które wymarły, przetrwali do naszych czasów jedynie Hebrejczycy, których potomkami są Żydzi.

Właściwie zostały ludy te z swych dawniejszych siedzib wyrugowane lub pochłonięte po części przez Arabów czyli południowych Semitów.

Z ludów semickich jedynie Żydzi mieli wiarę w jednego, prawdziwego Boga. Wśród nich żył i poświęcił się za ludzi, oraz nauczał — Pan Jezus. Naukę Jego nie uznali Żydzi; natomiast przyjęły ją wszystkie narody europejskie, stając się wyznawcami i obrońcami prawdziwej wiary i zasad chrześcijańskich. O tem wszystkim poucza nas Pismo św. i historia Kościoła św. Żydów na całym świecie jest do 10 milionów.

3. Chamici.

Ludy te, zaliczane zarówno z Semitami do rasy o białej skórze, mają nazwę od Chama, najmłodszego syna Noego. Zabarwienie skóry Chamitów jest na ogół jeszcze ciemniejsze, aniżeli u Semitów. Wśród ludów białej (jasnej) skóry zajmują Chamici podzędne miejsce i pozostali daleko w tyle w porównaniu z Semitami i Aryjczykami, zwanymi też Jafetydami.

Ludy chamickie, na ogół z skórą dosyć ciemno zabarwioną, wzrostu przeciętnie wysokiego, o czaszkach średnio-długich, a więc krótszych od czaszek semickich, tworzą też pod względem językowym osobną grupę ludów białej skóry. Grupa ta chamicka mogła się utworzyć według mniemania wielu uczonych wskutek zlania się 3 ras i to głównie rasy turańskiej (tatarsko-tureckiej) w większym lub mniejszym stopniu z murzyńską przy małej domieszce rasy białej. Co do rasy turańskiej, to stanowi ona przejściowe ogniwo pomiędzy rasą białą (indo-europejską) a rasą żółtą czyli mongolską.

Ludy chamickie zamieszkują w północnej Afryce kraje, położone nad morzem Śródziemnym, i pustynię Saharę, a na wschodniej krawędzi Afryki, tam gdzie Nil płynie, posunęli się dość daleko na południe, zaludniając po za Abisynią, która co do języka stała się semicka, półwysep wschodnio-afrykański — Somali.

W starożytności żył w dolinie Nilu lud chamicki Egipcyan, spokrewniony z Nubijczykami, który już na kilka tysięcy lat przed Chrystusem wytworzył

rzył sobie kulturę, wznosił pomnikowe budowle piramid, wynalazł hieroglify czyli pismo obrazkowe itd. U nich swego czasu przebywali Hebrejczycy czyli Żydzi w niewoli. Z czasem starożytny lud egipski wymarł wskutek naporu innych narodów. Potomkami Egipcyan starożytnych są w dzisiejszym Egipcie: lud rolniczy Fellachów mahometauskich i w miastach chrześcijańscy Koptowie. Tak Fellachy jak i Koptowie wynarodowili się, przyjmując język semicki Arabów mahometauskich.



Fellachowie egipscy.

Chamickiego też pochodzenia jest właściwie ludność obecnie semickiej Abisynii, zwanej Habesz, w wschodniej Afryce, o czym już wspomnieliśmy.

Do ludów chamickich należą jeszcze obecnie: w oazach pustyni Sahary Tuaregowie na zachodzie, a na wschodzie lud Tubu, dalej prawdopodobnie z Tuaregami lub z ludem Tubu spokrewniony naród Fulbe w okolicy jeziora Tsad, w stepach nubijskich Nubijczycy, znacznie pomieszani z murzynami, na półwyspie Somal w wschodniej Afryce ludy Galla i Somali, w końcu Berbrowie w Algierze i w Maroku. Najmniej pomieszani z murzynami lub Semitami (Arabami) są Berbrowie.



Napaśe Indyjan w południowej Ameryce.

Ludy chamićkie zajmują się rolnictwem lub chodowlą bydła, głównie koni i wielbłądów, albo też rzadziej handlem. Tuaregowie w zachodniej Saharze są wzrostu rosłego, nader skłonni do łupiestwa i roz-



Starzec marokański.

Arab uczony.

boju. Do narodowego ich stroju należy bawełniana chusta (welon) niebieska, zwana litham, owinięta wkoło dolnej części twarzy i głowy, by zasłonić nos i usta przed pyłem pustynnym; głównie zaś czynią to w tym celu, aby zbyt suche powietrze pustynne przy oddychaniu napoiło się choć nieco wilgocią.

Plemię chamićkie nie jest zbyt liczne. Liczba wszystkich Chamitów wynosi tylko 20 kilka milionów. Panuje u nich islam czyli wiara w Mahometa.

Ludy na Kaukazie.

Dodatkowo podać też trzeba na tem miejscu nieco uwag o ludach białej skóry, zamieszkujących Kaukaz na pograniczu Europy i Azji. Góry te styną z wielu drobnych, nielicznych ludów, mówiących rozmaitemi językami, które wcale nie są spokrewnione z językami aryjskimi (europejskimi). Ludy te stanowią szczątki większych plemion, które ocalały w niedostępnych górach Kaukazu. Nazwano je ogólnie

nie: „ludami Kaukazkimi“ o białej skórze. Niektóre szczepy mają twarze dziwnie piękne. Ludy te tworzą na ogół 3 grupy większe językowe: 1) zachodnią, 2) wschodnią i 3) południową. Oprócz tego mieszkają jeszcze w niektórych okolicach na Kaukazie ludy rasy żółtej czyli mongolskiej.

Do zachodniej grupy ludów o białej skórze należą Abchazowie, Czerkiesi i Kabardyńcy; do wschodniej zaś: Lezgińcy, a do południowej: Gruzini czyli Georgijczycy. Mieszkają tam jeszcze Czeceńcy i Osety (spokrewnieni z ludami irańskimi jak np. z Persami). Są to ludy górskie (górale); niektóre z nich zajmują się też rolnictwem w dolinach, oraz uprawą wina. Ludy Kaukazkie znane są z odwagi szalonej; znana też jest ich przywiązanie do swobody i wolności. To też dużo wylanej krwi kosztowało Rosyę, zanim te ludy podbiła i ujarzmiła. Dotychczas jeszcze istnieją okolice w górach kaukazkich, których ludność prawie wcale niepodlega Rosyi, jak np. tak zw. Swobodna Swetania.

II. Rasa żółta (mongolska).

Ludy tej prawie najliczniejszej rasy na ziemi mają na ogół skórę ciemniej zabarwioną od ludów rasy białej, ale też skóra ich jest o wiele jaśniejsza od skóry ludów rasy czarnej czyli murzynów.

Ogólnie nazywamy ludy o żółtawem lub żółtem zabarwieniu skóry mongolskimi. Mongoły zamieszkują większą część największego lądu, i to Azyę z wyjątkiem Azyi zachodniej (Małej), Indyi przednich i wysp południowo-wschodnich na morzu Spokojnem pomiędzy Azyą a Australią. Z biegiem czasu dostały się ludy mongolskie w trzech miejscach do samej Europy i to na północy, potem do południowo-wschodniej Rosyi i na Bałkanie.

Mongołowie są wzrostu na ogół niskiego i średniego, mają przeważnie krótkie okrągłe czaszki, twarze szerokie z bardzo występującymi kośćmi policzkowymi, nosy niskie, szerokawe u dołu, szerokie usta i oczy skośne (koso-oki człowiek). Włosy ich na głowie są zwykle ciemne (przeważnie krucze), proste i

sztywne; zarost na twarzy i owłosienie skóry są bardzo mierne albo prawie żadne. Zabarwienie skóry jest żółta we. To też nazywamy rasę tę „żółtą“.

Co do języka, to dzieli się Mongołów na dwie wielkie grupy: 1) Ludy z językami jedno-zgłoskowymi (o jednej sylabie), jako to: Chińczycy, ludność Indyi tylnych i Tybetańczycy. 2) Ludy z językami dwu- lub wielozgłoskowymi, do których należą wszystkie inne ludy mongolskie.

Ze względu na kulturę, rozwój dziejowy i rozmaitość zamieszkania można podzielić liczną rodzinę ludów mongolskich na 4 wielkie działy (grupy): 1) Wschodnio-azyatyckie ludy kulturowe, 2) Ludy w Indjach tylnych (Malajo-mongoły), 3) ludy altajskie z ludami ural-altajskimi czyli turańskimi, które stanowią właściwie przejście pomiędzy rasą białą a żółtą (mongolską), tak że wielu zalicza niektóre ludy turańskie (jak np. Tatarów, Finów, Turków, Kirgizów, Węgrów) jeszcze do rasy białej, i 4) ludy podbiegunowe Beringa (polarne). Pierwsze dwie grupy rasy mongolskiej i to wschodnio-azyatyckie ludy kulturowe i ludy w Indjach tylnych (malajo-mongolskie) zamieszkują przeważnie urodzajne okolice Azyi. Trzecia zaś grupa rasy mongolskiej czyli ludy ural-altajskie (turańskie) zajęły środkową i północną Azyę, a więc stepy i pustynie w środkowej Azyi i okolice leśniste, oraz niziny (tundry) na północy, a czwarta grupa ludów podbiegunowych zamieszkuje najbardziej na północ wysunięte okolice Azyi.

1. Wschodnio-azyatyckie ludy kulturowe.

Do nich należy ludność Chin, Japonii i Korei. W tych dosyć ciepłych krajach z ziemią urodzajną istnieją już oddawna ludy osiadłe, rolnicze. Z rolnictwa rozwinęło się u nich ogrodnictwo. Ludy te uprawiają przemysł, rzemiosła i handel, mają lądne, po części olbrzymie miasta i utworzyły dobrze zorganizowane państwa.

Chińczycy pochodzą prawdopodobnie z wschodniego Turkestanu w Azyi środkowej i z biegiem czasu za pomocą podboju i kolonizacji opano-

wali cały obecny kraj chiński. Poprzeźnio mieszkali tam już ludy mongolskie, których szczytki zachowały się jeszcze w Chinach południowych, jak np. lud górski Miao-tse lub Lolo. Z tymi pierwotnymi krajo-



Rodzina chińska.

wcami pomieszał się lud zdobywcy Chińczyków w mniejszym lub większym stopniu. To też w dzisiejszych Chinach w każdej prowincyi okazuje ludność pewne różnice co do wyglądu i języka.

Naród chiński jest nietylko najliczniejszym narodem na ziemi (około 350 milionów, w olbrzymim kraju, obejmującym przeszło 11 milionów kilometrów kwadratowych), ale i bardzo starożytnym. Istnieje bowiem przeszło 3000 lat. Aby się obronić przed napadami i najazdami hord mongolskich koczowników z stepów i pustyni Azji środkowej i północnej, wybudowali Chińczycy w dawniejszych czasach tak zw. mur chiński, długi przeszło 5000 kilometrów, na

północnej granicy swego państwa. W roku 1644 zdobyli Chiny mongolscy Mandżurowie, którzy narzucili Chińczykom cesarzy pochodzenia mandżurskiego i urzędników. Mandżurowie też po zdobyciu Chin zmusili całą ludność chińską do zapuszczenia warkoczy; miało to być znamieniem zewnętrznem niewoli. Z biegiem jednak czasu warkocz zmienił się w oczach Chińczyka na konieczny zwyczaj narodowy. Dopiero rewolucya, jaka wybuchła w r. 1911 i strąciła z tronu mandżurską rodzinę panującą Tezingów, zaprowadziła pewną zmianę w zapatrywaniach i zapowiedziała zagładę warkoczom chińskim, oraz dziwnemu zwyczajowi chińskiemu, który wymagał sztucznego zmniejszania stóp Chinek za pomocą wczesnego krępowania. Wskutek tego powstawało kalectwo stopy u Chinek.

Pominawszy te lub inne jeszcze dziwne zwyczaje, przyznać trzeba, że najwyższą samodzielną kulturę wśród ludów mongolskich wytworzyli Chińczycy.

W urodzajnych okolicach Chin północnych, nad rzeką Hoangho, stali się pierwotni koczownicy chińscy, przybysze z Azji środkowej, pilnymi rolnikami, którzy na małych posiadłościach półka swoje po ogrodniczemu uprawiali, posługując się dziabką (haka), nawozem i sztucznem nawadnianiem. Zakwitły rzemiosła; wyroby odznaczały się też dokładnością w wykończeniu i pewnym artyzmem. W Chinach dokonano też wielu wynalazków, jakie znacznie później pojawiły się w Europie u ludów aryjskich białej skóry, jak np. kompas, proch strzelniczy, wyrób porcelany i jedwabiu, drukowanie za pomocą czcionek ruchomych itd. Ogólnie znana jest też herbata chińska. Dawniej wpływem kultury chińskiej ulegała Korea i Japonia.

Chińczycy wyznawają cześć dla przodków i są poganami (buddyści, taoiści). Pewna część w zachodnich okolicach zalicza się do wyznawców Mahometa. Chrześcijaństwo nie bardzo jeszcze rozkrzewiło się w tym kraju.

Japończycy zamieszkali na wyspach japońskich w morzu Spokojnem, przedstawiają się jako

mieszkańce Mongołów z Malajami i prawdopodobnie z pierwotnymi krajowcami Japonii, nazwiskiem Aino, których niektórzy zaliczają jeszcze do rasy białej. Lud japoński jest wzrostu niskiego przeciętnie 1 $\frac{1}{2}$ metra; posiada zresztą znamiona rasy mongolskiej. Japońska kultura powstała pod wpływem kultury chińskiej; z Chin też otrzymali Japończycy pismo, które zastosowali do swego języka. Według wzorów chińskich rozwinęło się w Japonii rolnictwo i rzemiosło, sztuki piękne i urządzenia państwowe.

Język japoński jest zupełnie odmienny od języka chińskiego i innych mongolskich lub malajomongolskich języków; jest przedewszystkiem wielogłoskowy.

Japończycy wytworzyli sobie kulturę wedle wzorów chińskich; potem od r. 1854 stali się pojętymi uczniami kultury i cywilizacji europejskiej, tak że w krwawej wojnie o Koreę odnieśli zwycięstwo nad wojskami rosyjskimi w Mandżuryi.

Państwo japońskie istnieje od mniej więcej 3000 lat. Japończycy są poganami; panuje u nich cześć dla przodków czyli wiara tak zw. zinto, oraz z Chin przeszczepiony buddaizm i nauki mędrca chińskiego Kon-fu-tse. Chrześcijaństwo jeszcze nie wiele się rozkrzewiło w tym kraju.

Ludność Japonii wynosi około 50 milionów. Panującym jest cesarz japoński Mutsuhito.

Koreańczycy utworzyli też oddawna sobie państwo, przejmując zupełnie prawie kulturę i cywilizację chińską. Pod tym względem zajmują miejsce pośrednie pomiędzy Chinami a Japonią. Za pośrednictwem też Koreańczyków kultura chińska dostała się do Japonii. Państwo koreańskie nie mogło się rozwinąć należycie, gdyż wiecznie stanowiło jabłko niezgody pomiędzy Chinami a Japonią, wywołując krwawe wojny. Wkońcu Japonia po zwycięstwie, odniesionem nad Rosją w Mandżuryi, zawładnęła Koreą. Koreańczycy mają podobne wierzenia, co Chińczycy. Pomimo urodzajności ziemi lud jest biedny.

2. Ludy malajo-mongolskie

zamieszkują głównie Indyę tylną, równie dobrze uposażone przez przyrodę, jak kraje Azji wschodniej. Górzystość jednak kraju przeszkadzała rozwojowi kultury. Łańcuchy gór, przecinających cały półwysep (Indye tylne), oddzielają ludy mongolskie (Chińczyków) od pokrewnych górali południowo-chińskich.

Niektórzy zaliczają do ludów malajo-mongolskich także Chińczyków.

W Indyach tylnych, z ciepłym klimatem, mieszkają na zachodzie Birmanie czyli Burmanie, na wschodzie Anamici; wewnątrz tego półwyspu mieszkają ludy Thai, na północ od nich ludy Szan z Laosami, a południe zajmują właściwe ludy Thai czyli mieszkańcy Syamu (państwa syamskiego).

Wschodnia część kraju uległa kulturze chińskiej, a zachodnia hinduskiej z Indyi przednich. Do tych ludów południowo-wschodnich należą też Tybetańczycy, którzy zamieszkują wyżyny Tybetu w środkowej Azji i doliny, leżące na północnych stokach gór niebotycznych Himalaja.

Ludy malajo-mongolskie są pogańskie. Ich arcykapłan buddyjski Dalaj Lama mieszka w Tybecie, w mieście Lhaza.

3. Ludy altajskie.

Trzecia ta wielka odnoga rasy mongolskiej zajmuje Azję północną i po części środkową od morza Ochockiego aż do Laponii w Europie. Ludy te wiodą życie koczujące, zajmują się polowaniem, rybołówstwem i pasterstwem. Z historyi znane są jako najjeźdźcy celem zdobywania łupów i podboju innych narodów (najazdy Mongołów i Tatarów). Ludy te są co do języka i wyglądu zewnętrznego bardzo podobne do siebie. Są to Altajczycy tak nazwani od gór Altaj, położonych w Azji środkowej. Ludy te licznie zmieniały ciągle od najdawniejszych czasów swoje siedziby. Znamiona rasy żółtej (mongolskiej) najbardziej uwydatniają się u Altajczyków w wschodniej Azji, a zacierają się coraz bardziej ku zachodowi Azji i na krańcach wschodniej Europy, gdzie szczepy

altajskie pod nazwą Tatarów sasiadują z rasą białą, aryjską, a mianowicie z Słowianami tj. z Rosyanami i Rusią.

Co do języka dzielą się ludy altajskie na 4 wielkie szczepy: 1) Tunguzi z Mandżurami, 2) właściwi Mongołowie, 3) Samojedzi w północno-zachodniej Syberii i 4) Ural-altajskie ludy czyli Turanie (ludy fińskie i tureckie).



Kalmucy.

Tunguzi, do których należą Mandżurzy, zdobywcy w r. 1644 Chin, zajęli jako koczownicy z swemi

stadami reniferów albo renów znaczną część wschodniej Syberii.

Drugą odnogą północnych Azyatów tj. ludów altajskich stanowią właściwi Mongołowie z nadzwyczaj wydatnymi i wybitnymi cechami rasy żółtej, i zamieszkują pustynię Gobi, okolice jeziora Bajkalskiego i jako pasterze-koczownicy docierają aż do Afganistanu. Dzikie te ongi ludy i rozbójnicze dziwnie się uspokoiły po przyjęciu pogańskich wierzeń buddystów, przyniesionych z Indyi Wschodnich; obok tego wierzą w zabobony i złe duchy ukryte w przedmiotach, ludziach itp. Z powodu tych pogańskich wierzeń nazywają Mongołów też szamanami.

Nieraz dawniej pojawiali się wśród nich zdobywcy i najeźdźcy świata, a Mongołowie rzucali się na inne ludy, niszcząc i pustosząc wszystko po drodze. Toż znanem jest z historii imię takiego światoburcy mongolskiego i to Dżingis-chana.

Wśród właściwych Mongołów najważniejsze ludy są następujące: Mongołowie wschodni, i dalej Kalmucy i Buriaci.

Część Kalmuków wywędrowała w 18-tym stuleciu na zachód i za pozwoleniem cara rosyjskiego Aleksandra I osiadła w Europie nad ujściem Wołgi i

między Wołgą a Donem. Jest to jedyny naród igrze mongolski, pogański (budyści) mieszkający w Europie.

Trzecią odnogę ludów altajskich stanowią Samojedzi. Siedziby ich w północnej Syberii daleko rozproszone w okolicach, przez które przepły-



Buriatka.

wają wielkie rzeki sybirskie Jenisiej i Ob. Samojedzi są surowym narodem myśliwskim i zajmują najzimniejsze okolice Azji północnej (Sybiru).



Samojedzi.

Czwartą odnogą ludów mongolskich altajskich są ludy ural-altajskie czyli Turanie. Stanowią przejście od rasy żółtej do białej czyli też są ogniwem łączącym Mongołów z Europejczykami.

Ludy ural-altajskie czyli Turanie

tworzą osobny dział ludów altajskich, są liczniejsze (około 30 milionów) od właściwych Mongołów i dzielą się na 2 rodziny: południową czyli turecką i północną czyli fińską.

Tureckie ludy Azji środkowej na wschodzie co do języka i cech zewnętrznych zbliżają się do Mongołów. Natomiast zachodnie ludy tureckie bardzo są pomieszane z rasą białą (aryjską). Mniej zmieszane z rasą białą pozostały ludy tureckie Uzbeków, Uigurów i Jakutów w Syberii. Do zachodnich ludów tureckich należą przede wszystkim Kirgizi.

Ludy tureckie, koczownicze i pasterskie, wytworzyły mniejsze lub większe państwa (chanaty), w których chanowie (panujący) prowadzili świetny dwór

iłożyli wiele starań około podniesienia piśmiennictwa krajowego. Wymienić tylko wypadu Uzbeka (Oezbeg), chana (władzę) Złotej Ordy, lub kulawego Tamerlana, księcia Seldżuków w pustyni turkmeńskiej, chanaty (państwa) Chiwy, Bucharji lub Samarkandu.

Wspomnieć też należy o Osmanach (Turkach), którzy jeszcze w jedenastym stuleciu zamieszkiwali stepy turkmeńskie, a potem zjawili się na półwyspie Bałkańskim i w Małej Azji, zagrażając chrześcijaństwu i kulturze europejskiej. Wobec naporu ludów tureckich (tatarskich) Polska swego szasu obroniła chrześcijaństwo i kulturę; pozyskała też szczytne imię przedmurza chrześcijaństwa. Znaną też jest pomiędzy innymi sławna odsiecz Wiednia w r. 1683, który bez pomocy Polaków dostałby się w ręce Turków czyli Osmanów.

Rozbitki szczepów tureckich zamieszkuje jeszcze niektóre okolice Kaukazu, dalej nad Wołgą i nad jeziorem Balchasz. Obecnie należą prawie wszystkie ludy tureckie (tatarskie) w Europie i Azji do Rosji z wyjątkiem Osmanów, którzy zamieszkuje państwo tureckie z miastem stołecznym (dawniej greckim) Carogrodem (Konstantynopolem). Prawie wszystkie narody tureckie (tatarskie) są mahometkańskiego wyznania (mahometanie).



Tatar z Astrachanie nad Wołgą (Uzbek).

Fińskie ludy, mówiące odmiennym językiem od tureckich narzeczy, stanowią północną odno-



Mordwinka.

ropy, i to północno-zachodnią i wschodnią Rosję europejską. Ludy te rozpadają się na bardzo wiele szczepów, które tworzą 4 większe grupy: tak zw. u-gryjską, bułgarską, permską i w ściślejszem znaczeniu fińską.

Z grupy tak zw. u-gryjskiej Finów jedynie Madziary czyli Węgrzy, spokrewnieni z europejskimi Ostiakami i Wogułami, doszli do pewnego znaczenia, pomieszawszy się naprzód z narodami tureckimi, a potem ze Słowianami nad Dunajem i Cisa.

Co do grupy bułgarskiej, to Bułgarzy na półwyspie Bałkańskim należą dziś do Słowian; nie wielka bowiem liczba najeźdźców bułgarskich z nad Wolgi wynarodowiła się wśród Słowian serbskich, przyjęła ich język zupełnie i dała początek narodowi bułgarskiemu na Bałkanie. Do grupy tej Finów należą Bułgarowie nad Wołgą, i osamotnione wśród

gę Ural-altajczyków czyli Turanów.

Są przeważnie chrześcijanami i zamieszkują zachodnią część północnej Syberyi, oraz okolice północno-wschodniej Europy, i to północno-wschodniej Eu-

Rosyan kraiki z ludnością Czeremisów, Czuwaszów i Mordwinów w okolicy Moskwy.

Permska i właściwie fińska grupa zamieszkuje wschodnie krańce i północ Europy. Głównymi przedstawicielami tych grup są Permiacy w gubernii permskiej w Rosyi, dalej Lapończycy w północnej Szwecyi i Norwegii, Finowie w Finlandyi i Czuchny (Estończycy) w Estonii.



Węgierka.

Lapończycy jeszcze bardzo podobni do Mongołów. Finowie co do zabarwienia skóry i wyglądu zupełnie już podobni do ludzi białej skóry t. j. do Europejczyków, są chodowcami odpowiednich zwierząt domowych np. reniferów, oraz zajmują się polowaniem i rybołóstwem. Finowie w Finlandyi wytworzyli też sobie kulturę dzięki sąsiedztwu kultur ludów germańskich (Szwedów) i słowiańskich. Znane są też poezye Finów, a mianowicie utwór, opisujący czyny bohaterskie i starożytne podania, znany pod nazwą „Kalewala“.

4. Ludy polarne (podbiegunowe).

Na dalekiej północy, na krańcach lądu azjatyckiego i amerykańskiego, wysuniętych daleko na pół-

noc, mieszka i koczuje wiele szczepów i narodów w zimnym i mroźnym klimacie, zdobywając z trudem potrzebne pożywienie celem utrzymania życia.



Ostiaczka.

Prawie jest niemożliwym, ludy te wszystkie, liczebnie drobne, zaliczyć do jednej rasy wspólnej. Panują pomiędzy nimi znaczne różnice co do wyglądu, oraz co do języka. Posiadają jednak cechy rasy żółtej czyli mongolskiej.

Ludy te zajmują się polowaniem i rybołóstwem na brzegach azyatyckiego morza Lodowatego, morza Beringa i Ochockiego, i w wędrówkach swoich na północy dotarły do lądu amerykańskiego i do Grenlandyi (Eskimosi). Bez reniferów i psów ludy te polarne nie mogłyby wcale istnieć. Z powodu przenikliwego zimna ubierają się w futra zwierząt upolowanych, mieszkają często w jamach, wykopanych w ziemi albo w mieszkaniach, prawdziwych jamach nadziemnych, zlepionych z grubych ścian śniegu i lodu.

Ludy polarne dzieli się na dwie odnogi: 1) wschodnią w Azji i 2) zachodnią (Eskimosi) w Ameryce i Grenlandyi. Do odnogi wschodniej należą: Ostiaki i jenijscy (różniący się od Ostiaków fińskich nad rzeką Obem), Jukagiry nad brzegiem morza Lodowatego w Syberyi, Kamczadale na Kamczatce, Koriaki i Czukcze, chodowcy reniferów i psów polarnych.

Przedstawiciele zachodniej odnogi ludów polarnych są Eskimosi na pobrzeżu północnym lądu amerykańskiego i wyspach morza Lodowatego.

Siebie samych nazywają Eskimosi: „Inuit“ to jest: „ludzie ich rodzaju“, kiedy „Eskimo“ znaczy właściwie: zjadacze surowego mięsa.



Poset Kulerski z żoną w obozie Laponczyków pod Transoe w północnej Norwegii.

Na pobrzeżu północnym Alaski w Ameryce półn. i na wyspach polarnych (podbiegunowych) morza Lodowatego żyje do 5000 Eskimosów, na Grenlandyi zaś do 10 000, dokąd przybyli z wysp polarnych dopiero w 14-stym stuleciu. Od r. 1721 są Eskimosi w Grenlandyi chrześcijanami; inni zaś są dotychczas poganami. Podczas krótkiego lata w okolicach podbiegunowych (polarnych) odbywają Eskimosi swoje wędrówki wzdłuż wybrzeży morskich i to kobiety z dziećmi w większych łodziach, zwanych „Umiak“, a mężczyźni chętniej w wązkich długich czołnach, zwanych „Kajak“, zbudowanych z kilku drążków i skóry; w kajaku płynąć może tylko jedna osoba. Latem mieszkają Eskimosi w namiotach ze skór, zimą zaś w warownym, sklepionym budynku (szałasie), zbudowanym z brył śnieżnych. W takiej

warownej budzie przebywa zazwyczaj kilka rodzin, ogrzewając ją lampami otwartymi, które podsycają tranem. Jako knot służy im mała wiązka mchu suszonego. Budy zimowe Eskimosów są niskie wewnątrz, a prowadzi do nich długi ganek, również z brył śnieżnych zbudowany, w którym tylko jedna osoba może czołgać się na czworakach. Jedyne gankiem tym, wcale nie zamkniętym, dostać się też może świeże powietrze do wnętrza budy Eskimosa, w której zawsze panuje swąd i zaduch nie do opisanie. Ciepła tam jest też tyle, że wszyscy siedzą prawie nago. Psy ich pociągowe leżą na gołym sklepieniu bud śnieżnych i dosyć jeszcze otrzymują ciepła, uchodzącego przez grubą posowę śnieżno-lodową.

W okolicach mroźnych podbiegunowych, w krajach wiecznych lodów i śniegów, nie ma drzewa, ani krzewów. To też Eskimosi wyrabiają swoje narzędzia z kości i zębów upolowanych zwierząt, jako to: białych niedźwiedzi, wielkich fok jak np. koni morskich, dalej psów morskich, wielorybów itd. Drzewo, jakie się uda Eskimosom pochwycić, albo pochodzi z szczątków rozbitych okrętów albo też prądy morskie zapędziły je z południa hen daleko na północ. Do sanek swoich, nieraz z kości zmyślnie zestawionych, zaprzęgają Eskimosi psy swoje w Grenlandyi i na wyspach morza Lodowatego, a renifery na północnych krańcach lądu amerykańskiego.



Eskimosi.

Pożywienie swoje czerpią Eskimosi z morza, polując na zwierzęta morskie, raz już wyżej wymienione. To też mieszkają zawsze na brzegach morskich, nie zapuszczają się nigdy w głąb krajów ościennych.

III. Rasa czerwonoskórców amerykańskich czyli Indian.

Pierwotni krajowcy czyli Indianie na całym lądzie amerykańskim należą do rasy o zabarwieniu czerwonym, podobnym do koloru miedzi. To też nazywano ich czerwonoskórcami. Do niej zaliczają się, z wyjątkiem Eskimosów, wszystkie ludy amerykańskie, jakie poznano od czasu odkrycia Ameryki przez Kolumba w roku 1492. Wspólną cechą Indian jest, oprócz czaszek krótkich i sztywnych, kruczych włosów, kolor skóry czerwono-brunatny, przechodzący aż w barwę oliwkowo-brunatną, oraz nos wydatny, często gięty, „orli“, dosyć szeroki i mięsisty.



Indianin Siux w stroju narodowym.

Rasa amerykańska pochodzi prawdopodobnie z Azji, skąd dostać się mogła przed wiekami przez cieśninę Beringa do Ameryki. Do wytworzenia się rasy amerykańskiej mogły się też przyczynić w pewnym stopniu ludy malajo-polinezyjskie, znane z swych nieraz dalekich wycieczek i wędrówek morskich na wątych statkach i łodziach. To też wielu mniema, że na rasę czerwonoskórców amerykańskich złożyły się dwie rasy, pochodzące z Azji, a mianowicie rasa żółta (mongolska) i rasa malajo-polinezyjska



Rasa czarna.

1. Papua. 2. Murzyn australijski. 3. Negryt. 4. Murzyn afrykański. 5. Somali.
6. Murzynka z Loango. 7. Sudańczyk Aszanti. 8. Murzynka Herero (Bantu).
9. Ovambo. 10. Wedda. 11. Kafer Zulu. 12. i 13. Buszmani. 14. Hotentot Nama.
15. Tiki-Tiki.

czyli Mongołowie i Polinezyjczycy z wysp, położonych w morzu Spokojnem.

Ponieważ cały ląd amerykański odznaczał się niedostatkiem zwierząt, stosownych do oswojenia i chodowania jako zwierzęta domowe, przeto nie było tam wcale lu-

dów paster-
skich. Z wyją-
tkiem kultur-
nych szczepów
indyańskich w
Meksyku, środ-
kowej i południowo - zachodniej Ameryce (Peru, Kolumbia, Ekuador) są wszystkie ludy amerykańskie koczownikami - myśliwcami; zajmują się jednak co-
kolwiek tu i ow-
dzie uprawianiem-
których roślin,
jak n. p. maisu,
batatów, tabaki,
bawełny itd.

Od czasu odkrycia Ameryki bardzo wiele ludów, mianowicie myśliwskich w Półn. Ameryce zupełnie wyginęło wskutek naporu rasy białej, t. j. Europejczyków, albo też pomieszało się z przybyszami z Europy. Nie obyło się przy tem bez walk krwawych i okrucieństw, opisywanych nieraz nader barwnie i żywo w rozmaitych opowieściach o zaciekłych walkach Indyan z przybyszami europejskimi, którzy się wdzierali w ich dzierzawy i ziemię Indyan zabierali. W krwawych tych utarczkach i podjazdach sta-



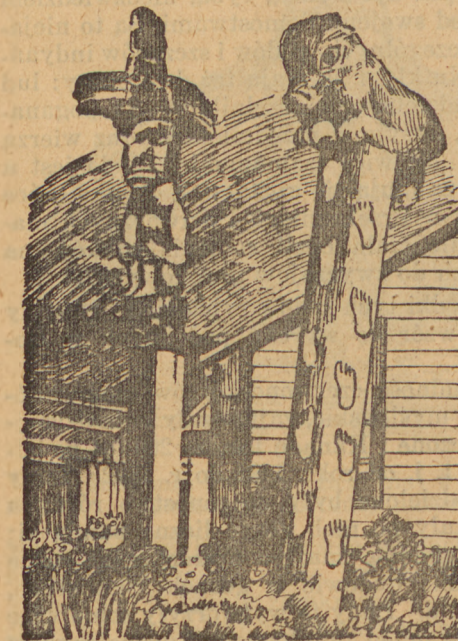
Indyanin z Brazylii.

rali się Indianie północno-amerykańscy zdobyć jak najwięcej czupryn, które wraz z skórą zdzierali z głów wrogów swoich, zabitych, rannych, a nawet i jeńców. Zdobyte te, zwana „skalp“, nosili Indianie u pasa jako znak odwagi i bohaterstwa. Ludy myśliwskie czerwonoskórców w Północnej Ameryce polowały szczególnie na bizona, rodzaj żubra amerykańskiego, które obecnie prawie zupełnie wyginęły.

Wyginęła też w Stanach Zjedn. Półn. Ameryki znaczna część pierwotnej ludności indyańskiej niemal

zupełnie; pozostało jej bowiem zaledwie może 300 tysięcy w tak zw. „rezerwach“, t. j. w osobno wyznaczonych obwodach dla Indyan. W Meksyku i środkowej Ameryce mieszka Indyan do 5 milionów, a więcej może jeszcze w Południowej Ameryce, jak n. p. w Brazylii, Peru itd.

Wogóle ma liczba ludów indyańskich dochodzić do 15 milionów.



Odznaki rodowe Indyan czyli Totemy.

Rozmaitość szczepów co do języka i wyglądu jest wśród Indyan ogromną. Przejście pomiędzy nimi a rasą żółtą (mongolską), zamieszkującą Azję, stanowią — jak już powiedziano — Eskimosi, a dalej spokrewnieni z Eski-

mosami mieszkańcy wysp Aleutów, a na lądzie amerykańskim, po stronie północno-zachodniej, ludy zwane: Tlinkity, Nutka, Haida, Czinuk i t. d. Ludy te mieszkają na pobrzeżu północno-zachodniem Ameryki, zajmują się rybołówstwem, mieszkają w dużych chatach, podobnych do koszar, z drzewa zbudowanych, ozdobionych różnemi rzeźbami. Poszczególne szczepy albo też rodziny czczą jako opiekuna jakiegokolwiek zwierzę, które w całości rzeźbią w drzewie. Słupy z takim wyrzeźbionem zwierzęciem, zwanem w języku Indyan „totem“, jak np. z żabą, rybą, niedźwiedziem itd. stawiają przed swojemi domostwami. Są to niejako herby dla poszczególnych rodów i szczepów indyjskich. Tlinkity, Nutki i t. d. mają też dwa stany: lud i szlachtę oraz udzielnych naczelników. Są poganami i czczą duchy, ukryte w przedmiotach oraz wierzą w czary i uroki. Są więc szamanami. Wiele jest u nich zabobonów; zajmują się gusłami, a dziwne tańce swoje odprawiają w przebraniach i dziwacznych maskach. Tatuowanie ciała czyli robienie znaków na ciele należy u nich do zwyczajów narodowych.

Słynne są wędki tych ludów rybackich. Służyły one nieraz jako wzór do wyrobu podobnych w Europie.

Pierwotna ludność czerwonoskórców amerykańskich i to narody myśliwskie, zajmowały całe dzisiejsze Stany Zjednoczone i Kanadę jeszcze 200 lat po odkryciu Ameryki, t. j. od roku 1492 do r. 1692. Ludy te myśliwskie podzielone były na mnóstwo różnych szczepów. Pozostały po nich dosyć liczne pamiątki: ogromne nasypy ziemne, mające przedstawiać różne zwierzęta, kamienne budowle w górach Skalistych, szanice okrągłe i t. d. Ludy te wytworzyły sobie więc już pewną kulturę przed przybyciem Europejczyków do Ameryki. Ciągły napór i bezwzględność tychże doprowadziły jednak w końcu ludy amerykańskie, pomimo rozpaczliwej obrony, do zupełnego upadku w Stanach Zjednoczonych. Szczepów rasy amerykańskiej żyło tam mnóstwo, tak że niepodobnem prawie wszystkie te ludy wliczać. Tak np. mieszkaly w Stanach Północnej Ameryki ludy Tine, Algonkin,

Delawary połączeni w zwiasek 5 szczepów z Mohikanami, Irokezy w Kanadzie, Hurony, ludy Dakota czyli „Siedem ogni doradczych“ lepiej znani pod nazwą śmieszna zohydzająca Indyan „Siux“, ludy Czerokee w Karolinie, Apacze i t. d.

Niektóre ludy amerykańskie zaczęły już używać metali do wyrobu narzędzi i broni w tym czasie, kiedy odkryto Amerykę. Ogólnie jednak wskutek wpły-



Indyanin Bakairi (Brazylia) w przebraniu maskowem do tańca narodowych.

wu Europejczyków z czasem wyparło żelazo pierwotną broń kamienną (noże, groty, ostrza krzemienne) u Indyan. Indyjanie zamknięci w sobie i mało wrażliwi, na wojnie lub polowaniu stawali się okrutnymi i pozbawionymi wszelkiego czucia. Nie odczynili się też niczem wielkiem. Jako poganie oddawali też cześć duszom zmarłych i „Wielkiemu Duchowi“. Obecnie wielu Indyan wyznaje wiarę chrześcijańską.

W Południowej Ameryce z dziewiętnastym wiekiem i olbrzymią rzeką Amazonką żyją jeszcze dotychczas dzikie ludy myśliwskie, koczownicze, bez stałych siedzib. Ludy te przebywają głównie w Brazylii i Gwa-

anie i nazywają się n. p. Nuaruak, Bakairi (Karaib), Tupi w Brazylii i Urugwaju, Guarani, Botokudy, Gezy itd. Ludy te, waleśające się w lasach dziewiczych, lubią malować i tatuować swoje ciała. Osobnym ich wynalazkiem jest hamak, w którym odpoczywają i śpią, zawieszeni nad ziemią w swych szalaszach.



Dziewczę indyańskie Bakairi (Karaibka) z Brazylii.

Wszystkie ludy rasy amerykańskiej palą lub żyją tytuń. Zwyczaj ten dostał się też z tamtąd do Europy i innych części świata.

Wszystkie ludy rasy amerykańskiej palą lub żyją tytuń. Zwyczaj ten dostał się też z tamtąd do Europy i innych części świata.

Zplemion zajmujących południowe okolice Ameryki południowej, zasługują na wzmiankę ludy: Araukanie, Tehuelcze, czyli Patagończycy i ludy Ziemi ognistej czyli tak zwani Peszere.



Patagończycy czyli Tehuelcze.

Patagończycy czyli Tehuelcze.

Po zaprowadzeniu koni w Ameryce Połudn. stali się Patagończycy (Tehuelcze) ludem konno jeżdżącym i rozbójniczym. Na obszernych stepach Połudn. Ameryki waleśają się i polują, używając długiej pętlicy (lasso) i krótkich powrozów z 2 lub 3 kulami (bola) do rzucania za zwierzyną i nieprzyjacielem. Mieszkańcy Ziemi ognistej są na wymarcu. Na półbrzeżu żywią się rybami morskimi i małżami, a w głębi kraju polują na zwierzę zw. guanako, które podobne jest do lamy, krewniaczki wielbłąda.

Amerykańskie ludy kulturne.

Oprócz powyżej wymienionych ludów myśliwskich, pozbawionych wyższej kultury, istniały na lądzie amerykańskim narody indyańskie z pewną własną kulturą, mianowicie w Ameryce środkowej. Spotykamy tam dziś jeszcze krewniaków dawniejszych Indyan kulturnych jako nieokresanych Indyan leśnych lub stepowych.

Kulturę rodzimą Indyan tych zniszczyli zupełnie zaborcy hiszpańscy. W Meksyku zamieszkiwał na równinie wyżyn Anahuak aż do jeziora Nikaragua kulturny naród indyański Tolteków, a później Azteki. Oba narody przybyły z Północnej Ameryki. Istniało tam rolnictwo z sztucznym nawadnianiem, głównie z uprawą maisu i tytoniu. Lud był więc w Meksyku osiadły i rolniczy. Wznoszono mosty, budowano szosy, wspaniałe gmachy kamienne i pomniki, chociaż nie znano jeszcze narzędzi z żelaza i stali. Do wyrobu narzędzi i broni używano brązu i kamienia. Narody te, a mianowicie Azteki, zaprowadzili też w swem państwie urzędzenia pocztowe. Panujący n. p. u Azteków był cesarz, samowładzca (despota) Montezuma, którego władza opierała się na wojsku.

Znane były u nich różne rzemiosła, jak n. p. garncearstwo; pył złoty w rurkach piór znaczył u nich tyle, co pieniądze, a ziarnka owocowe rośliny kakao były drobną monetą.

Azteki wytworzyli też sobie kalendarz, dowcipny sposób rachuby czasu, i przedewszystkiem rodzaj

pisma obrazkowego, oznaczającego zgłoski (sylaby). Wiele cennych zapisków, dotyczących dawniejszych dziejów meksykańskich, ryto w kamieniu, na naczyaniach z gliny wypalanej lub umieszczano na pergaminie (skórze). Zapiski te, jako dokumenty z czasów świetności kultury ludów tych indyjskich



Ruina świątyni indyjskiej.

stwierdzają, iż w Meksyku kultura indyjska osiągnęła bodaj najwyższy stopień rozwoju na lądzie amerykańskim. Kulturę tę jednak zohydzały i poniżały krwawe praktyki pogańskie ludu, a nawet wstrętne ludożerstwo. Azteki bowiem zabijali ludzi na o-

fiarę bożkom swoim i spożywali nawet niektóre części ciała zabitych ofiar.

Kulturę Azteków i Tolteków zniszczył docna w roku 1519 hiszpański zdobywca, Ferdynand Korteż. Teraźniejsze miasto Meksyk wznosi się na gruzach i szczątkach dawniejszej stolicy Azteków, zwanej w ich języku Tenochtitlan.

Wpływ kultury indyjskich Azteków i Tolteków sięgał dalej jeszcze na południe w środkowej Ameryce. Podobną kulturę miały ludy indyjskie Maja na półwyspie Jukatania, w Guatemali i Honduras. Ludy te podobnie jak Azteki i Tolteki, pozostawiły olbrzymie budowle pomnikowe (świątynie) z rzeźbami dziwaczными i pismem obrazkowym. Obecnie żyją tam na pół dzikie plemiona indyjskie, jak np. Indianie Talmanki w Kostarika, lub Moskity i Ulua w Nikaragui.

W południowej Ameryce mieszkali kulturowe ludy indyjskie po stronie zachodniej, gdy połać wschodnią od strony morza atlantyckiego zajmowały ludy myśliwskie, na pół dzikie.

Siedziby dawniejszych ludów kulturowych południowej Ameryki rozciągały się od brzegów morza Spokojnego aż do wyżyn wśród gór Kordilerów.

Państwo ludów Czi p e z a istniało w kraju Bogota, dalej zaś na południe wśród wyżyn aż do Chili, państwo Inka z ludami Keczua i Junka. O kulturze tych ludów świadczą szczątki olbrzymich budowli i urządzenia do nawadniania pól. Kwitnęło tam rolnictwo i sadownictwo.

Zaborcze państwo Inka w Peru miało na czele królów, którzy rządili samowładnie. Lud zajmował się rolnictwem i chowem zwierząt domowych (lam), oraz znał przemysł i rzemiosło. Wszelkie prace odbywały się pod dozorem władz. Celowano w garncarstwie, w wznoszeniu olbrzymich budowli i pomników kamiennych, co wprawiało swego czasu Hiszpanów w podziw niemały. Znano miedź i kruszcze, oraz srebro i złoto. Ludność mieszkała w osadach i miastach, połączonych z sobą wygodnymi szosami. Rolnictwo posługiwało się sztucznym nawadnianiem i nawozami.

Budowano mosty i wodociągi. Posłańcy spełniali w państwie Inka zadanie poczty. W państwie tem znano też rodzaj pisma. Robiono na długich sznurach szypły a szczególnie znawcy umieli odcyfrować, co te szypelki mają znaczyć.

Mnóstwo wielkich i wspaniałych gmachów i budowli na pół zburzonych, świadczy dziś jeszcze o bogactwie dawniejszem i o pilności mieszkańców. Na ścianach budowli umieszczano rzeźby i ozdoby dziwaczne, artystycznie wykonane. Umiano też balsamować zwłoki. Ludy te kulturalne były pogańskie i oddawały cześć przodkom, a jako przedstawiciela słońca i zarazem ojca i opiekuna wszystkich poddanych czczono króla samowładcę, nazwiskiem Inka. Tak wspaniałe państwo Azteków w Meksyku, jak i państwo Inkasów w południowej Ameryce zniszczyli zdobywcy hiszpańscy. W r. 1531 uczynił to z państwem Inkasów w Peru, znany z historii Hiszpan Pizarro.

Terażniejsi Indyanie w Peru, Bogota i t. d. zbliżają się do dzikich plemion indyańskich, myśliwskich, jakie zamieszkują ogromne lasy dziewicze na wschodniej polaci Ameryki południowej (Brazylia, doliny olbrzymich rzek Amazonki i Orinoka). Z całej świetności państwa Inkasów pozostała tylko pilność indyańska i pracowitość krajowców, zamieszkujących Peru, Boliwią i Chili.

IV. Rasa malajska.

Według najnowszych zapatrywań ojczyzną Malajczyków są Indye tylne w Azji południowej. Ztamtańd wyruszyli Malajczycy na południe i z czasem zajęli wyspy, położone pomiędzy Azją a Australią. Wyspy te zamieszkuje przeważnie rasa malajska: to też nazywają je „wyspami malajskimi“. W Azji znajdujemy obecnie Malajczyków tylko na półwyspie Malakka, tak zw. półwyspie malajskim.

Malajczycy są rozrzucony na ogromnej przestrzeni; dochodzą bowiem od wyspy afrykańskiej Madagaskar aż do ostatniej wyspy na wschodzie Morza Spokojnego, to jest do wyspy Wielkanocnej, a na pół-

nocy od Japonii aż het daleko do Nowej Zelandyi na południe od Australii. Malajczycy są poniekąd podobni do Mongołów: oczy są mongolowate, to jest cokolwiek małe skośnawe, włosy zupełnie czarne, długie, twarde, zwijające się jednak czasem w kędziory, skóra barwy jasno-brunatnej lub ciemno-żółtej, prawie bez śladu włosów na ciele, prawie też brak zupełny zarostu na twarzy u mężczyzn.



Dziewczę jawańskie.

Niektórzy są tego zapatrywania, iż Malajczycy nie stanowią rasy osobnej, lecz są mieszańcami 3 ras, i to rasy mongolskiej, ural-altajskiej i w małym stopniu murzyńskiej azyatycko-australskiej (Papua); przewagę jednak mają u nich właściwości rasy mongolskiej czyli rasy żółtej. To też zaliczają niektórzy Malajczyków wraz z ich krewniakami Polinezyjczykami wprost do rasy żółtej czyli do mongolskiej. Do rasy malajskiej należą: 1) właściwie Malajczycy. 2) Polinezyjczycy i 3) Mikronezyjczycy.

1. Malajczycy.

Właściwi Malajczycy zamieszkują wschodnią część wyspy afrykańskiej Madagaskar. Sami zwą się: Howa. Dalej zamieszkują tak zw. wyspy malajskie, (archipelag malajski), ciągnące się na zachód od wyspy Nowej Gwinei (Melanezyi) aż do Azji pół-

dniowej, jako to Celebes, Borneo, Jawa, Sumatra, i w końcu wyspy Filipiny, Formozę i półwysp azyatycki Malaka. Wyspy te leżą w okolicy równika i mają klimat podzwrotnikowy, gorący. W przeciwieństwie do wesołych i poufałych murzynów Papua lub Polinezyjczyków, okazują Malajczykowie poważne, skryte, niedostępne usposobienie; pomimo to słyną jako zręczni kupcy i handlarze. W zwyczaju są u nich walki kogutów, jak np. na wyspach Filipinach, Jawie, itd. Znanem u Malajczyków jest odurzanie się opiumem (zasuszonym sokiem z zielonych makówek), który palą w małych fajeczkach, polykając dym. To też zdarza się, że popadają wskutek tego w szal. Gdy więc na wsi lub w mieście na ulicy rozlegnie się ostrzegawczy i złowrogi okrzyk: „Amok ! Amok!“, wówczas ucieka każdy z drogi przed takim obłąkanym Malajczykiem, który każdego napotkanego człowieka w szale swoim rani nożem tak zw. „krisem“ lub zabija na miejscu. Szalonego ściga zaraz policja, wojsko, a nawet ludność i krępuje lub też zabija go bez namysłu.

Malajczykowie zajmują się rolnictwem, kucpactwem i żeglarsstwem. W wielu okolicach wytrzebili już lasy dziewicze, by mieć pole do uprawy przedewszystkiem ryżu, jak np. na wielkiej wyspie Jawie. Zarazem zajmowali się i zajmują handlem. To też język malajski stał się tam mową ogólnie znaną.

Pierwotne wierzenia Malajczyków na wyspie Jawie w duchy, upiory i czary bardzo się zatarły i zwały pod wpływem innych wierzeń pogańskich,



Wojownik malajski.
(Wyspy Filipińskie).

przeniesionych z Indyi Wschod. w Azji południowej. Po roku 1300 dotarła z Arabami wiara mahometańska do Jawy i do innych wysp malajskich, i Arabowie taki wpływ wywarli na Malajczyków, szczególnie na Jawie, że jeszcze dziś posługują się Malajczycy arabskimi literami. Wskutek wpływu Indyi Wschodnich powstały np. na Jawie przepyszne, olbrzymie świątynie pogańskie, brahmińskie, a potem buddyjskie, które jeszcze do obecnych czasów się zachowały wśród ludności na wkróć mahometańskiej.



Walka z szalonym Malajczykiem na Jawie.

Najsławniejszą jest taka świątynia pogańska w Bodobudur na Jawie; na wyspie tej osiągnęli Malajczycy stosunkowo najwyższy stopień kultury. Mają swoje dzieje, literaturę, teatr i budownictwo.

Ubiór Malajczyków jest rozmaity; zwykle obwijają się sztuką materyi bawełnianej, wzorzystej w barwach jaskrawych, która sięga tylko cokolwiek powyżej pasa. Szatę tą nazywają: sarong.

Liczne są szczepy malajskie, jak np. Tagale na Filipinach, dzikie Dajaki czyli Olo Niadzu, jak sami siebie nazywają, na wyspie Borneo, a na Sumatrze ma-

lajskie ludy: Orang atiek czyli Atezin, z którymi ciągle walczą Holendrzy, dalej Orang radiang, Orang sampong, Bataki; na Jawie: Sundanezi, właściwi Jawańczycy i Madurezi; na azyatyckim półwyspie Malaka, gdzie są w użyciu nazwy: Orang benua, (tyle co ludzie rolnicy), Orang dagong (ludzie kupcy) itd.

Na ogół wierzą Malajczykowie w duchy, upiory i czary i oddają cześć duchom zmarłych przodków. Bardzo rozpowszechniony wśród „dzikich“ Malajczyków jest zwyczaj zdobywanie głów (czaszek) i oddawanie im pewnej czci. Nieraz czaszki zmarłych barwią i noszą z sobą na puklerzu lub w osobnych koszykach. Polują też wprost na czaszki, napadając z zasadki na obcych i ucinając im głowy za jednym zamachem ostrego miecza. Są to „złodzieje“ i „rabusie“ głów ludzkich. O zdobycie głów toczą się nieraz zażarte, nieustanne walki wśród dzikich szczepów malajskich, jak np. Dajaków na wyspie Borneo. Ludy malajskie używają metali do wyrobów broni i narzędzi, znają tkactwo, garncarstwo, uprawę ryżu i innych płodów rolniczych i nawadnianie pól.

Stopień kultury jest u nich nader różny. Niektóre szczepy odznaczają się okropną dzikością, jak np. Dajaki, rabusie głów ludzkich, którzy wydmuchują



Jawanka.

też zatrute strzały z rur trzeińowych podstępnie z ukrycia na nieprzyjaciela w dziewiczych lasach wyspy Borneo, albo Bataki w okolicach górzystej Sumatry, którzy jeszcze dziś są ludożercami. Inne szczepy malajskie wzniosły się na pewien stopień kultury, jak np. na Jawie, i założyły państwa z samowładcami na czele.



Stary wojownik malajski z wojenną zdobyczą (Wyspy Filipińskie).

O Malajczykach wyraził się pewien nczony i znawca tychże w następujący sposób: Malajczyk w niekoniecznie dobrym świetle nam się przedstawia, gdyż jest skryty, milczek, niewolniczo uległy wobec wyższych od siebie, surowy i wyniosły wobec niższych od siebie, okrutny, mściwy i łatwo obraźliwy. Są to wady, które rasa malajska nabyła kiedyś ciemiona pod twardestwem jarzmem i panowaniem obcych władców i najeźdźców.

Sławni są nurkowie malajscy; cenne są ich usługi przy połowie perel, jakie się znajdują w pewnym gatunku małży (muszli) morskich. Nurkowie malajscy wynajmują się zwykle Europejczykom jak np.

Anglikom lub Holendrom i tam gdzie morze nie jest głębsze jak 16 metrów, wydobywają z morza małże, zawierające perły. Zwykle jednak odważają się tylko

na nurkowanie w miejscach, w których głębokość morza wynosi 4–5 metrów. Ciężki to zawód nurka; grozi mu bowiem nieraz napaść, a nawet śmierć ze strony ludojada rekina, drapieżnej, wielkiej ryby morskiej; także wrogami nurka są straszliwe polipy morskie, czasem ogromnie wyrosłe, które swymi wężowemi ramionami oplatają ciało nurka, by je wyssać, tak jak to pająk czyni z muchą lub komarem.

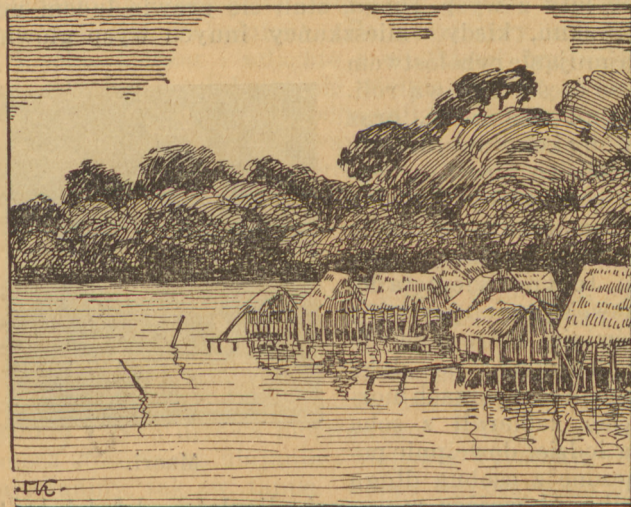


Dajaki.

2. Polinezyjczycy.

Malajczycy jako lud żeglarski i lubiący włóczęgę i podróże po morzu, osiedlali się nietylko na wyspach malajskich, jako to na Jawie, Sumatrze itd., ale także na innych mniejszych wyspach, na morzu Spokojnem. Zjawili się tam Malajczycy, wyparci z Azji, już bardzo dawno, a straciwszy bliższy związek z resztą Malajczyków, wytworzyli plemię polinezyjskie. Ludność wysp odnośnych możnaby nazwać właściwie Malajczykami morza Spokojnego.

Wyspy, zamieszkane przez nich, nazywają ogólnem mianem: Polinezyą, wziętem z języka greckiego, a oznaczającym: wiele wysp.



Mieszkania Malajczyków na Nikobarach.

Mają one klimat podzwrotnikowy, gorący, z wyjątkiem Nowej Zelandyi. Do Polinezyjczyków należą Samończycy (wyspy Samoa), Tonganie (wyspy Tonga), Taganie, dalej ludność Maori na Nowej Zelandyi, oraz ludy na wyspach Marquesas, Paumotu, Tahiti i Hawai. Wyspy te leżą w znacznej odległości od siebie. Polinezyjczycy mówią językami, pokrewnymi z mową Malajczyków, z którymi mają wiele cech wspólnych, a mianowicie sztywne, czarne włosy na głowie, żółtawo-brunatną skórę i krótkie czaszki (okrągłe). Twarze jednak mają łagodniejsze od malajskich, ruchy pełne wdzięku i nader wesołe, prawie dziecięce usposobienie. Wogóle twarze Polinezyjczyków są też bardzo podobne do europejskich.

Ogólnie znana jest u nich sztuka tatuowania czyli nacinania skóry w pewne wzory, które napusz-

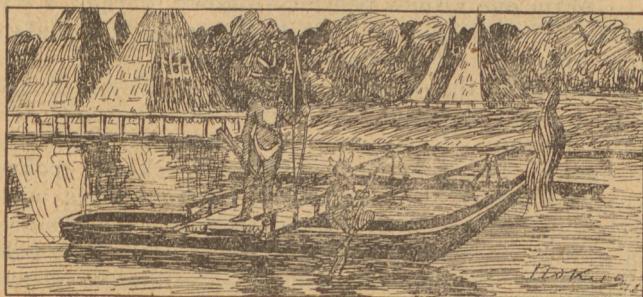
czają barwą niebieską, czarną (sadzami, prochem strzelniczym i t. d.).

Maori na Nowej Zelandyi, dokąd przybyli przed 250 laty z wysp Tonga, stali się prawie ludem myśliwskim, kiedy mieszkańcy innych wysp głównie zajmują się rybołówstwem i po części uprawą roli.

Bujna roślinność, oraz palmy kokosowe, drzewo chlebowe i rośliny wydające kłęby jadalne zabezpieczają zupełnie Polinezyjczyków od głodu. Jedyne zwierzęta domowe są u nich psy, kury i świnie, które w swych wędrówkach po dalekich przestworzach morskich zabierali z sobą na łodzie, dowcipnie połączone z osłoną długą belką, pływającą w pewnej odległości od łodzi, by ta nie mogła się wywrócić. Narzędzia wyrabiali sobie Polinezyjczycy z kamienia gładzonego, drzewa i ko-



Maori.



Łódź z „wykładnikiem“ u Papuasów i Polinezyjczyków.

ści. Siekierki mieli kamienne, maczugi i miecze z drzewa, nasadzone ostre zębami rekina. Jedyne na wyspie Palau znano garncarstwo; inni Polinezyj-

czycy gotowali i przyprawiali sobie jedzenie w dołkach, w które wrzucano rozżarzone kamienie.

Z kilku rodzin składają się ich osady, zwykle zakładane nad brzegiem morskim, kiedy wnętrze wysp jest mało zaludnione. Polinezyjczycy wytworzyli sobie książąt i szlachtę z wielkimi przywilejami, gdy lud musiał ponosić wielkie ciężary. Wierzyli w duchy i upiory i oddawali cześć przodkom. Znane są u nich zakazy używania tych i owych przedmiotów, udawania się do tego i owego lasu, doliny, a nawet do wysp. Zakazy te oparte o wierzenia w duchy przodków, znane są pod nazwą: tabu.

Obok książęcych naczelników znani są u Polinezyjczyków pogańscy kapłani, którzy zajmowali się czarami i urokami. Obecnie zaprowadzono na wielu wyspach polinezyjskich chrześcijaństwo. Zwyczaj ubiór Polinezyjczyków stanowi rodzaj krótszej lub dłuższej spódniczki lub zapaski, zw. lawalawa, wyrabianej z łyka drzewa morwowego. Z łyka tego za pomocą stosownego ubijania i klepania wyrabiają rodzaj tkaniny, tak zw. tappa. Śpią i wycoczywają na miękkich matach (plecionkach) i mieszkają w szałasach, zbudowanych z drzewa i z wielkich liści palm. Z drzewa tychże wyrabiają wszystkie sprzęty; dziwaczne są ich rzeźby w drzewie. Śpiewy ich opierają się na starożytnych podaniach i bajecznych klechdach.

Wspaniały klimat i nadzwyczaj szcudra przyroda wytworzyły u Polinezyjczyków wielką wesołość usposobienia i zarazem ogromne lenistwo. To też tamtejsi europejscy osadnicy do robót polnych sprowadzać muszą robotników z innych okolic, jak n. p. z Chin. Od czasu zetknięcia się z Europejczykami wymierają powoli Polinezyjczycy.

Szczep polinezyjski na Nowej Zelandyi niegdyś urządzał polowania na olbrzymie ptaki, podobne nieco do strusi, znacznie jednak większe i silniejsze od tychże. Wzrost ich wynosił 4 metry. Polowania te połączone były z wielkim niebezpieczeństwem dla myśliwców. Z czasem wytępili Maorysi ptaki te olbrzymie, zwane „Moa“, zupełnie na Nowej Zelandyi;

pamięć o wyprawach i walkach z niemi zachowała się jednakże w pieśniach Maorysów.

3. Mikronezyjczycy.

Lud ten, pochodzenia malajsko-polinezyjskiego, zamieszkuje wyspy, położone w kierunku północno-zachodnim od wysp polinezyjskich. Nazwa Mikronezyja, którą nadano gromadom drobnych wysepek, pochodzi od słowa greckiego i oznacza małe wyspy. Leżą one na wschód od wysp malajskich (n. p. Jawy), a na północ od Nowej Gwinei. Ludność tych wysp nazywają Mikronezyjczycami. Plemię to wzrostu średniego, o skórze brunatnej, nie należy wprost do Polinezyjczyków. Są to właściwie mieszańce Polinezyjczyków z murzynami Papua. W mieszańcach tych przeważa jednak wpływ pochodzenia od Polinezyjczyków.

Wyspy mikronezyjskie pod względem klimatu i szczodrych darów przyrody w niczem się nie różnią od wysp polinezyjskich.

Mikronezyjczycy mają role uprawne i osady swoje zwykle nad brzegiem morza. Sadzą rośliny, jak n. p. jams dla kłębów jadalnych, oraz żywią się orzechami kokosowymi, owocami drzewa chlebowego, rybami i mięczakami (ślimakami).

Mikronezyjczycy z powodu sąsiedztwa morza są biegłymi i odważnymi żeglarzami, którzy dawniej na awych łodziach, podobnie zbudowanych jak łodzie murzynów Papua i Polinezyjczyków, dalekie odbywali podróże morskie, kierując się według położenia gwiazd w nocy na niebie.

Co do usposobienia i charakteru, to rozmaicie się przedstawiają Mikronezyjczycy. Na wyspach niektórych licznej rzeszy wysepek Palau mieszka jedno z najweselszych i nader uprzejmych plemion ludzkich na świecie. Natomiast na dalekim wschodzie, na wyspach Marszałkowskich, jest ludność mikrone-

zyjska niby też miła, ale zarazem podstępna i mściwa. Narzędzia i sprzęty, odzież i domostwa są u Mikronezyjczyków te same, co u Polinezyjczyków.

Do Mikronezyjczyków należy ludność wysp: Karoliny, Maryany, oraz ludność na wyspach Marszałkowskich i Gilberta.

Wśród Mikronezyjczyków oraz Polinezyjczyków było dawniej rozpowszechnione ludożerstwo. Z przesądów lub z nienawiści pożerano na wielu wyspach ciała zabitych nieprzyjaciół. Wskutek chorób, zawleczonych przez Europejczyków, wymiera ludność mikronezyjska i polinezyjska. To też obecnie nie ma więcej Polinezyjczyków nad 35 000, a Mikronezyjczyków mieszka na Karolinach i wyspie Palau do 20 000, 30 000 na wyspach Gilberta i 12 000 na wyspach Marszałkowskich.

U. Rasa czarna czyli Murzyni.

Ludy o najciemniejszym zabarwieniu skóry zalicza się do rasy czarnej. Siedziby ich znajdują się w okolicach gorących, podzwrotnikowych, tam więc, gdzie słońce najbardziej dogrzewa.

Wśród rasy czarnej odróżnia się dwie główne odmiany: 1) afrykańską i 2) australską (azyatycko-australską), przedewszystkiem ze względu na różnice w owłosieniu głowy. Odmiana afrykańska odznacza się bowiem włosami kędzierzawymi, podobnymi do wełny owczej, odmiana zaś australska ma włosy długie, pozwijane w kudły pakulaste.

Murzyni afrykańscy.

Rasa murzyńska w Afryce ma ciemne zabarwienie skóry, podobnie jak murzyni Papua na wyspach Morza Spokojnego w sąsiedztwie Australii. Jednakowoż nosy u murzynów afrykańskich są znacznie szersze i bardziej płaskie od nosów murzynów Papua, wargi ich są też bardziej pełne i mięsiste, a dolna część twarzy wysuwa się więcej naprzód. Twarze też murzynów Papua są łagodniejsze. Zwarta lu-

dność murzyńska zamieszkuje gorące okolice Afryki, a mianowicie kraje położone na południe od pustyni Sahary.

Ludów tych murzyńskich jest niezmiernie wiele, a prawie wszystkie są mniej lub więcej pomieszane z innymi plemionami obcymi, jak np. z plemieniem chamickim lub semickim, które należy do rasy białej. Według języka podzielić można murzynów w Afryce na dwie wielkie rodziny, i to na murzynów 1) Bantu i 2) murzynów w Sudanie. Wędrowki murzynów w Afryce trwają jeszcze ciągle. Wiele ludów zmienia tam swe siedliska nieustannie.

Oprócz Afryki znajdujemy murzynów i to głównie Sudańczyków, w Ameryce (od r. 1510), dokąd dostali się z Afryki wskutek handlu niewolnikami.

1. Murzyni właściwi czyli Bantu

odznaczają się bardzo ciemną skórą. Plemię to silne i kościste, posiada skórę, podobną w dotknięciu do aksamitu, która wydaje woń nieprzyjemną dla nosów naszych. Języki ludów Bantu używają równych przydatków, które się dodaje na początku do słów, aby coś bliżej oznaczyć. Tak n. p. Wa oznacza mieszkańców pewnego kraju, M zaś jednego mieszkańca, a Ki język, U zaś kraj wogóle. Uganda znaczy zatem kraj „Uganda“, Waganda = mieszkańcy Ugandy; Mganda = mieszkaniec Ugandy, a Kiganda = język Ugandy. Nazwa murzynów „Bantu“ jest liczbą mnogą od M-tu i oznacza „ludzie“. M-tu zaś znaczy mąż, człowiek. Murzyni Bantu osłaniają nagość ciała fartuszkami z liści bananowych lub palmowych, a w niektórych okolicach też skórkami dzikich zwie-



Murzynka (Afryka wschodnia).

rzat. Na pobrzeżu morskiem rozpowszechniły się europejskie tkaniny bawełniane.

Broń wyrabiają sobie murzyni sami z żelaza. Znajdujemy zatem u nich dzidy, włócznie, noże, siekierki bojowe i maczugi żelazne. Łuk i strzały spotyka się przeważnie u ludów z niską kulturą. Mieszkania murzynów Bantu są szałasami okrągłymi, pokrytymi plecionką z trzciny, rogózia lub liści palmowych. Budują jednak murzyni Bantu także szałas



Chaty murzynów (Bantu).

o czterech węgłach, podobne do lichych chat europejskich. Widzi się takie szałas, mianowicie w okolicach nad rzeką Kongo wśród pól na polankach, powstałych po wytrzebieniu dziewiczych gąszczy leśnych.

Pożywienie powyższych plemion murzyńskich składa się do połowy z pokarmów roślinnych i mięsnych. Jedynie ludy myśliwskie i pasterskie, jak n. p. Kafrowie, odżywiają się przeważnie mięsem. Po

większej części jednak znają uprawę roli za pomocą dziabki żelaznej i hoduja płody ziemne, (maniok i jams), dalej bataty, orzechy ziemne, fasolę, kukurydzę (mais), a szczególnie proso murzyńskie, zwane „durra“, z którego warzą sobie rodzaj piwa. Oprócz tego sadzą trzcinę cukrową, tytuń, konopie i ananasy.

Murzyni jako rolnicy i pastarze należą do ludów osiadłych.

Mają osady, wsie, a nawet coś w rodzaju miast i zdołali utworzyć małe państewka.

Zaznaczyć należy u nich ogromną wytrzymałość i pracowitość; lubią jednak też sobie dogadzać i „użyć świata“. Znana też jest ich lekkomyślność, tak że nie pamiętają o jutrze. Na tem też polega ogólnie ich wesołe usposobienie.



Murzynka przy pracy w polu
(Loango, Afryka zach.).

Natomiast jest los murzynek pożałowania godny. Wszędzie są robotnicami, a właściwie niewolnicami, które się kupuje i sprzedaje.

Znaczniejszym plemieniem w południowej Afryce są n. p. Kafrowie i ich pobratymcy Beczuanie. Są to koczownicy, ludy pasterskie i wojownicze.

Sąsiedzi ich, południowo-zachodnie plemię Bantu w okolicy rzeki Sambesi, stanowią przejście od koczowników południowo-afrykańskich do plemion rol-

niczych, osiadłych w Afryce południowej. Do plemienia Bantu należą dalej wschodni Afrykanie; ludy te są rolnicze i osiadłe.

Mieszkania Kafrów, Beczuanów i t. d. stanowią szałas okrągły, z których składa się wieś murzyńska, zwana „kralem“, otoczona wkoło mocnym płotem. Wieś taka oraz „miasto“ nie posiada żadnych prostych ulic. Budowanie szałasów należy do zajęć kobiet. Dokoła szałasu gromadzi murzyn-koczownik swoje stada owiec, kóz i bydła i otacza je zasiekami, wzniesionymi z cierni i pni, by je zabezpieczyć przed napadem drapieżnych zwierząt, a mianowicie lwów.

Mężczyźni zajmują się, prócz polowania, jedynie hodowlą bydła. Dorywczą uprawą roślin zajmują się kobiety.

Na ogół są murzyni Bantu poganami; wierzenia ich są nader dziecinne. Wszędzie przeważa wiara w duchy i czary, oraz w duchy niby zaklęte w rozmaitych przedmiotach, zwanych „fetyszami“.



Chaty murzyńskie w środkowej Afryce.

Najbardziej na południe wysunięty odłamek murzynów Bantu stanowią, jak już wyżej powiedziano, Kafrowie, wśród których najbardziej wojowniczym ludem są Zulusy i Matabele. Nazwę „Kafrów“ nadali

im Arabowie dla tego, że nie chcieli zostać mahometanami. „Kafir“ zaś po arabsku znaczy niewierny.

Pobratymcy Kafrów, Beczuanie, nie są wojowniczego uspołobienia. Słyną jako kowale.

Do południowo-zachodnich murzynów Bantu należy ludność, zamieszkująca kolonie niemieckie w zachodniej Afryce. Są to ludy Owaherero czyli Herero, Owambo i Ondonga, do których zaliczyć można lud Damara, oraz ludy z nad rzeki Sambesi.

Hererosi, lud pasterski, znani są z ostatniego powstania przeciwko niemieckiemu panowaniu. Powstanie to trwało od r. 1903 do 1906 i skończyło się prawie zupełną zagładą szczepu murzyńskiego Herero.

W Kamerunie mieszkają narodki murzyńskie Dualla.

W niemieckiej wschodniej Afryce mieszkają w południowej stronie szczepy murzyńskie Wahehe, Wagogo i Mafiti, więcej ku północy przebywają murzyni Waniemwezi, którzy jako handlarze i tragarze docierają do samego brzegu morza i do Sansibaru. Na samym pobrzeżu niemieckiej wschodniej Afryki zamieszkują murzyni Suaheli lub raczej Wa-Suaheli, których język przejął wiele słów arabskich i stał się mową ogólnie znaną dla kupców i handlarzy w wschodniej Afryce. Język ten murzynów Bantu, pomieszanych po części z Arabami, jest też ważnym z tej przyczyny, że stanowi w tych okolicach niejako język literacki. W języku tym istnieje wiele utworów poetycznych, wierszy, przysłów, powieści i t. d. Język ten nazywa się po murzyńsku Ki-Suaheli. W końcu wymienić też jeszcze można murzynów Wa-Ruanda, mieszkających w kraju Ruanda nad jeziorem Kiwu; kraj ten po części należy do posiadłości Niemiec w wschodniej Afryce i odznacza się wielką urodzajnością.

Najważniejszymi ludami w kraju Kongo są murzyńskie narodki przy wielkich jeziorach, jak np. Viktorya-Niansa, Albert-Niansa i Tanganika. Tam w kraju Uganda, Unioro i Karogwe pod panowaniem chamickich ludów pasterskich, które wtargnęły z północnej Afryki do Ugandy i t. d., utworzyły się kiedys

kwitające i ludne państwa, jak np. Wahuma, Wagan-da (Uganda) Wanioro i t. d. Najbardziej wojowniczy z tych mieszanców, Chamitów z murzynami, są Masaje.

Ludy dotąd wymienione należą do właściwych murzynów afrykańskich; wszystkie używają narzęczy języka, zwanego Bantu.

Drugą odmianę (grupę) murzynów afrykańskich stanowią

2. Sudańczycy,

mieszkańcy gorącego i suchego Sudanu. Kraj ten ciągnie się na południe od pustyni Sahary do Kamerunu, a na zachodzie od Senegambii ku wschodowi aż do Abisynii. Na tej olbrzymiej przestrzeni z klimatem gorącym rozciągają się głównie stepy i lasy. Ludność murzyńska jest mniej lub więcej, a nieraz nawet znacznie pomieszana z ludami chamickimi (Berbrami, Tuaregami i t. d.) i semickimi (Arabami), które zalicza się do rasy białej. Niektóre ludy sudańskie zajmują się też uprawą roli i mieszkają we wsiach, osadach, a nawet w miastach, liczących do 50 000 dusz, jak np. w okolicy jeziora Tsad. Na ogół są Sudańczycy mahometanami, jakkolwiek zachowali wiele zabobonów pogańskich, jak np. wiarę w „fetysze“ czyli w przedmioty, w których mieszkać mają duchy rozmaite.

Sudańczycy mają na ogół twarze ładniejsze od murzynów Bantu, i podobniejsze do europejskiego oblicza. Nagość ciała osłaniają wielkimi sztukami tkaniny bawełnianej, niby deliami z pstremi i jaskrawo zabarwionemi paskami i mieszkają na zachodzie w szałasach i chatach czworokątnych z szczytami i dachem, a na wschodzie często w szałasach okrągłych, postaci stożka lub kószki. Zajmują się hodowlą bydła lub rolnictwem. Szczepy rolnicze w Sudanie uprawiają te same rośliny, co murzyni Bantu. Do uprawy ziemi posługują się dziabkami (haczkami) żelaznymi, osadzonemi na trzonie drewnianym.

Gdzie niema uprawy roli, tam rozciągają się rozległe pastwiska z żyzną trawą, na których przeby-

wają liczne stada owiec i bydła. Sudańczycy mają konie i bawoły, które są nieznanne u murzynów Bantu, mieszkających na południe od Sudanu.

Sudańczycy znają sztukę otrzymywania żelaza z rud, są zręcznymi kowalami, tkaczami, farbiarzami i zdunami (garniarzami) i mieszkają w licznych wsiach, oraz w ludnych miastach, zwykle murem otoczonych. Ludy sudańskie można podzielić na kilka większych grup, jakie tworzą np. mieszkańcy pobrzeża zachodniego i sąsiednich okolic nad rzeką Niger, a więc ludy pobrzeża Dolnej Gwinei, dalej mieszkańcy pobrzeża złotego, niewolniczego i t. d., oraz murzyni w Senegambii i nad górnym biegiem Senegalu. W tych okolicach istniały do niedawna jeszcze niezależne i osławione z powodu mordów i przelewów krwi państewka tyrańskie murzynów sudańskich Dahome i Aszanti. Na czele państw tych stali królowie murzyńscy z władzą nieograniczoną. W państewku Dahome tworzyły kobiety niezależne straże przyboczne wojskową króla, która odznaczała się okrucieństwem. Zabijanie poddanych, niewolników i zwyciężonych nieprzyjaciół było tam zwyczajem utartym. Nie mało też trudów i starań kosztowało Francję, zanim to państwo krwiożercze podbito, ostatniego króla murzyńskiego Behanzina pojmano do niewoli, krwiożercze amazonki czyli wojsko złożone z panien murzyńskich rozpedzono, i w końcu kres położono dalszym mordom spełnianym na nieszczęśliwych murzynach.

Wynalazkiem osobliwego pisma murzyńskiego zasłynęli w przyległej okolicy murzyni Wei. Wymienić też przynajmniej należy bitne plemiona Joolof (Wolof) i Mandingo nad górnym biegiem Senegalu; zdobywcze to plemię doszło w zachodnim Sudanie do większego znaczenia.

Z grupą tą ludów murzyńskich współzawodniczą ludy Haussa i państewka plemion Fulbe z dosyć wysokim stopniem kultury i organizacyi politycznej. Ojczyzną ich to kraj położony na południe od pustyni Sahary.

Osobną grupę Sudańskich murzynów tworzą 4 państwa z nader mieszaną ludnością, i to państwa Bornu, Baghirmi, Wadai i Dar-Fur, do których doliczyć też należy jeszcze lud Tibbu, mieszkający na pustyni Sahara. Ludność pierwotna murzyńska wszędzie pomieszała się tam z Berbrajmi i Arabami w mniejszym lub większym stopniu. Zapanował tam islam czyli wiara mahometańska, pogaństwo jednak nigdzie nie wygasło z zabobonną wiarą w „fetysze“.



Niam-Niam (ludożercy).

Haussa.

Ludy murzynów sudańskich nad górnym Nilem zajmują podrzędniejsze miejsce co do kultury wśród ludów sudańskich. Są to murzyni Szilluk nad białym Nilem, Dinka i Nuar, oraz Bari, Madi i Szuli u źródeł i dopływów owej wielkiej rzeki (Nilu). Dołączają do nich też wojowniczych murzynów, pożerających nieprzyjaciół swoich, a więc ludożerców w Niam-Niam. W końcu należy też wymienić murzynów, mieszkających po za Afryką.

Jest ich około 8 milionów w Stanach Zjednoczonych, a na wyspie Haiti tworzą nawet samodzielne

państwo z rządem republikańskim. Podobne państewko murzyńskie istnieje na półwyspie Afryki zachodniej nad morzem Atlantyckim pod nazwą republiki murzyńskiej Liberia. Na wyspie Kubie i Domingo (Ameryka środkowa) żyje około 2 milionów murzynów, a w południowej Ameryce przebywają zdziczałi murzyni, zwani Maronami. Pierwotnie nie było wcale murzynów w Ameryce. Obecność ich tamże jest skutkiem handlu niewolnikami. Oni bowiem sprowadzano tysiącami głównie murzynów sudańskich do Ameryki jako niewolników, by mieć taniego robotnika do uprawy bawełny i trzciny cukrowej. Niewolnictwo zresztą do dziś dnia panuje wśród murzynów sudańskich w Afryce, mianowicie tam, dokąd wpływ Europejczyków jeszcze nie dotarł. Głównie zaś podtrzymują i szerzą niewolnictwo Arabowie mahometańscy. Handel niewolnikami murzyńskimi zniósł w południowych Stanach Zjednoczonych dopiero prezydent Abraham Lincoln w r. 1863. Murzyni stali się tam wolnymi ludźmi. Ludność ich powiększyła się z czasem. Wytworzyli się też tam mieszańce z rasą białą (europejską) jako tak zw. „Mulaty“, lub z Indyanami amerykańskimi jako tak zw. „Mestice“. Kreolami nazywano zaś mieszańców rasy białej (europejskiej) z Indyanami amerykańskimi.

Na krańcu południowej Afryki mieszkają ludy, które cokolwiek pod względem wyglądu przypominają murzynów. Przedewszystkiem różnią się jednak od nich zabarwieniem skóry, która jest żółtawo-brunatna, kiedy u murzynów jest ciemna, prawie czarna. Prawdopodobnie są to szczątki pierwotnej ludności całej środkowej Afryki, wyrugowanej z biegiem czasu przez murzynów. Szczątki tej brudno-żółtawej, karłowatej rasy zachowały się w niedostępnych la-



Hotentotka.

sach dziewiczych środkowej Afryki jak n. p. w okolicy rzeki Kongo pod nazwą t. zw. „karłów murzyńskich“. Dalsze zaś szczątki tejże rasy schroniły się przed murzynami do pustyni Kalahari i na krańce południowej Afryki. Są to Hotentoci i Buszmanie.

Hotentoci i Buszmanie.

W r. 1750 zajmowali Hotentoci jeszcze całą południową Afrykę, oddzieleni pustynią Kalahari od ludów murzyńskich. Gdy Holendrzy, a potem Anglicy zaczęli się osiedlać w kraju Kapu (Kapland), cofnęło się wielu Hotentotów na północ do kraju Nama. Ztamtąd schroniła się większa część Hotentotów przed Niemcami, którzy kraj Nama w południowo-zachodniej Afryce objęli jako posiadłość kolonialną, i uszła do pustyni Kalahari.

Cechy zewnętrzne Hotentotów są następujące: oczy prawie takie, jak u ludów mongolskich (Chińczycy), nos szeroki, cokolwiek zadarty, wargi mięsiste, kości policzkowe mocno wystające z twarzy, twarz płaska. Włosy na głowie składają się z licznych małych kępek niby kołtunków krótkich, powstałych z pozwyjanych włosów kędzierzawych. Skóra ma wygląd żółtawo-brunatny czyli brudno-żółty; czaszki są długie. Osobliwa jest mowa Hotentotów i Buszmanów; posiada bowiem 4 (u Buszmanów 6) dźwięki różne, wydobywane mlaskaniem języka o podniebienie. Dźwięki te w mowie zachodzą także u murzynów wschodnio-afrykańskich. Z powodu tych dźwięków prawie niemożliwych do naśladowania nadali Holendrzy krajowemu w Kaplandzie nazwę „Hotentotów“ to jest: jakalów. Siebie samych nazywają Hotentoci: Khoi-Khoi czyli ludźmi. Do czystej rasy należą szczepy: Nama i Korana; szczep Grikwa jest już pomieszany po części z murzynami. W kolonii niemieckiej w południowo-zachodniej Afryce przebywają nieliczne inne szczepy Hotentotów jak np.: Bondelewarty, Weldszendragery, Witboje i t. p.

Hotentoci zajmują się polowaniem lub pasterstwem. Mieszkają w szałasach postaci otwartej budy sklezionej, półkulistej, zbudowanej z drągów i ple-

cionek z sitowia, łyka, gałązek i t. p. Szałasy są bez okien i otworu dla dymu. W środku szalasu mieści się ognisko, otoczone kamieniami, na których opierają się garnki podczas gotowania. Ubrania kobiet i mężczyzn wyrabiają ze skór zwierząt upolowanych lub ze skór bydła. Głównym strojem Hotentotek jest futerko pozszywane z skórek rozmaitych zwierząt. Na codzień osłaniają się tkaniną niby zapaską, zawieszoną u bioder.

„Ucywilizowany“ Hotentot różni się tem od zupełnie dzikiego, że ubiera się w spodnie skórzane, a na głowę nasadza kapelusz z wielkimi skrzydłami. Hotentoci jako naród myśliwski i pasterski wysoko cenią życie rodzinne, są uzdolnieni, szczodrzy i bystrego umysłu. Słynne są ich tańce i bajki o zwierzętach. Dawniej składało się ich uzbrojenie z włóczni, łuku i strzał zatrutych. Obecnie używają przeważnie strzelb.

Zetknięcie się z kulturą europejską wyszło Hotentotom na szkodę. W wielu okolicach podupadli; lenistwo, złodziejstwo i pijaństwo sprowadziło ich na pochyłą drogę. Prawdopodobnie wyginą też Hotentoci, gdyż nigdy nie odznaczali się pracowitością i nie dbają też o dzień jutrzejszy.

Mniejsi znacznie wzrostem, na ogół z wyglądu podobni do Hotentotów są Buszmanie.

Szczątki to ostatnie jakiegoś zagadkowego ludu karłów, który pozostał na bardzo niskim stopniu kultury. Brzydkie te żółtawo-brunatne karły musiały tak jak Hotentoci ustąpić przed naporem ludów murzyńskich i cofnąć się, aż się dostały na pustynię Kalahari. Waleczą oni ciężko o byt w tem bezwodnym pustkowiu; mieliczne ich hordy koczownicze przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce w poszukiwaniu wody.



Buszman.

Zmysły tego koczującego ludu, jakoteż Hotentotów są nadzwyczaj bystre.

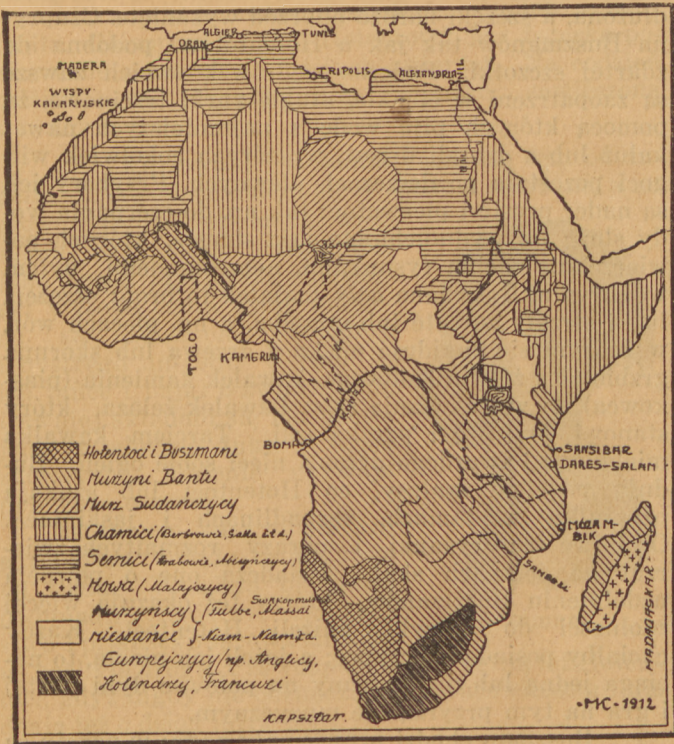
Buszman jest o wiele niższy od Hotentota, podobny do karła; głowa jego nieforemnie ku tyłowi przedłużona, a szczęki bardzo naprzód wysunięte. Czupryna Buszmanów tak jak u Hotentotów podobna do zdartej szczotki. Podczas wędrówek swoich zawsze są zaopatrzeni w ciężkie, długie rurki trzciniowe, za pomocą których piją wodę z najmniejszych nawet kałuż lub z dziupli drzew, w których cokolwiek wilgoci pozostało po deszczach ulewnych. Przyhory ich są nader proste i pierwotne; tak np. do czerpania wody służą im wydmuchnięte jaja strusie, których powierzchni zdobią rysunkami, nieczernionemi pyłem węglowym. Buszmana cały majątek to broń: oszczep, luk i strzały zatrute lub strzelba, a na plecach wór, w którym się znajduje miska z drzewa lub skorupa grzbietowa żółwia lądowego, kawałek kamienia (piaskowca) do wyprawiania skór, kawałek żelaza, który stanowi brzytwę i paczka soli. Tarcie kawałka miękkiego i twardego drzewa nieci sobie ogień. Budują podobne szalasy, co Hotentoci lub szukają przytułku w jamach, rozpadlinach i jaskiniach. Osobliwe są rysunki i obrazy rozmaitych zwierząt na ścianach skał. Świadczą one o pewnym uzdolnieniu Buszmanów, którzy też okazują więcej zdolności do muzyki, aniżeli Hotentoci. Każdy chciałby posiadać skrzypce; a jeżeli ich niema, to naciąga jedną lub dwie struny na połówce dyni pustej i gra na tym przyrządzie muzycznym.

Buszman chodzi prawie cały nago; w użyciu są zapaski małe ze skórek. We włosy wpinają sobie jako ozdobę pióra ptaków.

Karły afrykańskie.

Zagadki co do znaczenia plemienia karłowatych ludów afrykańskich nie wyjaśniono jeszcze dotychczas. Wśród murzynów żyją w całej południowej Afryce nieliczne ludy karłów jako rozbitki większego kiedyś plemienia. Przebywają zwykle w największym gąszczu lasów i są koczownikami-myśliw-

cami. Łączy ich z Buszmanami żółto-brunatny kolor skóry, drobny wzrost, drobna budowa rąk, włóczgotwo, żywość ruchów i okrucieństwo względem zwierząt. Starożytni pisarzy greccy pisali już w dziełach



Mapka Afryki z siedzibami ludów.

swych o tych ludach karłów, którym nadawano nazwę: Pigmeje. Zdaje się jednak, że w starożytności — z 2 500 lat temu — były ludy karłów afrykańskich o wiele liczniejsze i sięgały dalej na północ, aniżeli obecnie.

Długi czas sądzono, że doniesienia starożytnych pisarzy o Pigmejach afrykańskich są prostymi bajkami. Tymczasem wspominają o nich znowu pisarze

w r. 1625, iż przebywają w kraju Matimba. Sławny podróżnik angielski Stanley widział ich w lasach dziewiczych nad rzeką Kongo; wykryto ich też w niektórych okolicach wschodniej i zachodniej Afryki, oraz na wschodzie Kamerunu, niemieckiej posiadłości w środkowej Afryce.

Wiadomości o nich są dosyć skąpe, a sposób ich życia prawie niezbadany.



Murzyn z nad rzeki Kongo.

Z ludów karłowatych żyją: Obongo w zachodniej Afryce, Akka, Tiki-Tiki w środkowej Afryce, karły Batua w lasach dziewiczych nad rzeką Kongo aż do jeziora Tanganika, a karły Wasandawi w Afryce wschodniej.

W niektórych okolicach trzymają kacykowie (naczelnicy) murzyni na „dworze“ swoim chociaż parę karłów, których z wielkim trudem schwytano w lasach afrykańskich.

Murzyni australscy i azyatyccy.

Najniżej pod względem kultury i cywilizacji stoją murzyni australscy. Pierwotna ta ludność przybyła zapewne z południowej Azji do Australii.

Łądz ten, biednie uposażony przez przyrodę, nie obdarzył ludności pierwotnej żadną rośliną uprawną, ani zwierzęciem domowym. Roślinność tam wcale nieobfita, a brak licznej i większej zwierzyny. Jedynie kangury (workowce) i emu (rodzaj czarnych strusi) stanowiły większą zwierzynę.

Do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce zniewala ich posucha, nader uboga roślinność i straszliwy brak wody. Liczba Australczyków była też zawsze szczupła, a gdy po odkryciu Australii przybyli Europejczycy i najlepsze ziemie, obfitujące jakkolwiek w wodę, zabrali, ludność pierwotna wyparta w niegościnne okolice pustynne i bezwodne, skazana jest zupełnie na wymarcie, tem więcej, że łatwo ulega różnym chorobom zakaźnym, przenie-

sionym do Australii przez Europejczyków, jak np. ospie; tępiono też Australczyków bezwzględnie, mianowicie w okolicach, jakie zajęli koloniści europejscy na pastwiska dla owiec. W ostatnim dopiero czasie zaopiekował się rząd australско-angielski dolą biednych Australczyków. Liczba ich jednak z roku na rok topnieje coraz więcej, tak że z czasem wymrze ludność pierwotna zupełnie w Australii, tak jak wymarła na sąsiedniej wielkiej wyspie: Tasmania czyli Vandiemensland w roku 1876.

Wzrost Australczyków murzyńskich jest przeciętnie średni, postać zaś smagła i szczupła, nogi i ręce cienkie i chude. Czaszki ich są długie i wąskie (jajowate), czoło cofnięte do tyłu, szczyki podane naprzód, kości policzkowe wystające, nosy bardzo szerokie i wgniecionie, oczy głęboko umieszczone pod czołem, usta nadzwyczaj szerokie z grubemi, mięsistemi wargami, włos na głowie kudłaty, czarny. Owłosienie ciała na ogół jest obfite; mężczyźni odznaczają się gęstemi i długimi brodami.

Życie tego plemienia zajęte jest głównie szukaniem pożywienia i wody. Polują więc na wszystko, począwszy od kangura i szczura, skończywszy na robakach i owadach. W tym celu posługują się dzidą i bumerangiem, dalej kijem zaostrzonym do kopania w ziemi. Na zwierzynę polują mężczyźni, kobiety natomiast głównie starają się o wyszukanie pożywienia roślinnego. Sposób gotowania pożywienia w garnkach jest im na ogół zupełnie nieznan. Mięso spożywają surowe lub pieczone. W tym celu zapalają ogień, wywołany za pomocą tarcia dwu kawałków drzewa, w dołku wykopanym, w który wrzucają kilka kamieni mniejszych. Po wygaszeniu ognia umieszczają upolowaną zwierzynę, jak np. kangura, w owym dołku, przykrywając go gorącymi kamieniami i ziemią. Po godzinie mają „pieczeń“ gotową.

U niektórych szczeptów australskich panowało ludożerstwo, panuje dziś nawet wewnątrz kraju w odległych okolicach, dokąd nie dotarł jeszcze wpływ kultury i cywilizacji europejskiej. Ludożerstwo zaś

pochodziło z chęci zemszczenia się nad nieprzyjacielem, z przesądów i zabobonów pogańskich, i w końcu z braku potrzebnego pożywienia. Niektóre szczypty w środkowej Australii zjadają nawet swoich nieboszczyków.

Australczyk mało dba o mieszkanie. Buduje sobie tylko liche osłony z gałęzi lub kory drzew, by się zabezpieczyć jako tako przed promieniami słońca lub przed wiatrem. W północnej i środkowej Australii spotyka się szałaszy lepiej zbudowane, co należy przypisać wpływowi plemion sąsiednich, Papuasów i Malajczyków.

Odzież u ludów australskich odgrywa małą rolę. Mężczyźni dorośli noszą pasek z trawy, łyka, sierści lub skóry, a kawał skóry psiej lub z oposum zarzucony na ramiona, chroni przed chłodem lub deszczem. Ogólnie używany jest u kobiet dorosłych rodzaj opończy ze skóry kangura, przy której znajduje się torba do noszenia niemowląt. Wędrowki odbywają ludy australskie najchętniej nago. Jedynie na uroczystości i tańce swoje przychodzą w strojach cudacznych i malują twarz i ciało czerwoną, białą i czarną barwą. Wtenczas też tak samo barwią swoje kudły na głowie. Przynależność do swego szczeptu oznaczają wydatnymi bliznami na piersiach i plecach, ułożonymi według pewnych wzorów. Jako ozdoby noszą na szyjach i ramionach skorupy małży, zęby, kawałki trzciny i t. d. nanizane na sznurki lub łyka. Najbardziej stroją się mężczyźni. Broń i narzędzia wskazują, że ludy australskie żyją jeszcze w okresie kamienia łupanego, niegładzonego. Dzidy ich z drzewa mają koniec hartowany za pomocą ognia lub opatrzone są ostrzem krzemieniem; używane są maczugi i lekko wygięte kije „bumerangi“ do rzucania na odległość do 200 kroków, które dobiegłszy do celu wracają znowu z powrotem do rzucającego. Dalej noszą mężczyźni siekiery kamienne. Bronią kobiet jest kij z czubkiem hartowanym w ogniu, którym wydobywają z ziemi korzenie roślin, owady, robaki i t. d. Mężczyźni noszą też puklerze z drzewa różnie pomalowane. Łuk i strzały nie są weale znane.

Plemiona australskie żyją przeważnie w jednożeństwie, niektóre zaś w wielożeństwie, tak jak mahometanie. Kobiety uważają jako niewolnicę i juczne stworzenie i surowo się z nią obchodzą. Kobiety albo kupują albo porywają innym szczepom.

Zatargi i walki pomiędzy szczepami australskimi są dosyć częste; powody walk są rozmaite, jak np. niepomszczone zabójstwo, porwanie kobiet, zatargi o polowanie, o wodę w źródłach, rzeczkach i jeziorkach i t. d.

Umysł ludów australskich jest słabo rozwinięty. Pisma nie mają wcale, porozumiewają się jednak za pomocą nacinań (karbów) na kijach.

Muzyka ich i śpiew jest niezem więcej, jak dzi kim hałasem, a taniec ich ulubiony, zwany: Korrobory, w którym udział biorą tylko mężczyźni w nocy, jest zjawiskiem brzydkim i wstrętnem.

Poganie australscy mają bardzo niejasne wyobrażenia o Bogu i wierzą głównie w duchy i upiory, w czary i uroki. Każdy szczep ma swoich czarowników, którzy też występują jako lekarze; wszyscy ich się boją, no i też rzetelnie nienawidzą.

Plemię australskie, którego główne szczepy mają nazwę: Diejari i Narrinieri, jest obecnie szczątkiem lądu dawniej liczniejszego. Liczbę jego podają w ostatnim czasie najwyżej 50 000 w całej Australii. Ludność ta pierwotna, w najwyższym stopniu koczownicza, okazuje się nieprzystępną dla kultury nowoczesnej i jest skazaną na wymarcie.

W jaskrawem przeciwieństwie do rasy australskiej, zamieszkuje okolice bogato uposażone przez przyrodę plemię murzyńskie, zwane

Papua,

znane też pod nazwą rasy melanezyjskiej.

Plemię to czarne zamieszkuje szereg wysp wielkiego Oceanu czyli morza Spokojnego, które się ciągną od Nowej Gwinei w kierunku południowo-wschodnim aż do Nowej Kaledonii i Fidżi. Wyspy te, oraz Nową Gwineję, Nową Kaledonią i Fidżi z ludnością o czarnej skórze nazywają Melanezyą. Nazwa ta po-

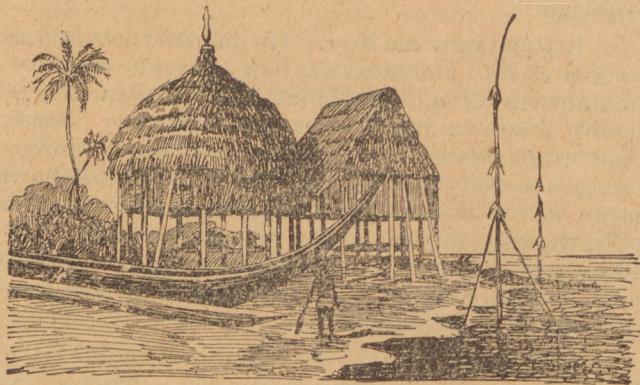
chodzenia greckiego składa się z dwu słów: melas = ciemny, czarny, i nezos = wyspa; Melanezya więc znaczyłaby tyle, co „czarne wyspy“. Krewniaki plemion tych z domieszką rasy malajsko-polinezyjskiej dochodzą w zachodnim kierunku aż do lądu azyatyckiego.

U Papuasów na Nowej Gwinei uwydatniają się wspólne cechy Melanezyjczyków prawie najlepiej, a mianowicie silna, dosyć ładna budowa ciała, długość czaszek (kształtu jaja), wysunięta znacznie naprzód dolna część twarzy z szerokim, giętym z żydowska nosem, u mężczyzn bujny zarost, dalej kędzierzawe, czarne włosy, jak pilsń z sobą połączone w kędziory grajcarekowane lub też często w potężne kudły, mięsiste wargi, i zupełnie ciemna skóra. Przy tej sposobności można nadmienić, że wyraz „Papua“ ma oznaczać „głowę kędzierzawą.“

Nie znając żelaza, wyrabiali Melanezyjczycy (Papua) narzędzia z kamieni, muszli i drzewa. Pod tym względem żyją ludy te niejako jeszcze w okresie kamienia gładzonego. Trudnią się głównie rolnictwem, tworząc wsie i osady. Sadzą także drzewa celem zbioru owocu (palmy rozmaite). Myśliwstwu oddają się bardzo mało. Natomiast kwitnie u nich rybołówstwo; znają sieci (niewody), kaszorki i wędkę. Oprócz pieczenia i prażenia pożywienia umieją Melanezyjczycy z Nowej Gwinci, wysp Fidżi i Nowej Kaledonii gotować w naczyniach glinianych, jakie zazwyczaj wyrabiają kobiety.

Ludy melanezyjskie (Papua) rolnicze i osiadłe, mieszkają w stałych osadach, ukrytych zwykle w wyrobach leśnych. Osady takie zamieszkuje rodziny z sobą spokrewnione. Domy budują z drzewa, trzciny lub z plecionki (mat). Są to okazałe i przestronne mieszkania. Często też spotyka się wewnątrz wysp domy zbudowane na wysokich palach, tak że wchodzi się do nich po drabce. Budują też obszerne domy dla zebrań mężczyzn, dla wszystkich nieżonatych w gminie (wsi), dla pomieszczenia figur swoich przodków i bożków.

Co do odzieży, to Melanezyjczycy mają jak najmniej wymagań, bo nadzwyczaj miły i ciepły klimat (powietrze) pozwala im chodzić nago. Całą ich odzież stanowi zwykle przepaska na biodrach, sporządzona z traw, łyka i t. d. niedosięgająca kolan.



Chaty Melanezyjczyków.

Natomiast skłonność do wystrojenia i ozdobienia ciała jest u nich nadzwyczaj wielka i przechodzi prawie wszelkie granice. Włosy swoje kudłate układają artystycznie na głowie w ogromną szopę, którą sobie barwią za pomocą wapna lub farb rozmaitych; malowidłami zdobią skórę swoją. Uszy i nos obwieszają różnemi ozdobami w postaci kółek, zatyczek z drzewa, kości, muszli itd. Obwieszają się piórami ptaków rajskich, pstremi plecionkami, kłami dzików i psów, a nawet ludzkimi zębami. Wymienić także tutaj można zwyczaj nadawania zębom przednim rozmaitej postaci za pomocą odpowiedniego przypływania.

Melanezyjczycy zajmują się też żeglarstwem na morzu. Na pobrzeżach wysp, gdzie ludy Papua wszelką pracę w domu i na polu pozostawiają kobietom, budują sobie mężczyźni zręcznie łodzie tak zw. „kanu“, na których puszczają się odważnie daleko na morze Spokojne celem rybołówstwa i odwiedzania wysp

okolicznych, a nawet dalszych. Łodzie te są wywrotne. Dla nadania im równowagi, przytwierdzają za pomocą obrobionych belek wzdłuż łodzi w pewnej od niej odległości, długie pnie drzewa tak zw. „wykładniki.“ Podobne łodzie zachodzą u Polinezyjczyków. (Porówn. rycinę na str. 82).

Melanezyjczycy czyli ludy Papua są żywego i wesołego usposobienia i okazują wiele zdolności do wyrobu rozmaitych ozdób. Niewolnictwo wszędzie u nich zachodzi. W niektórych okolicach, panowało



Duk-duk, taniec Melanezyjczyków w maskach.

a i jeszcze dziś panuje ludożerstwo. Papuasy są poganami. Wierzą w nieśmiertelność duszy, czczą jednak i boją się nieboszczyków, i duchom zmarłych budują jako świątynie liche szałas, w których ustawiają niezgrabne drewniane bożyszcza. Wyprawiają tańce w przebraniu i maskach dziwacznych.

Indy Papua podzielone są na mnóstwo drobnych, nielicznych szczepów, z których każdy ma swój język odrębny. Na czele szczepów stoją naczelnicy dziedziczeni lub wybierani z władzą mniej lub więcej nieograniczoną, despotyczną. Znają także nietykalność (zwana „tabu“) miejsc, domów, przedmiotów itd., jako poświęconych duchom. Przejęli to od swych sąsiadów malajskich, Polinezyjczyków, oraz jeszcze inne niektóre zwyczaje.

Murzynkowie azyatyccy.

Do azyatycko-australskiej rasy murzyńskiej Papua, odznaczającej się wysokim wzrostem i dłu-

giemi głowami, podobne są ludy niższego wzrostu, z czarną skórą i przeważnie krótkimi, kulistymi głowami. Znane są pod nazwą „Negritos“ lub Negrillo (=murzynkowie), i zamieszkują niektóre wyspy zajęte przez ludy malajskie. Murzynkowie żyją głównie na wyspach Andamany, dalej na półwyspie Malaka w południowej Azji. Wyparli ich Malajczycy, z którymi też pomieszali się częściowo. Tacy mieszańce nazywają się Alfurami na wyspach molucockich lub Igorotami na Filipinach, gdzie dziś jeszcze przebywa nieco murzynów. Plemię to z Azji południowej wyparte przez ludy mongolskie i malajskie, schroniło się do lasów, gór i wnętrza odległych wysp; tam pozostało w odosobnieniu zupełnym. To też plemię murzynków azjatyckich pod względem kultury stoi niżej, aniżeli murzyni Papua (Melanezyjczycy) lub ludy malajskie.



Maska z pyszczkiem ryby do tańcy u Papuasów.
(Wyspa Nowa Irlandya).

Jako mieszańców ludów murzyńskich (azjatycko-australskich) z ludami mongolskimi i malajomongolskimi można uważać ludy: Drawida (około 60 milionów) w Indyach wschodnich, i Wedda na wyspie Ceilon. Ludy Drawida osiągnęły jednak stosunkowo wysoki stopień kultury; znają rolnictwo, przemysł i handel, kiedy plemię Wedda pozostało na niskim stopniu rozwoju jako lud myśliwski, koczujący w dziewiczych lasach na Ceilonie. Na tem kończymy opis człowieka i jego ras.

Opis ciała człowieka uważaliśmy za konieczny potrzebny, już dla tego samego, by nasi czytelnicy

wiedzieli, jak się nazywają po polsku poszczególne części ciała ludzkiego i nie używali niepotrzebnie nazw niemieckich. Wiadomości zaś o rasach ludzkich pewnie podaliśmy dla tego, aby nasi czytelnicy wiedzieli, jak ogromna jest różnorodność narodów



Wedda.

na tym świecie Bożym. Chodziło nam w każdym razie o to, by podać ludowi polskiemu te wiadomości, jakie powinna dać szkoła, a których nam nie daje, ponieważ ich nie daje w zrozumiałym sposób.

Z czasów powstania bokserów.

Spolszczył Wiktor Kulerski.

(Przedruk wzbroniony).

Było to w roku 1900. W państwie chińskim szerzyło się powstanie bokserów, owych strasznych wrogów narodów białoskórych. Nienawiść owych bokserów do „jangwiców“ do „obcych dyabłów“, jak ich nazywali, do pewnego stopnia była zrozumiała. Bo nienasycona żądza zysków, chęć do białych przybyszów wiele krzywd wyrządziły potulnym synom „państwa niebieskiego.“ Ale bądź co bądź w czasie rozruchów bokserów wiele popłynęło krwi zupełnie niewinnej. Bokserzy szaleni przebiegali kraj i mordowali białych bez litości.

Nie oszczędzali dzieci i starców, a szczególnie okrutny był los kobiet, których ostatnie chwile były nad wszelki wyraz straszne. Poginęło też wtenczas dużo chrześcian chińskich i kapłanów katolickich. Zuchwałość zbuntowanych mas rosła coraz bardziej, ponieważ fanatyczni bonzowie opowiadali im, że we walce z „białymi dyablami“ żadna broń, żadna kula ich się imać nie będzie. A gdyby jednakże mieli paść, to po trzech dniach znowu zmartwychpowstają. A dalej — gdy bokser mieczem tylko się dotknie jakiego domu, to natychmiast tenże dom spłonie doszczętnie i podobne inne głupstwa. Ale ciemna tłuszcza wierzyła w podobne głupstwa, przeto też powstanie bokserów przybrało ogromne rozmiary i to tem bardziej, że rząd chiński nie czynił dla uśmierzenia buntu, przeciwnie nawet w końcu go popierał.

Wreszcie doszło do tego, że bokserzy zagrozili i ostatecznie oblegli ambasady czyli gmachy poselstw mocarstw zagranicznych w stolicy Chin, w Pekinie, których broniły słabe tylko oddziały wojskowe, jakie k żde mocarstwo zagraniczne tamże utrzymuje dla obrony swej ambasady.

Przed ujściem rzeki Peiho pod miejscowością Taku, obwarowaną bardzo silnemi, choć starymi fortami, zebrały się tymczasem liczne eskadry mocarstw zagranicznych. Zebrało się 12 okrętów wojennych rosyjskich, 10 angielskich, 6 niemieckich, 6 japońskich, 5 francuskich, 3 północno-amerykańskie, 2 włoskie, 2 austro-węgierskie.

Zebrani admirałowie postanowili zebrać i wysłać większy mięszany oddział ku obronie ambasad w Pe-

kinie. Wysłano więc oddział w sile 2100 chłopów, składający się z marynarzy rosyjskich, angielskich, niemieckich, francuskich, północno-amerykańskich, japońskich, włoskich i austro-węgierskich pod komendą angielskiego admirała Seymoura. Wśród tego oddziału były także dwie kompanie wojsk marynarskich austriackich z austro-węgierskiego krążownika „Habsburg“, będącego pod komendą kapitana hr. Sternberga. Wydzielonym oddziałem, w którym przypadkowo sporo było Polaków, dowodził także Polak, nadporucznik Radzikowski. Wśród oficerów zaś był jeszcze drugi Polak, porucznik Witold Siemiński, którego brat Zygmunt, służył znowu jako chorąży na austro-węgierskiej kanonierce „Undine“, na której także było kilku marynarzy — Polaków.

Oddział admirała Seymoura opuścił 16-go czerwca r. 1900 miasto milionowe Tientsin, dokąd już dawniej eskadry były wysyłały posiłki. Oddział admirała Seymoura miał po części na lewym po części na prawym brzegu rzeki Peiho zdążać do Pekinu. Dowódcy eskadr mocarstw zagranicznych rozumieli jednakże, że trzeba utrzymywać komunikację z wysłanym oddziałem. Ponieważ jednak przed ujściem rzeki Peiho znajdowała się ogromna ława piaszczysta, przeto tylko kanonierki lub maleńkie krążowniki mogły wjeżdżać do rzeki Peiho i podtrzymywać komunikację między wylądowaniami oddziałami a eskadrami w zatoce, oddalonymi jakie 16 do 15 kilometrów.

To też 15 czerwca leżały w pobliżu wsi Tongku, powyżej chińskich fortyfikacji rzecznych, zwanych fortami Taku, austro-węgierska kanonierka „Undine“, rosyjskie „Korejec“, „Bóbr“, „Giljak“, francuska „Lion“, japońska „Alago“ i mały angielski krążownik „Algerine“. Oficerzy kanonierki „Undine“, między nimi chorąży Siemiński, dnia 16-go czerwca we wielkiem zaciekawieniu oczekiwali powrotu komendanta, kapitana Horwata, który się tak nazywał i był też Chorwatem.

Odbывała się narada komendantów wszystkich leżących na rzece Peiho okrętów. Było wiadomem, że rada admirałów, nie ufających rządowemu wojskom chińskim, była postanowiła wezwać chińskiego komendanta fortów Taku, by je opróżnił najpóźniej do dnia 12-go czerwca godziny 2-giej w nocy. No i cóż, jeżeli Chińczyk nie spełni żądania?

Kapitan Horwat właśnie miał się na „Bóbrze“ dowiedzieć, co się ma stać, gdyby Chińczyk się miał opierać.

Łódź parowa, wioząca kapitana Horwata, przybyła właśnie do kanonierki. Kapitan Horwat szybko wskoczył na pokład swego okrętu i zawołał niemal radośnie: „Okręt gotować do walki!“

Te cztery słowa miały podniecający skutek: Zawarczały bębny, zabrzmiały trąbki i wszędzie zawrzała gorączkowa czynność. Wszystko co nie było konieczne potrzebne, z pokładu znikło. A i w kadłubie okrętowym huczało jak w ulu. Zrewidowano dokładnie maszyny okrętowe. Otworzono magazyny amunicji, wyjęto granaty i kartacze i windowano je na pokład. Kanonierzy zaś nabijali swe armaty. Zrewidowano jeszcze armatki rewolwerowej karabiny maszynowe, a i lekarze okrętowi robili swe przygotowania. Katolicy żołnierze, wśród nich także nasz chorąży, wypowiadali się u kapelana okrętowego. Na żadnej jednakże twarzy nie widziało się troski. Oficerzy rozmawiali z wielkiem ożywieniem. Zygmunt Siemieński bardzo żałował, że nie będzie jego brata, gdy austro-węgierskie wojsko marynarskie otrzyma chrzest ogniowy. Nadporucznik von Thüngen odpowiedział mu: „Kto wie, czy my mu jeszcze nie będziemy zazdrościli. Oddział Seymoura pewnie ciekawie przejdzie przygody. Jestem bowiem przekonany, że Chińczycy bez wystrzału oddadzą nam forty. Zobaczymy, że jeszcze przed drugą w nocy ukaże się biały sztandar na północnym rogu północnego fortu!”

„Było by to głupie! Zobaczmy! Mnie się zdaje, że te draby okażą się lepszymi, niż nam się zdaje.“

O godzinie 8 minut 40 usłyszano sygnał: „Spać!“ O godzinie 9-tej sygnał: „Spokój na okręcie!“ Chodziło o to, by załoga się pokrzepiła choć krótkim snem do nocnej walki. „Oficerzy do kapitana!“ Oficerów zawezwano do kapitana, który wydawał ostatnie rozporządzenia.

Zakomunikował też oficerom, że postanowiono, iż kanonierki najpóźniej o 4-tej z rana zarzucą kotwice naprzeciw fortowi północno-zachodniemu w następującym porządku: „Algerine“ (angielska), „Undine“ (austro-węgierska), „Iltis“ (niemiecka), „Lion“ (francuska), „Bóbr“, „Korejce“, „Giljak“ (rosyjskie), a japońska kanonierka „Alago“ miała kryć stację kolejową, a angielskie niszczyciele torpedów „Fame“ i „Whiting“ miały zabrać 4 chińskie łodzie torpedowe, leżące tuż przy arsenale. Najpierw miano uderzyć na fort północno-zachodni.

O godzinie 12-tej już wszyscy znowu byli na posterunkach. Nikt spać nie mógł. Wszystko było za nadto wzruszone.

Nagle rozjaśniła błyskawica z północnego fortu noc. Rozległ się huk. Pierwszy granat chiński przeleciał warcząc nad „Undiną“. Strzał padał teraz po strzale, bo przemówiły dalsze forty. Chińczycy rozpoczęli więc walkę artyleryjską.

„No i co, von Thüngen zawołał Zygmunt Siemieński, co pan teraz powie?“

„Mam wielki respekt przed Chińczykami! Są lepsi, niż myślałem“.

W oku ognienia „Undine“ i wszystkie inne okręty były w ogniu. Huk straszny rozległ się nad wodami. Forty zionęły bezustannie ogniem i żelazem.

O godzinie 1-szej minut 30 „Undine“ popłynęła na wyznaczone jej stanowisko. Nie zaprzestając ognia, o godz. 2-giej stanęła na miejscu.

„Nastawiać na 1000 metrów! Na górną linię wału, obok działa, które dało ognia w tej chwili. — Drugie działo — ognia!“

Zabłysło — huknęło, granat wpadł między kanonierów chińskich, pękł i zmiotł szereg obsługujący działo. Inni kanonierzy chińscy rzucili się do działa i ostrem strzałem odpowiedzieli na przywitanie „Undiny“.

Byli to naprawdę setne chłopcy ci chińscy kanonierzy we fortach Taku w nocy 12-go czerwca r. 1900! Nie strzelali jednakże celnie, choć mieli najnowsze armaty Kruppa. Pochodziło to ztąd, że działa nie można było dostatecznie pochylić. Więc prędko zrozumieli komendanci okrętów, że niebawem zmuszą działa fortów do milczenia.

Dnia poprzedniego komendanci okrętów byli się umówili, że się sformuje na lądzie oddział, który w danej chwili przypuści szturm do fortów. Oddział ten pod komendą rosyjskiego kapitana Sołowiewa miał rozpocząć szturm na fort, gdy na przednim maszcie „Undiny“ ukaże się wielka czarna piła.

„Chorąży Siemieński!“ zawołał kapitan Horwat.

„Do usług, panie kapitanie!“

„Pan uda się natychmiast na brzeg. Obawiam się, że w bladym świetle poranku, wylądowany oddział nie spostrzeże sygnału. Pójdzie pan więc póty naprzód, póki jeszcze masz nasz będzie widzialny. Skoro się na nim tylko ukaże czarna piła, popędzi Pan w kierunku dolnej prawej gwiazdy wielkiego niedźwiedzia*), który tam oto leśni na niebie i odszuka Pan oddział, mający szturmować fort. Kapitanowi Sołowiewowi meldować, że piłka już się ukazała na maszcie. Zostać przy oddziale szturmującym, aż północno-wschodni fort wzięty, a następnie prędko wracać z raportem, co słyhać w oddziale. Pan rozumiał?“

„Wedle rozkazu, panie kapitanie!“

Zwrot w tył i chorąży pobiegł, skoczył do gotowego gigu**).

„Wiosła spuść! Naprzód!“ zabrzmiała komenda i w kilku minutach chorąży dobił do lądu.

*) Pewna grupa gwiazd na niebie zwana w astronomii — wielkim niedźwiedziem.

***) Gig — mała łódka okrętowa o wiosłach.

Stanąwszy na starym grobie chińskim, których w tym miejscu było dużo i obejrząwszy się, spostrzegł piłę czarną, którą właśnie wciągnano na koniec masztu.

Choraży popędził więc prędko we wskazanym mu przez kapitana kierunku i niebawem, natknąwszy się najpierw na oddział angielski, następnie niemiecki, stanął przed kapitanem Sołowiewem.

„Panie kapitanie melduję, że na maszcie „Undiny“ ukazała się piłą sygnałowa.“

„Kto Pan jesteś!“

„Choraży Siemieński z kanonierki austro-węgierskiej „Undiny“, wysłany by dać znać o ukazaniu się umówionego znaku. Mam brać udział w szturmie i kapitanowi Horwatowi donieść o wyniku.“

„Dobrze! Dziękuję! Proszę pozostać przy mnie!“

Oddział, mający przypuścić szturm do fortu, składał się z 300 Anglików, 150 Rosyan, 150 Japończyków, 120 Niemców, 40 Austro-Węgrów, między nimi kilku także Polaków i 20 Włochów. W czasie walki artyleryjskiej Chińczyków z kanonierkami oddział był się podkradł niespostrzeżenie na 600 metrów do fortu północno-zachodniego. Kapitan Sołowiew natychmiast dał rozkaz rozpoczęcia szturm. W długich rzadkich liniach sprzymierzone wojska rzuciły się ku portowi. Krwawo wschodziło właśnie słońce.

Natychmiast poznali też Chińczycy nowego nieprzyjaciela, który w tej chwili dla nich był najniebezpieczniejszym. Skierował też natychmiast działa w stronę szturmującego oddziału. Ogień Chińczyków był jednakże mało celny.

Byli szturmem zaskoczeni i stracili równowagę umysłową. A jednak tu i owdzie śmierć zniwolała.

„JezusMarya, jestem ranny!“ usłyszał Zygmunt nagle obok siebie głos rodaka, których jak się później wykazało, także w oddziale rosyjskim było sporo. Widział jak ranny się chwiał i runął, a jednakże choć rodak, zatrzymywać się nie mógł, lecz musiał z oddziałem przeć naprzód.

„Naprzód! Naprzód! Hura, hura!“

Szturmujący oddział niebawem znalazł się u stóp wału, jeszcze minut kilkanaście a szturmujący wpadli do wnętrza fortu, gdzie bagnetami prędko załatwiono się z broniącymi się słabo Chińczykami. O godzinie 5 minut 13 fort północno-zachodni był w posiadaniu sprzymierzonych wojsk.

W tej chwili kanonierki „Iltis“, „Undine“ i krążownik „Algerine“ płynęły w dół rzeki Peiho, by rozpocząć ostrzeliwanie fortów północnego i południowo-zachodniego.

Siemieński spostrzegł zbliżającą się „Undine“.

„Panie Kapitanie! czy mogę kapitanowi Horwatowi zdać raport!“

„Owszem, proszę. Proszę podziękować za znakomity ogień, który nam ułatwił wzięcie fortu. Dopuszczę teraz szturm do fortu północnego i południowego.“

„Wedle rozkazu, panie kapitanie!“

Choraży pobiegł do swej łodzi i wkrótce znalazł się z raportem znowu na pokładzie „Undiny.“

Teraz jednakże zaczęła się walka najkrwawsza.

Chiński fort południowy zasypał kanonierki gradem pocisków, które przyprawiły „Undinę“ o poważne straty.

Z majtków, którzy chorażego wozili do brzegu padł Czech, Howarka.

„Biedny Howarka! Całą pierś rozwalilo mu! Bogu dzięki, że przynajmniej długo nie będzie się męczył.“

Nagle zawołał Krakowiak Rybak: „Czekajcie galgany! Zapłacicie mi za moją lewą łapę. Pozwól — Brachu! Tym razem ją nastawię działo!“

Krew mu ściekała po lewym ramieniu a jednak dokładnie nastawił działo. „Teraz — ognia!“

Strzał był celny. Majtek chciał dalej strzelać, ale porucznik von Thüngen odesłał go do lekarza.

Wtem zawołano: „Gore! Liny na okręcie się palą!“

„Podoficer Weinberg z 6-ciu ludźmi ugasić pożar!“

Ogień prędko ugaszono, lecz podoficer Weinberg przypłacił życiem. Granat zdruzgotał biednemu oba ramiona. Krew ubiegła go szybko.

O godzinie 5-tej minut 45 „Algerine“ znowu rzuciła kotwicę i stanęła w miejscu. Tak samo niemiecka kanonierka „Iltis“. Właśnie też wydał kapitan Horwat takiż rozkaz dla „Undiny“, gdy dwa chińskie granaty, jeden po drugim spadły na „Undinę“. Jeden pękł pod platformą komendanta, urwał aparat sterowy oraz telegraf do maszyny okrętowej. Rozpryskujące się części granatu poraniły prócz tego kilku ludzi.

Zaledwie kapitan kazał przyprawić aparaty rezerwowe, gdy wtem na platformie komendanta pękł drugi granat, zdruzgotał kapitanowi lewe udo i zdmuchnął domek map.

Kapitan nie stracił ani na chwilę spokoju i rozważy. Uczepił się mocno poręczy platformy komendanczej, aby nie upaść i wydawał dalsze rozkazy!

Siemieński mimo szalonej walki nie mógł odwrócić oczu od kapitana. Podziwiał go. „Co za oficer! Co za bohater“ szeptał do siebie.

Lecz w tej chwili spostrzegł, że kapitan Horwat pobrał i się zachwiał. W oka mgnieniu doskoczył, by kapitana pochwycić w swe ramiona.

Lecz i teraz, kapitan pomimo osłabienia wyrzekł słowa: „Porucznku Podlipny — objąć komendę!“ Poczem omdlał.

Siemieński i kilku majtków poniosło tymczasem ciężko rannego kapitana do łodzi, stojącej tuż przy kanonierce, gdzie znowu odzyskał przytomność. Majtkowie



— — w tem na platformie komendanta pękł drugi granat, zdruzgotał kapitanowi lewe udo — —.

chcieli odwieść kapitana na miejsce pewne, gdzieby go nie mogły dosięgnąć strzały chińskie.

Kapitan Horwat jednakże, gdy to spostrzegł, natychmiast zawołał: „Stać! Póki walka trwa, zostanę tutaj. Dwóch niech zostanie w łodzi. Reszta na okręt!”

Tak się też stało i dzielny kapitan wytrwał przy swym okręcie, choć cierpiał straszne boleści.

Gdy Siemieński wrócił na pokład, wpadały granaty chińskie gęsto jeden po drugim na okręt. Porucznik von Thüngen padł, aby już nigdy nie wstać. Granat rozdarł go literalnie w strzępy.

„Baczność!” Wszystko odskoczyło na bok. Granat zwałił ustawione na platformie komendanczej działo szybkostrzelne a z nim razem dwóch majtków, Dalmatyńców. Nadmajtkowi Szuterzycowi, Chorwatowi urwało obie nogi. Niebawem ubiegła go krew i skończył. Majtek Frycz złapał lekki postrzał.

„Trach, trach, trach“ warczały bezustannie szybkostrzelne armaty o małym kalibrze, gdy równocześnie huk wielkich dział okrętowych i fortecznych i trzask pękających granatów wstrząsały powietrzem. Żelazne części granatów sycząc rozpryskiwały się na wszystkie strony, drzazgiz masztów wogóle drzewnych części okrętu charkotały w powietrzu, kule karabinowe świszczwały, maszyny okrętowe dyszały, komendy huczały, nieludzkimi niejako głosami wydawane, ranni jęczeli i różowili swą krwią pokład okrętu a spadające do wody granaty wzbijały syczące fontany w powietrze. Był to piekielny, ogluszający hałas, niosący śmierć i zaturę.

I naszemu chorążemu zdawało się przez chwilę, że nadchodzi kres jego. Z pośród kanonierów obsługujących działa, oddane pod jego komendę, dwóch już się tarzało we własnej krwi. Jemu samemu żelazny ułamek granata zerwał czapkę z głowy. Potrzeba tylko było, by jeden z gęsto padających granatów chińskich był trafił w prochownię, a cały okręt byłby wyleciał w powietrze, załoga byłaby rozszarpana, zmielona, spalona na proch. Ani noga nie byłaby uszła.

Tymczasem jednakże wylądowane oddziały pod komendą kapitana Sołowiewa po zdobyciu fortu północno-zachodniego obróciły zdobyte armaty i prażyły Chińczyków w bombardowanych przez kanonierki fortach ze swej strony celnym ogniem. To pomogło. Chiński ogień armatni zaczął słabnąć. Tem bardziej teraz wysilała się załoga „Undiny“, która wyrzucała z siebie istny grad pocisków.

„Chorąży Siemieński, wzięć na cel pierwszego kawalera*) frontu południowego. Zdaje się, że tam znajduje się prochownia.“

*) Kawaler — wał poprzeczny.

„Wedle rozkazu, panie nadporuczniku“. Nasz choraży nastawił sam, pozostające pod jego komendą działa szybkostrzelne 8,8 centymetrowe.

„Ognia!“ Granat wyleciał ku chińskiej warowni.

„Nabić!“ W okamgnieniu było działo znowu nabite i znowu nastawiał je Siemiński własnoręcznie.

„Ognia!“ Tym razem granat nie chybił celu. Ogromny słup ognia wyleciał z kawalera w powietrze, za nim olbrzymi kłęb dymu, a potem rozległ się huk jak najstraszliwsze uderzenie gromu.

„Naprawdę prochownia wyleciała w powietrze. Doskonale, mości choraży, brawo!“

Załoga huknęła: hura, a oczy Siemińskiego lśniły z radości i dumnego zadowolenia.

Ogień nie ustał jednakże ani na chwilę, ale obrona Chińczyków słabła coraz bardziej. Tylko kilka dział jeszcze oddalonego bardziej fortu morskiego walczyło dalej. Zasypano je granatami. Więcej i one zamilkły.

Teraz zaprzestały też kanonierki ostrzeliwania północnych części fortyfikacji. Wiedzano bowiem, że kapitan Sołowiew ze swym oddziałem rozpoczynał zaraz szturm. Ostrzeliwano tylko jeszcze najdalsze forty.

Niebawem też zamilkło ostatnie 17-sto centymetrowe działo chińskie. Załoga południowego fortu drapnęła. Jeszcze posłano za nią kilka granatów a następnie zamikł ogień armatni. O godz. 7-mej z rana padł ostatni strzał.

Fort południowy i bateria nadbrzeżna znajdowały się na prawym brzegu rzeki Peiho, gdy tymczasem szturmem wzięty fort północny leżał na lewym brzegu rzeki. Na rozkaz Sołowiewa przekroczyły oddziały austro-węgierskie i niemieckie rzekę i rzuciły się ku fortowi południowemu. Lecz załoga fortu i frontów morskich już były drapnęły, więc też wzięcie tych fortyfikacji nie przedstawiało żadnych trudności.

Ponieważ wylądowane oddziały były za słabe, aby obsadzić wszystkie fortyfikacje, przeto wyjęto zamki z dział na fortach morskich i tylko w forcie południowym gotowano się do obrony.

Lecz Chińczykom ani się nie śniło, by się kusić o odbicie warowni. Mieli walki dosyć.

Gdy wojska sprzymierzonych mocarstw zagranicznych spostrzegły, że wszystkie forty pod Taku były zdobyte, że więc zwycięstwo było zupełne, ogarnęła wszystkich ogromna radość. Oficerzy i żołnierze wieszowali sobie we wszystkich językach zwycięstwa, tylko myśl o biednych ofiarach rannej walki rzucała cień na ogólną radość.

Zygmunt Siemiński bardzo był rozradowany. Ogólnie wieszowano mu celnego strzału, który wysadził chińską prochownię w powietrze i bardzo się przyczynił do klęski Chińczyków.

Jedna wszelako go męczyła myśl. Co się działo z bratem Witoldem? Czy wogóle jeszcze żył? Wszyscy wiedzieli bowiem bardzo dobrze, jak strasznie niebezpieczne było zadanie, jakiego się miał podjąć admirał Seymour ze swym oddziałem.

Przebić się ze słabym oddziałem wojska przez niezliczone masy zbuntowanych bokserów do Pekinu, to była rzecz granicząca ze szaleństwem!

Oddział admirała Seymoura wyjechał, jak wiadomo, 10-go czerwca 1900 koleją z Tongku w stronę Pekinu i dojechał do Jangcun. Porucznik Witold Siemiński był przydzielony do kompanii Radzikowskiego.

Z Jang-cun admirał Seymour nie mógł wyruszyć, gdyż tor kolejowy był zniszczony. Oficerzy i żołnierze pracowali dniem i nocą, aby naprawić tor. 11-go czerwca przeto też ruszono naprzód. Pod Łofa trzeba było znowu most naprawiać. Pojechano dalej. Naraz koło godz. 6-tej pociąg stanął. Gwizdawka lokomotywy nie chciała się weale uciszyć. A więc coś się stało. „Cóż — to? Strzały? Naprawdę, strzały! Wsiadać panowie. Taniec się zaczyna. Trębacz, sygnał: Naprzód!“

W oka mgnieniu wojska sformowały się do walki.

Obie austro-węgierskie kompanie przywołano dla poparcia Anglików, którzy mieli oczyścić kilka wiosek po drodze. Przez zakurzone pola ryżu, przy ogromnym upale posuwały się oddziały naprzód.

„Ot, tam ludzie, widzicie owe wielkie zarośla“, zawołał Radzikowski, „na prawo od zarośli widać masy bokserów. Cała kompania rozsypać się w tyraljery!“

W okamgnieniu majtkowie się rozlecieli, pozostając jednakże w przepisanej oddaleniu jeden od drugiego.

Prowadząc ich dalej objaśniał kapitan: „Spokojnie celować, gdy ogień się rozpocznie. Niech was ani krzyki, ani masa nieprzyjaciół nie pozbawi równowagi. Ci żołnierze zlodziejnie mają dużo odwagi. Ale ze swymi dzidami i mieczami nie wam nie zrobią, byleby was nie opuścił spokój. — Trzeci pluton trochę pozostać w tyle. Ot patrzcie, jak pędzą w stronę Anglików. Dobrze tak. Obsadzić ten oto mały rów tam.“ Oficerzy i majtkowie popędzili naprzód i niebawem legli w rowie. Kapitan teraz zakomenderował: „Do masy bokserów przed wami! Nastawić karabiny na 400 metrów! Pięć naboży — gęsto — ognia!“

Zawarczały strzały — grad kul zasypał bokserów — padali jak muchy.

Bokserzy, skoro nowy nieprzyjaciół tak strasznie im się dał we znaki, natychmiast w sile około 1000 chłopów zwrócili się przeciwko słabej austro-węgierskiej kompanii. Ale majtkowie ani drgnęli. Znowu zabrzmiała komenda: „Nastawić na 350 metrów — pięć naboży

— gęstego — ognia! 300 metrów — pięć naboji! 200 metrów — pięć naboji i tak dalej...

Kosookie hordy bokserów w niebieskich chałatach i czerwonych szarfach dzielnie wytrzymywały gęsty ogień karabinowy. Choć całe tuziny padały, reszta z groźnie podniesionymi dzidami parła naprzód. Odległość między nimi a nieliczną kompanią zmniejszała się szybko i zdawało się, że lada chwila mrowie bokserów zaleje słaby oddział austro-węgierski. Mimo to komenda oficerów brzmiała bezustannie, spokojnie i chłodno: „Pięć naboji — gęstego ognia!”

Majtkowie strzelali znakomicie, spokojnie, jak maszyny; nabijali, strzelali znowu i tak ciągle.

Jeszcze raz porwali się bokserzy i jak szaleni pedzili ku rowowi. Trzy razy, w coraz krótszych odstępach zabrzmiała komenda: „Pięć naboji”. — Jak zboże od kosy tak padali bokserzy całemi szeregami — a reszta cofnęła się wreszcie w dzikim popłochu.

„Wstać — i w nich” zabrzmiała komenda kapitana Radzikowskiego. „Naprzód!”

Majtkowie rzucili się naprzód i bagnet oraz kolba dokończyły strasznej rzezi. Kompania sama nie miała strat żadnych.

W tymże czasie druga kompania oraz Niemcy i Anglicy oczyszczali wieś chińskie z bokserów i oczyszczali tak dokładnie, że tam gdzie stały marne chaty Chińczyków, pozostały tylko dymiące zgłiszcza. Była to kara za mordowanych kupców europejskich, za okrutnie zamordowane żony ich i dzieci.

Pociąg ruszył znowu dalej. Ponieważ jednakże niebawem zapadła noc, przeto się znowu zatrzymano. Trudno było dalej jechać, nie wiedząc, czy tor jest cały.

Kompania Radzikowskiego miała powystawiać strażę. Ruszyła naprzód.

„Porucznik Siemieński zakryje ze swym plutonem tor od stacyi aż do rzeki Seng-ho” rozkazał kapitan. „Nasyp kolejowy obsadzi drugi pluton. Proszę dać nadzwyczajną baczność na rzekę i jej brzegi. Jest jeszcze jakie pytanie? Jeżeli nie, to — naprzód!”

Witold Siemieński udał się ze swym plutonem na brzeg rzeki. W pobliżu postawił odwach polowy, a dalej co 300 metrów, aż do nasypu kolejowego, postawił strażę podwójne. Noc minęła spokojnie. Koło godziny 3-ciej chciał porucznik Siemieński sam obejść strażę. Oddał więc komendę nad odwachem polowym i oddalił się z dwoma majtkami ku brzegom rzeki. W oddaleniu niewiele więcej 50-ciu metrów od odwachu polowego rozpościerały się gęste krzaki aż do brzegu rzeki. Porucznik wszedł na mały pagórek, by się lepiej rozpatrzeć po okolicy i lustrował swem szkłem rzekę. Obaj majtkowie stali kilka kroków za nim. Nagle usłyszał Siemieński za sobą glu-

che stuknięcie i gdy się szybko obrócił, spostrzegł, jak bokser zakrwawiony i z rozplataną czaszką leży na ziemi i skonał. Obok niego stał jeden z majtków, Lwowianin Nowakowski i ocierał spokojnie kolbę karabinu ze krwi i spiewnie zaraportował: „Panie poruczniku, ta złodziejska żółta nać wylazła tu z krzaków i chciała pana porucznika polechtać swą dzidą. Zakazałem to łajdakowi karabinem i przy tem się popsował”.

„Co — karabin?”

„Nie, bokser!”

„Dziękuję Wam Nowakowski. Trzeba jednakże zobaczyć, czy ta jucha była sama. Karabiny mieć gotowe do strzału”.

Porucznik zlustrował teraz swem szkłem zarośla. Nie daleko też wyzierał kawał niebieskiej materji z pośród krzewów. Cichutko szepnął porucznik najbliższemu majtkowi: „Czy widzicie tam ten krzak z czerwonymi liśćmi?”

„Wedle rozkazu, panie poruczniku!”

„I tę krzywą gałąź na lewo?”

„Wedle rozkazu, panie poruczniku”.

„Nie widać tam jakiejś niebieskiej plamy?”

„Wedle rozkazu, panie poruczniku!”

„Wziąć na cel! Zobaczymy co to jest. Ognia!”

„Trach”, huknął strzał, Chińczyk podskoczył i padł w znak. W zaroślach zakotłowało się.

„Panie poruczniku, jest ich niemało.” I naprawdę, było ich tam nie mało.

„Strzelajcie, co tylko możecie. Pobiegnę do polowego odwachu i sprowadzę go na pomoc.”

Obaj majtkowie strzelali bezustannie. Siemieński pobiegł do odwachu, który już był gotowy do walki. Wskazał szpadą w stronę, gdzie był widział Chińczyków i zakomenderował: „W tym kierunku rozsypać się w tyraljery: Jak najprędzej przedrzeć się przez zarośla.”

W dwie minuty linia strzelców doleciała nieomal do majtków, których Siemieński zostawił w pobliżu brzegu, gdy tymczasem jeden z nich zbliżał się pędem i meldował: „Panie poruczniku — idą te żółte juchy, idzie ich chmara”.

„Pędem, naprzód!” zagrzmiała komenda. Chińczycy zbliżyli się już na 50 metrów odległości. „Gęstego ognia.”

Grad kul zasypał bokserów.

Prawie żaden strzał nie chybił. To też bokserzy w nieładzie ratowali się ucieczką. Nie trwało minuty, a wszyscy poznikali w zaroślach.

„Stać! Sierżant Merkel z grupą prawego skrzydła na pościg. Lecz nie oddalać się więcej niż 500 metrów. Potem wrócić do polowego odwachu!”

„Wedle rozkazu, panie poruczniku. Pierwsza grupa naprzód“.

Marynarze popędzili w zarośla w pościgu za bokserami. Siemiński zebrał pozostałych i wysłał pod-



— ta złodziejska żółta nać wylazła tu z krzaków —.

oficera z trzema majtkami, by się przekonali, ile bokserów padło. Z resztą wrócił do odwachu polowego i natychmiast posłał z meldunkiem do kapitana Radzikowskiego.

W pół godziny wrócił ostatni patrol i meldował, że w zaroślach znaleźli 21 trupów bokserskich. Po upływie dalszej pół godziny wrócił także sierżant.

„Panie poruczniku“, meldował, „było koło 800 bokserów. Uciekli na sampanach.“) Kilku jeszcze zastrzeliliśmy. Ostatni sampan w oddaleniu 200 metrów od brzegu utonął, wszyscy bokserzy, którzy na nim byli, potopili się“.

Porucznik Siemiński kazał ludziom spocząć i napisał meldunek dodatkowy. O godzinie 6-tej zrana nadszedł rozkaz, by wrócił do kompanii. Natychmiast po powrocie jego ruszył pociąg dalej. Dojechawszy do miejscowości Langfang, trzeba było znowu naprawiać tor kolejowy i to wśród ciężkich walk, jak poprzednio. I naprawa toru kolejowego nie nie pomagała, bo co tylko tu naprawiono, to kilka kilometrów dalej znowu był rozerwany i to nie tylko przed pociągiem, ale i za pociągiem. 17-go czerwca wreszcie zrozumiano, że siły admirała Seymoura są za słabe, by dotrzeć do Pekinu i rada wojenna postanowiła, by się cofnąć napowrót do Tientsinu i stamtąd wyruszyć z większym znacznie oddziałem znowu ku Pekinowi, na odsiecz ambasad mocarstw zagranicznych. 18-go jednakże po południu, gdy się miał zacząć odwrót, nagle i wojska cesarsko-chińskie i bokserzy zaczęli oddział sprzymierzonych wojsk. Anglicy i Niemcy walczyli po lewej stronie, Austro-Węrzy i Rosjanie po prawej. Strzelanina trwała dosyć długo bez wszelkich rezultatów. Sprzykrzyło się to wreszcie kapitanowi Radzikowskiemu, i zawołał: „Słuchajcie chłopcy, tak dalej nie idzie. Pokażemy tym żółtym łajdakom, że żartów nie lubimy. Pięć naboji — gęstego ognia!“

Grad ołowiu posypał się na Chińczyków. Po 5-tym strzale nastąpiła cisza. Kapitanowie wyszli przed front.

Radzikowski zakomenderował: „Nasadzić bagnety: Wstać! Naprzód! Hura, hura!“

Majtkowie popędzili jak strzały w kierunku Chińczyków, którzy drapneli, co tylko wybiedz mogli. Trudno było ich dogonić.

„Stać! Na ziemię! Pięć naboji — gęstego — ognia!“ I grad ołowiu znowu się posypał na Chińczyków, kładąc liczne trupy. Z boków ponownie zachodzili bokserzy. Choć tylko uzbrojeni byli w miecze i dzidy, to jednakże z najwyższą pogardą śmierci parli w stronę wojsk europejskich. Lecz i szalona ich odwaga nie

* Sampan — wielka płaska łódź.

im nie pomogła. — Bezustannie powtarzała się zimna straszna komenda: „Pięć naboji — — gęstego — ognia“, i ołów śmiertelny pustoszył w straszliwy sposób ich szereg. Dalej jak na 50 metrów nie byli w stanie się zbliżyć. Ostatecznie legło ich przeszło 200 przed frontem marynarzy a reszta ratowała się dziką ucieczką.

Ale i po stronie sprzymierzonych wojsk było 10 poległych i 51 rannych. Zdobyto jednakże kilka sztandarów chińskich, między nimi sztandar generała Tung-fuzyang.

Wieczorem wrócił oddział Seymoura znowu do Jang-cun.

Mimo ciągłych zwycięstw położenie admirała Seymoura, pogarszało się z dnia na dzień. Bo co raz większe masy bokserów poczęły go otaczać. Za 100 poległych pojawiło się 1000 nowych, którzy z coraz większą wściekłością nacierali. Wobec tego postanowiono forsownemi marszami zdążyć ku Tientsinowi a nawet maszerować nocą. Wojska znosiły okropne męczarnie. 20 i 21 czerwca już nie gotowano nawet potraw. Wody do picia także nie było. Bo po drodze spotykano tylko wstrętne topiele a w rzece płynęła ogromna moc trupów chińskich, przytem upał był szalony a z powodu tego zaduch wszędzie okropny. Wreszcie zrana dnia 23 go ukazał się z daleka arsenał*) chiński w miejscowości Zygu, na północ od Tientsinu położony.

Austro-Węgry z nąkazu admirała Seymoura szli na przdzie. Niemcy także.

Chińczycy przywitali białych rześistym ogniem karabinowym. Strzały były celne, bo majtkowie i żołnierze padali zabici. Natychmiast zabrzmiała komenda: „Rozsypać się w tyraliery. Zając najbliższy rów! Marsz, marsz!“

„Nastawić na 350 metrów. Na obrońców wału — wolnego ognia.“ Walka zawrzała na dobre, lecz przeciwnik był dobrze kryty, przeto słaba awangarda nie wystarczała. Admirał Seymour wysłał więc do pomocy jeszcze kilka kompanii Anglików, Niemców i Rosyan.

Gdy nadeszły posiłki, ogień sprzymierzonych stał się skuteczniejszym. Kilka dział miało jednakże znakomite pozycje. Ogień karabinowy z nizin ich nie dosięgał.

„Porucznik Siemiński dotrzej ze swym plutonem do kamiennego wału nad rzeką. Ztamtań ostrzeliwać działa nieprzyjacielskie“, rozkazał kapitan Radzikowski.

„Wedle rozkazu, panie kapitanie!“

„Drugi pluton wstać! W lewo zwrot — marsz — marsz! Za mną!“

Żołnierze pędzili za swym oficerem i niebawem

*) Arsenał — magazynu broni.

znaleźli się za wałem kamiennym wśród szalonego po prostu gradu kul. Porucznik napominał swych ludzi:

„Nie dbać o ogień karabinowy. Działa muszą zamilknąć! Pokażemy im! Na kanonierów — nastawić na 120 metrów — wolnego — ognia!“

Majtkowie celowali dokładnie i strzelali bez opieszchu, choć chińskie kule spadały jak grad. Na szczęście szły za wysoko. Tylko dwóch ludzi odniosło lekkie rany. Porucznik Siemiński wśród szalonego ognia stał spokojnie na wale, śledząc przez szkło Chińczyków i naczynając swym ludziom cele, którzy znakomicie strzelali. W pięć minut nie było za wałem w arsenale kanonierów. Działa zamilkły. Choć inni kanonierzy się rzucili natychmiast do dział — nie zdążyli nabić — legli trupem, zanim nabili. — To zdziałał ogień plutonu porucznika Siemińskiego.

Porucznik nakazał teraz zaprzestać ognia na działa. — Z pięciu naboji dano jeszcze gęstego — ognia — do obrońców wału. Tymczasem spostrzegł Siemiński, że kompanie w nizinie gotowały się do szturm. Wskoczył więc na południowy brzeg swego wału kamiennego, wskazał szpadą naprzód i zawołał: „Za mną — przez rzekę.“

Za chwil kilka, choć woda sięgała prawie pod pachy, Siemiński przebył ze swym oddziałem rzekę i zajął brzeg: „Na obrońców wału — pięć naboji — gęstego — ognia.“

Ledwie przebrzmiały strzały, a Siemiński rozkazał: „Nasadzić bagnety! — Za mną — marsz, marsz!“

W tej chwili wylądowały też kompanie, które w łodziach przebyły rzekę. I teraz rzuciło się 400 ludzi na 2000 krytych wałami Chińczyków. Od jednego zamachu wzięto wał i rzucono się do wnętrza arsenału. Pierwszymi byli Polacy, podoficerzy Knot i Tarkowski, a za nimi walił ze swym plutonem porucznik Siemiński, którego zasypali pochwałami jego przełożeni.

Chińczycy usiłowali po południu odbić arsenał, lecz daremnie. Ataki Chińczyków ponawiały się jednakże co chwila i wobec ogromnej, może dziesięciokrotnej przewagi, która się z każdą chwilą jeszcze powiększała, położenie Europejczyków ze wszech stron otoczonych, stało się coraz niebezpieczniejszem. Obleżeni nie mieli ani chwili spokoju, ani w dzień, ani w nocy bo Chińczycy atakowali prawie bezustannie. Przedrzeć się do Tientsinu przez te niezliczone masy było niepodobniestwem. Pozostała więc jedna jedyna nadzieja, że nadejdzie odsiecz.

Zaczęły się też kończyć środki żywności. Widmo głodu zaczęło zaglądać obleżonym w oczy. Zrozumieli, że jeżeli nie nadejdzie niebawem odsiecz, to zgina z głodu albo też doczekają się okrutnej śmierci.

śmierci wśród strasznych mąk ze strony straszego urowia żółtoskórców, które tam jak fale rozhukanego morza rozbija się o wały zdobytego arsenału, ale też jak fala morska wraca bezustannie, bez wytchnienia, szaleje i się pieni — —

Tak minęły dwa straszne dni. 25-go czerwca wreszcie nadeszła odsiecz.

Do admirałów eskadr zagranicznych bowiem była nadeszła wieść, że miasto Tientsin zagrożone przez bokserów, że podobno cesarsko-chińskie wojska połączyły się z bokserami i zagrażają części miasta, zamieszkałej przez obcych i że słaba załoga sprzymierzonych wojsk nie zdoła się utrzymać. Rozumowano więc tak: Jeżeli Tientsin zostanie przez Chińczyków wzięty, to i oddział admirała Seymoura zgubiony. Trzeba więc do Tientsinu koniecznie podążyć z odsieczą. Wyślano więc pod komendą rosyjskiego generała Stoessla 3000 Rosyan, Austro-Węgrów, Niemców, Amerykanów i Anglików. Chorąży Siemieński, który ogromnie był niespokojny o brata, uprosił przełożonych, by mu pozwolono się przyłączyć do wyprawy. Pozwolenie ku swej wielkiej radości uzyskał. Przydzielono go do plutonu porucznika Szandora Teleky'ego, Węgry.

Dnia 23-go o godz. 6-tej z rana wyprawa ruszyła ku Tientsinowi.

Już o godz. 7-ej natknęli się Anglicy na nieprzyjaciela. Dostali ognia z obwarowanego arsenału na wschód od Tientsinu. Wywiązała się więc wściekła walka około arsenału. Stoessel dał znać, że przesunie się dalej ku Tientsinowi i rozkazał Austro-Węgrom i Niemcom zakryć mu tyły. Przysyłał też kompanie wojsk rosyjskich ku pomocy. Naczelną komendę objął major — Niemiec. Gdy Chińczycy spostrzegli, że mają do czynienia tylko z trzema kompaniami, podwoili swe wysiłki. Prawdziwy grad kul zasypał kompanie i zasłał ziemię trupami. Lecz biali nie ustępowali. Porucznik Teleky stał wśród swego leżącego plutonu, obok niego Zygmunt Siemieński. Młody oficer zawołał: „Mości chorąży, na ziemię!”

„Panie poruczniku, wszakże pan też stoi.”

„To co innego! Muszę swym ludziom dać dobry przykład. — To w tej chwili nie jest zadaniem pańskim. Więc — na ziemię!” Porucznik usłuchał teraz natychmiast.

Nagle ukazał się silny oddział chiński na lewo od arsenału.

„Na oddział nieprzyjacielski — 500 — metrów — — —”, porucznik Teleky nie zdołał komendy dokończyć. Siemieński widział jak mu szpada wypadła z ręki, jak się chwycił za lewy bok i runął umierający na ziemię.

Ruchem błyskawicznym podniósł się Siemieński i ostrym głosem dokończył komendy — „pięć naboji wolnego — ognia.”

Następnie rozkazał dwom majtkom zająć się porucznikiem. Sam do tego nie miał czasu.

„Nastawić na 400 metrów — pięć naboji — gęstego — ognia!”

Bezustannie powtarzała się teraz komenda. Chińczycy zbliżyli się na 100 mniej więcej metrów, a gdy teraz grad kul zmiatał ich całemi szeregami, reszta nie wytrzymała i zawróciła ku arsenałowi —

„500 metrów — pięć — naboji — 600 metrów — pięć naboji.” Za chwilę żółtoskórcy znikli za wałem arsenału.

W tej chwili też nadszedł rozkaz zaprzestania walki i połączenia się z głównym oddziałem. Zabrawszy rannych, cofnęły się kompanie ku siłom głównym.

Koło godziny 3-ciej zbliżano się do Tientsinu. Chińscy strzelcy znowu chcieli zagrozić drogę, lecz wzięto ich w dwa ognie.

Wojska bowiem europejskie, które były zamknięte w Tientsinie uderzyły na tyły Chińczyków. Warkocze uciekających Chińczyków jeno tak wiewały w powietrzu. — Odsiecz Tientsinu była dokonana.

Pierwsze pytanie Stoessla było teraz: „Co się dzieje ze Seymourem?”

Oddział jego obleżony w arsenale w Zygu. Jeszcze się trzyma, ale położenie jego ma być straszne!

„Dobrze! Jutro wyrzucam Chińczyków całkiem z Tientsinu, a pojutrze uwolnimy Seymoura”, brzmiała odpowiedź.

I tak się stało. Oczyszczeni europejską część miasta z Chińczyków 24. czerwca, ruszył Stoessel 25-go ze wschodem słońca w stronę Zygu. Między Zygu a Tientsinem znajdował się jeszcze fort chiński, z którego przywitano oddziały generała Stoessla silnym ogniem działowym.

W arsenale w Zygu oddział Seymoura nie wiedział o zbliżaniu się odsieczy. Obrócono zdobyte armaty Kruppa w stronę fortu i częstowano Chińczyków celnymi strzałami. Chińczycy pilnie odpowiadali, gdy tymczasem siły generała Stoessla maszerowały dalej.

Nagle spostrzegły wojska Seymoura olbrzymi tuman kurzu, który od Tientsinu szedł ku nim.

Przypuszczano, iż to wojsko chińskie z Lubaj. Marynarze leżeli z karabinami gotowemi do strzału na wałach. Działa były nabite i skierowane ku owemu tumanowi. Co zrobić? Komendanci się wahali. Jeszcze minuta może i —

„Lecz cóż to? Białe kapelusze. Kapelusze słomkowe. Bagnety — pałasze? —”

„Na Boga. — Spocznij! To wojska europejskie, to odsiecz!“ W świetle słońca rozpoznano teraz dokładnie rosyjskie mundury.

Chińczycy, otaczający arsenał dawno już byli drapneli. I oddziały Stoessla stanęły przed arsenałem. Obleżeni wybiegli i szukali swych ziomeków. Radość była bez granic.

Uszli niechybnej i okrutnej śmierci. Oficerowie i marynarze ściskali się wzajemnie i wieszowali sobie ratunku.

Nagle odezwał się z góry głos: Zygmus — tutaj!

A z dołu: Witek — tutaj!

I bracia się uścisknęli.

„Masz całe kości?“

„A jakże — Ty także.“

Chwała Bogu — tak. Pewnie ciężkie mieliście dni!?”

„Człowieku — działy się rzeczy okropne. Lecz chwała Bogu wszystko minęło.“

Nie było dużo czasu do gadania, bo trzeba było przygotować odwrot połączonych sił Seymoura i Stoessela. Z arsenału zabrano ogromne zapasy. 200 nowych amunicyj Kruppa, 40,000 karabinów, 5 milionów naboży, 23,000 funtów ryżu. Wszystkiego coprawda nie było można zabrać.

Z rana koło 2-giej wysłano kilka oddziałów dla rozpoznania okolicy i dla zbadania, czy droga do Tientsinu wolna. Jednym z plutonów dowodził Witold Siemieński. Po dobrej godzinie nadszedł patrol do arsenału z meldunkiem: „Meldunek porucznika Siemieńskiego. Nieprzyjaciel w sile mniej więcej 1200 chłopów, w części bokserów, w części regularnego wojska chińskiego zajął zarośla i las nad rzeką, która wypływa z jeziora Tung-tien. Obsadziliśmy łańcuch pagórków, z kądem można nieprzyjaciela powstrzymać. Pan porucznik się jęta, jak długo ma pozostać na owej pozycji. Dalej prosi o przysłanie trzech noszących, gdyż jeden majtek ciężko chory, inny lekko ranny. Sam porucznik postrzelony niżej kolana. Chodzić już nie może.“

„Kto dowodzi oddziałem?“

„Jeszcze pan porucznik. Kazał sobie opatrzyć ranę jak było można i siedzi za środkiem szeregu.“

„Dzielny młodzian“ mruknął komendant. „Niech brat podąży mu na pomoc.“ Natychmiast wydał potrzebne rozkazy.

Kwadrans później prowadził chorąży Siemieński swój pluton oraz 10-ciu ludzi z noszami dla rannych, w kierunku południowo-zachodnim. Patrol wskazywał drogę. Po półgodzinnym zaledwie marszu usłyszano ożywiony ogień karabinowy.

„To są nasi ludzie. Prawdopodobnie zaczepiono ich.“

Chorąży rozwinał natychmiast swój pluton i rozkazał by jak najprędzej przebyto zarośla. Właśnie wschodzilo słońce.

Niebawem też ujrzał chorąży swego brata, jak klecał jedną nogą na pniu drzewa, a opierał się na drugiej zdrowej. I tak kierował młody oficer ogniem swych ludzi, na których z lasu szło jakie 200 bokserów. Prócz tego 200 chłopów regularnego wojska chińskiego ostrzeliwało ich z brzegu lasu. Chorąży oceniał położenie od razu trafnie.

Odesłał więc patrol przedko do brata i kazał powiedzieć, że bokserom zajdzie bok, by jemu ułatwić walkę z oddziałem regularnego wojska chińskiego. Zakomenderował następnie: „W prawo zwrot! W kierunku na owe wysokie drzewo — pędem — marsz — marsz!“

Pluton popędził co ludzie wybiedz mogli: „W lewo zwrot! Prosto! Stać! Na ziemię. Na bokserów — 400 metrów — pięć naboży — gęstego ognia!“

Była to wielka niespodzianka dla Chińczyków, którzy się po tej stronie nieprzyjaciela nie domyślali. Kule żołnierzy marynarskich trafiały, jak gdyby na placu ćwiczeń strzelano do tarczy. Mimo to bokserzy nieustraszenie zwrócili się przeciwko nowemu nieprzyjacielowi, co ułatwiało porucznikowi Siemieńskiemu walkę z regularnym wojskiem...

Bokserzy zbliżyli się już znacznie do oddziału chorążego. „350 metrów — pięć naboży — gęstego ognia! — 250 metrów — pięć naboży!“ Napastnicy chwilowo mieli dosyć. Zatrzymali się, wielu dało tyły — reszta była niezdecydowana co zrobić. —

„Pomożemy tym drabom zdecydować się“, zawołał chorąży. „Nasadzić — bagnet! Na bokserów — Hura!“

Pluton popędził ku bokserom, którzy jednakże nie dotrzymali placu, lecz przedko uciekli do lasu. Teraz jednakże regularne wojsko chińskie skierowało ogień na pluton chorążego.

„Stać! — na ziemię!“ zakomenderował Zygmunt z podniesioną szpadą. Nagle jednakże opadło mu ramię i szpada wypadła mu z ręki. Kula przeszła mu prawe ramię. Prędko podniósł szpadę lewą ręką i wydał dalsze rozkazy: „Na nieprzyjacielskich strzelców na brzegu lasu: 600 — metrów — pięć naboży — wolnego — ognia!“

Ogień obu oddziałów zmusił Chińczyków do cofnięcia się i teraz dopiero kazał sobie Zygmunt opatrzyć ranę!

Umilkły ostatnie strzały i teraz poprowadził chorąży swój oddział do brata.

„Jak się masz? Jesteś ciężko ranny?“

„Myślę że nie. Zdaje mi się coprawda, że strzaskali mi kość niżej kolana. Ale Ty? Co tobie?“

„Mnie lajdaki także poczęstowali ładunkiem ołowiu. Obawiam się, że mi strzaskali kość w prawem ramieniu.“

„Chwała Bogu, że nie gorszego.“

„Mieliśmy szczęście obaj. Mogło być gorzej. — Taką przednią i tylną łapę nie trudno skleić. Czy możesz pluton twój sam poprowadzić?“

„A jakże! Mam ramię, jak widzisz w temblaku! Lecz Tobie trzeba położyć się na nosze.“

„Tak jest! Ale i ja nie potrzebuje złożyć dowództwa. Bądź łaskaw zobaczyć do moich rannych. Tam leżą. A co w twoim plutonie nie ma rannego prócz Ciebie?“

„Nie — ani jednego.“

„Tem lepiej! Więc oddaj nam wszystkie nosze.“

„Już kazałem.“

Patrole wysłane dla śledzenia Chińczyków, niebawem wróciły, meldując, że nieprzyjaciela nigdzie nie widać śladu. To też młodzi oficerzy postanowili cofnąć się do głównych swych oddziałów.

Przodem szła piechota marynarska. Za nią szedł chorąży obok leżącego na noszach brata. Za nimi dalej ranni, a następnie pluton marynarzy.

Wróciwszy do swych oddziałów i zdawszy raport udali się do lekarza, który im oświadczył, że porucznikowi potrzeba trzech miesięcy do wyleczenia się, chorążemu dwa.

„W każdym razie lepiej tak — niż śmierć. Przy najmniej będziemy teraz razem.“ Pożegnali się więc z przełożonymi, którzy im nie szczędzili pochwał i zapowiadali awans. Następnie przyłączyli się do reszty rannych.

Połączone oddziały Seymoura i Stoessla wróciły teraz do Tientsinu. I tam się kończy pierwsza część wojny.

Druga część skończyła się zajęciem stolicy państwa chińskiego — Pekinu, dnia 16-go sierpnia i ukaraniem Chińczyków. Lecz w tej drugiej wyprawie nasi przyjaciele już udziału brać nie mogli, gdyż jeszcze nie byli wydrowieli.

Awans ich coprawda nie minął, gdyż chorążego zamianowano porucznikiem, porucznika — nadporucznikiem.

Wysłano ich jednakże do Europy, do domu, gdzie rodzice ich oczekiwali z utęsknieniem i ich przywitali z wielką radością.

(K O N I E C.)

** W następnym zeszycie dodatku książkowego zamieścimy opowiadanie o walkach z Indyanami i innymi dzikimi narodami.



....Gdy padł strzał, spał się koń i naczelnik z dzikim okrzykiem bólu runął na ziemię — — —

Z powstania Hindusów.

Na cmentarzysku stoni.

Ze sławnego miasta Delhi, wspanialej i starożytniej siedziby potężnych Mongołów, którzy niegdyś panowali nad całymi Indiami, wyruszył pewnego poranku oddział angielskich huzarów, liczący dwudziestu zbrojnych żołnierzy. Na czele oddziału jechał na dzielnym rumaku major Campbell, tęg i wysoki mężczyzna o bardzo sympatycznym wyglądzie.

Powód, który zmusił huzarów do opuszczenia Delhi, gdzie stali szwadronem, był następujący:

Poprzedniego dnia znaleziono za miastem zwłoki młodego porucznika huzarów, Nelsona. W serce ofiary był wbity cienki indyjski sztylet. Major, dowiedziawszy się o tym strasznym wypadku, pośpieszył niezwłocznie na miejsce zbrodni, lecz mimo wszelkich starań, nie mógł wpaść na ślad zabójcy. Sztylet był wymownym dowodem, że zbrodnię popełnił Hindus, lecz z jakich powodów, pozostało tajemnicą. Pierwsze nieudane próby nie zraziły Campbella: postanowił bądź co bądź odnaleźć zabójcę i pomścić śmierć swego przyjaciela. Wróciwszy do miasta, przed gankiem domu zastał angielskiego żołnierza, który mu oznajmił, że rankiem spotkał za miastem porucznika w towarzystwie wychudłego fakira*), kulejącego na prawą nogę.

„Zdziwiłem się”, mówił żołnierz, „że pan porucznik zadaje się z tą indyjską maskarą. Zauważyłem, że fakir z porucznikiem zginął w krzakach. Dowiedziawszy się o dokonanej zbrodni, uważałem za swój obowiązek donieść o tem panu majorowi.”

Campbell skorzystał z tej ważnej wiadomości i nie zwlekając wyruszył nazajutrz w celu odnalezienia fakira. Po drodze zatrzymywano każdego przechodnia i pytano go, czy nie widział przypadkiem kulawego fakira i czy nie wie, gdzie się tenże ukrywa. Lecz przebiegli Hindusi udawali, że się litują nad zgonem nieszczęśliwego porucznika, przeklinał sprawcę zbrodni i żalowali, że nie mogą go wydać w ręce sprawiedliwości. Ale major wiedząc, że Hindusi nienawidzą „czerwonokabatników“**), którzy przemocą wdarli się

*) Fakir — indyjski pokutnik, okrutnie dręczący swe ciało. Fakiry znają też bardzo ciekawe sztuki kuglarskie.

** Tak Hindusi nazywają angielskich żołnierzy, którzy noszą czerwone mundury.

do ich ziemi. nie wierzył przysięgom tych, co się cieszyli w duchu, że wróg ich zginął, a považany przez wszystkich święty fakir, uszedł szczęśliwie srogiej kary.

Nadeszło południe. Nieznośny upał coraz bardziej utrudniał dalszą podróż. Gdy wjechało w gęsty bór, major rozkazał oddziałowi rozłożyć się w lesie i odpocząć w cieniu palm. Nakarmiono i napojono konie, poczem, po posiłku i parogodzinnym odpoczynku ruszono w dalszą podróż. Campbell oświadczył żołnierzom, że nie wróci do obozu, dopóki nie pochwyci zabójcy, lub nie przekona się, że dalsze poszukiwania są bezcelowe. Z nadejściem nocy oddział rozłożył się obozem na szerokiej leśnej polanie. Major, chcąc się przekonać, czy im nie grozi jakie niebezpieczeństwo, udał się wraz z kilkoma żołnierzami na zwiady. Zachowując jak największą ostrożność, ruszył w kierunku bielejących w świetle księżyca wysokich, nagich skał.

Wtem jeden z żołnierzy, nazwiskiem Barnes, spostrzegł zarzysy jakiejś postaci, która pięła się wolno po zrebie skały.

Major ukrył się z żołnierzami w pobliskich krzakach i nie spuszczał oka z owej postaci. Po pewnym czasie na zboczu skały ukazały się jeszcze dwie inne postaci. Czepiając się wystających złomów skał, dotęgnęły szczytu i skryły się w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą zniknęła pierwsza postać.

Pozostawiwszy na posterunku kaprala Patrika, major wraz z Barnesem powrócił do obozu i oznajmił żołnierzom, że nieopodal w rozpadlinie między skałami odbywa się jakieś tajne zebranie Hindusów. Uważając za swój obowiązek dowiedzieć się, co się tam dzieje, wzywa łuzarów, ażeby się z nim razem udali na owo tajemnicze miejsce. Żołnierze pospieszyli spełnić rozkaz. Obawiając się, żeby brzęk końskich kopyt nie zdradził ich obecności, zostawili konie pod opieką jednego z żołnierzy i kryjąc się w wysokiej trawie, lub w krzewach, zbliżyli się do głębokiego wąwozu. Tu na rozkaz majora pozostali w ukryciu, zaś Campbell z Barnesem zaczęli się dalej wspinać na skały, skradając się ostrożnie do miejsca, gdzie zginęła owa tajemnicza postać. Droga była bardzo męcząca i niebezpieczna. Chwyając się korzeni kosodrzewiny i przeskakując z głazu na głaz, wydostali się wreszcie na sam szczyt góry.

Wtem usłyszeli dziwny śpiew, który głośno się rozlegał w nocnej ciszy.

„Tam są Hindusi!“, szepnął major, wskazując ręką na prawo. — „Baczność, Barnesie!“

Kapral skinął milczaco głową i tamując oddech w piersiach, zaczął wolno postępować za swym zwierz-

nikiem. Dostali się nareszcie do jakiejś głębokiej rozpadliny zarosniętej gęstą kosodrzewiną i przedarłszy się przez gęstwinę, zadrżeli z przerażenia. Przed ich oczyma rozciągał się głęboki parów ze wszech stron otoczony wysokimi skałami. Na dnie parowu rosły bujne krzewy. Pod najwyższą skałą piętrzyła się olbrzymia gromada kości, a między nimi lśniły w blaskach księżyca duże, żółtawe kły słoni.

„Panie majorze!“, szepnął Barnes. „Toć to cmentarzysko słoni. Hindusi uważają białe słonie za święte i tu ich chowają. Nieraz słyszałem od Hindusów o tym parowie, lecz się nie mogłem nigdy dowiedzieć, gdzie się mianowicie znajduje.“

„Wspaniałe odkrycie!“, odparł major. „Kły słoni posiadają niezmierną wartość. Zarobimy na nich tysiące funtów szterlingów*). Tymczasem zwracajmy baczną uwagę na to, co się koło nas dzieje.“

Nad wązką rozpadliną skalną zwieszał się olbrzymi głaz, tworząc nad nią rodzaj dachu. Z obydwóch stron otworu tkwiły w szczelinach skały dwie pochodnie, oświetlające żółtawym światłem zebraną gromadę Hindusów, którzy przy dźwiękach gongu**) śpiewali monotonna, dziką pieśń.

„Wszechsilny Szywa***), Ty, który karzesz zdrajców ojczyzny, sprowadzasz śmierć na cudzoziemców — wysłuchaj naszych pokornych prośb: wejrzyj litościwie na swych wyznawców, dopomóż im do zwyciężenia wroga i daj nam dawniejszą potężną moc!“

„Jest to pieśń ofiarna“, szepnął major. „Szywa przyjmuje ofiary z ludzi. Lecz nie pozwolę na takie barbarzyństwo i muszę im przeszkodzić w dokonaniu tej ohydnej zbrodni. Spiesz się więc, Barnesie, i sprowadź tu żołnierzy. Gdy wystrzelę z rewolweru, opuśćcie kryjówkę i pospieszcie mi z pomocą.“

Barnes skinął głową i szybko się oddalił.

Obejrząwszy rewolwer, major zaczął się bacznie wpatrywać w oświetlony otwór skały. Hindusi skończyli pieśń. Nastąpiła grobowa cisza. Wtem ciemny otwór zajaśniał silnym blaskiem. W grocie ukazał się stary Hindus, należący do kasty braminów****). Gdy go zgromadzeni Hindusi ujrzeli, padli twarzami na ziemię.

Bramin wznosił ręce do góry i zawołał silnym głosem: „Powstańcie synowie sprawiedliwego dzieła! dzieci Szivy, bóstwa pomsty i nienawiści.“

*) Funt szterling, angielska moneta = 20 mk.

**) Gong — instrument muzyczny.

***) Jedno z bożyszcz wszelkiego złego.

****) Hindusi dzielą się na kilka kast, czyli klas. Najwyższą jest kasta braminów (kapłanów), najniższą — paryasów (nędzarzy).

Hindusi powstali.

„Przywołałem was“, rzekł bramin, „na to poświęcone miejsce w tym celu, żebyście wydali sprawiedliwy wyrok na nędznika, który się powążył odstąpić od wiary swych ojców, zaparł się bogów, współbraci i stał się wyznawcą boga czerwonekapatników, przyjacielem znienawidzonych przez nas Anglików. Zaraz go wasze oczy ujrzą!“

Dał znak ręką.

Z otworu w skale wyszło dwóch uzbrojonych Hindusów, wlokąc na powrozie jakąś śniadą, szczupłą postać, która miała skrupowane ręce i nogi. Był to młodzian wysmukły i zgrabny, o twarzy bardzo sympatycznej. Śniade ciało okrywała biała szata, na głowie miał duży turban (zawój). Na jego widok w zgromadzeniu powstał groźny szmer.

Bramin dał znak ręką: nastąpiła cisza. „Patrzcie!“, rzekł, „oto przed wami stoi Hindus Gisah i drży przed sprawiedliwym sądem za swój bezecny czyn.“

Lecz chłopiec targnął powrozami i zawołał z mocą: „Łżesz, braminie! bo nie drzę, lecz stoję tak śmiało i niewzruszenie, jak te oto skały. Oświadczam, że się śmierci nie lękam, bo wiem, że przez śmierć otrzymam wieczne zbawienie.“

„Milcz, zdrajco!“, krzyknęli zgromadzeni Hindusi.

Przy blasku pochodni zabłyszczały ostrza kilkudziesięciu sztyletów.

„Uciszcie się, synowie pomsty!“, zawołał bramin. „Ten śmiałek wkrótce już nie będzie kalał swych ust bluźnierstwami. Sądzę, że rychła śmierć nie jest dlań należną karą. On musi umierać wolno, wśród srogich męczarni! Wy zaś będziecie się radowali, słysząc jego jęk i krzyk! Bo czyż nie zasłużył na taką śmierć, czyż się nie splamił niecznym czynem. Raz jeszcze powtarzam, że zaparł się naszych bogów, stał się chrześcjaninem i zdradził Arnyla, który przeszył sztyletem angielskiego urzędnika. Biednego Arnyla osądzono na śmierć przez rozstrzelanie!“

„Śmierć Gisahowi! Śmierć zdrajcy!“ zawołali Hindusi i znów zaczęli groźnie wymachiwać sztyletami.

„Jesteś już osądzony, nędzniku!“ zwrócił się bramin do Gisaha i skinął na oprawców.

Dwaj uzbrojeni Hindusi rzucili się na ofiarę i powalili ją na ziemię. Z wnętrza grotty wybiegł olbrzymi fakir, trzymający w ręku żelazną żerdź, której koniec był rozpalony do czerwoności.

„Przypał mu dłoń“, rzekł mu bramin, „a potem podczas świętego hymnu, przyłożysz mu żerdź do stóp. Następnie, gdy skończymy hymn do wszechsilnego Szywy, roztrzaskasz winowajcy czaszkę!“

Fakir skinął głową i zbliżył się do Gisaha, który głośno zawołał: „Boże w ręce Twoje oddaję ducha mego!“

Rozpalona żerdź już dotykała dłoni nieszczęśliwej ofiary. Wtem huknął wystrzał. Fakir, ugodzony śmiertelnie w pierś, zachwiał się i padł na ziemię, brocząc we krwi. Hindusi krzyknęły z przerażenia, lecz zanim się mogli opamiętać, w parowie ukazał się oddział angielskiego wojska, uzbrojonego w karabiny. Na przodzie oddziału biegł major Campbell, trzymając w lewej ręce rewolwer, a w prawej lśniący pałasz. On to właśnie kulą ze swego pistoletu uśmiercił fakira, zaś Barnes, słysząc wystrzał, wypadł wraz z żołnierzami z krzaków i rzucił się śmiało na wroga.

Hindusi podnieśli przeraźliwy krzyk i zaczęli uciekać, ścigani przez Anglików. Naraz wszyscy Hindusi zniknęli za złomem skały. Zdumieni Anglicy po dłuższym szukaniu znaleźli ukryty w skale otwór. Wtargnąwszy do wnętrza, znaleźli się w długim, ciemnym korytarzu. Lecz major nie pozwolił im posuwać się dalej.

„Nie znając drogi“, zawołał, „możemy łatwo wpaść w zasadzkę i zginąć od sztyletów Hindusów, ukrytych w ciemnościach pieczary.“

Powrócili więc do parowu. Major podbiegł do Gisaha i przeciął mu pęta pałaszem.

Młodzian powstał i ukloniwszy się nisko Campbellowi, rzekł: „Panie, uratowałeś mi życie, niech więc ono nadal do ciebie należy. Za twą dobroć przyjm ode mnie najgorętsze podziękowanie.“

„Wiem, za co miano cię uśmiercić“, odparł major. „Jesteś dzielnym człowiekiem. Powiedz mi, jak się nazywasz i z jakiej pochodzisz rodziny?“

„Nazywam się Gisah“, odparł chłopiec. „Jestem sierotą od pierwszych lat mego dzieciństwa. Wychował mnie oswajacz węzów. Człowiek ten obchodził się ze mną bardzo nielitościwie. Pracowałem dużo i przymierałem głodem; za byle przewinienie byłem srogo karany. Pewnego dnia wracając do domu, znalazłem na drodze kosztowny pierścień. Uszedłszy paręset kroków, ujrzałem jakiegoś Anglika, który szedł bardzo wolno i uważnie się rozglądał po drodze. Na zapytanie czego szuka, odrzekł, że zgubił pierścień, który stanowi dla niego drogą pamiątkę. Oddałem mu pierścień bez wahania, zaś Anglik, który był znacznym urzędnikiem, przyjął mnie do siebie i przeznaczył do posługi w domu. Było mi tam bardzo dobrze; poznawszy zasady chrześcijańskiej wiary, ochrzciłem się. Na chrzcie dano mi imię Jakób, lecz zwano nadal Gisahem z obawy przed mściwymi Hindusami, którzy dowiedziawszy się, że zmienił wiarę, zabiliby mnie na pewno. Nieszczęście

chciało, że mój dobroczyńca nagle umarł. Byłem zmuszony opuścić jego dom i tulając się w ciemnych ulicach, żyjąc z ciężkiej pracy, modliłem się potajemnie do chrześcijańskiego Boga. Zaniedbując obrządki wiary indyjskiej, zwróciłem na siebie uwagę fakirów. Wreszcie zostałem oskarżony, że nie czczę indyjskich bogów. Z rozkazu bramina sprowadzono mnie do tego parowu. Nie zapierając się, że jestem chrześcijaninem, byłbym zginął straszną śmiercią. Dziękuję więc panu raz jeszcze za uratowanie mi życia i proszę o pomoc i opiekę."

Campbell, wzruszony opowiadaniem Gisaha, przyrzekł, że go przyjmie do siebie.

Wtem dał się słyszeć jęk, a po nim te słowa: „Bądź przeklęty, zdrajco!”

Wyrazy te wyrzekł umierający fakir.

Campbell zbliżył się do rannego i spostrzegł, że fakir ma prawą nogę krótszą.

„Ha, marny gadziel!”, krzyknął, „cieszę się, żeś nie chybił. Jestem bowiem przekonany, żeś to ty wczoraj zabił mego przyjaciela.”

„Tak jest!”, jęknął fakir, a twarz mu się wykrzywiła z bólu. „Jestem szczęśliwym, żeś zglądził z powierzchni tej ziemi jednego z naszych wrogów. Szkoda, że nie mogę i ciebie na tamten świat wyprawić.”

Rzekłszy te słowa, fakir drgnął, wyprężył się jak struna, i skonał.

Po kilkunastu godzinach drogi angielski oddział wrócił do Delhi. — Gisah udał się z majorem do jego mieszkania i wkrótce zapomniał zupełnie o przebytych dniach niedoli i smutku.

Ładowity wąż.

Campbell mieszkał w bardzo ładnym domku, zwanym „bungal” czyli letnia siedziba. Domek stał nad brzegiem rzeki, był jednopiętrowy i bardzo pięknie urządzone. Do wnętrza wiodł szeroki ganek, ocieniony płócienną zasłoną. Z drugiej strony domku zielenił się ogród, a w nim rosły wysmukłe palmy, potężne korkowe drzewa i barwiły się śliczne, wonne kwiaty. W tej miłej siedzibie mieszkał Campbell z żoną i jedenastoletnim synem, Arturem. W tylnej części domu mieszkała służba, składająca się z młodego Hindusa, używanego do posług i dwóch indyjskich dziewcząt: kucharki i pokojowej.

Artur tak polubił Gisaha, że wkrótce przepędzał z nim prawie całe dnie. Przeworny Campbell nie mówił nikomu, że Gisah jest ochrzczony. Służba była pewna, że nowoprzyjęty chłopiec jest prawowiernym Hindusem. Gisah zaczął pędzić bardzo szczęśliwe życie i wkrótce zyskał przyjaźń wszystkich domowników.

Jeden tylko Zyk, człowiek używany do posług, zazdrozcząc Gisahowi względów państwa, patrzył na niego krzywym okiem.

W parę dni po przybyciu do domu, major posłał do Kalkuty*) Barnesą z doniesieniem pułkownikowi o zabiciu porucznika Nelsona i o ukaraniu zabójcy. W raporcie majora była również wzmianka i o tem, że według otrzymanych wiadomości Hindusi w dalszych okolicach zachowują się coraz niespokojniej. Wobec tego major prosił pułkownika o wzmocnienie załogi w Delhi.

Po kilku dniach Barnes przywiózł następującą odpowiedź:

„Bolejąc nad stratą wiernego żołnierza królowej, dzielnego porucznika Nelsona, rad jestem, żeście pomścili śmierć naszego towarzysza broni. — Z rozkazu jednak miłostoiwej królowej oznajmiam wam, żeby żołnierze wasi obchodzili się z ludnością miejscową jak najłagodniej. Nie powinniśmy przeszkadzać ich obrzędowi religijnym, wogóle wystrzegać się wszystkiego, co mogłoby jątrzyć i drażnić Hindusów.

O rozruchach i niepokojach nie tu nie słyszeliśmy; przeciwnie, o ile sądzić mogę, Hindusi są coraz lepiej dla nas usposobieni, że zaś są tchórzliwi, więc nie odważą się z bronią w ręku wystąpić przeciwko naszemu wojsku. Wobec tego nie uważam za konieczne wzmocniać załogi w Delhi. — W Indjach panuje ogólny spokój. Dawniejsze wojenne zebrania Hindusów przybrały obecnie li tylko charakter religijny.”

List pułkownika uspokoił Campbella.

„Gdy wyższa władza twierdzi, że niema niebezpieczeństwa”, myślał major, „musi mieć na to pewne dowody; pocóż się więc obawiać przesadzonych wieści.”

Tak sądził Campbell, lecz Gisah, któremu Artur opowiedział treść listu pułkownika, był innego zdania.

„Pułkownik”, myślał Gisah, „przecenia moc angielskiego oręża i lekceważy nienawiść Hindusów do Anglików. Ja zaś słyszałem, że Hindusi zaczynają się burzyć. Obawy moje powiększa jeszcze Zyk, który wydaje mi się coraz bardziej podejrzany. Często, bo prawie co parę dni, wymyka się chyłkiem z mieszkania i wraca do domu dopiero nad ranem. Muszę go zacząć śledzić.”

Było to upalne południe. Artur siedział na ławce w cieniu rozłożystego drzewa i czytał zajmującą książkę. Gisah drzemał nieopodal.

Wtem Artur przeraźliwie krzyknął. Wierny sługa, ocknawszy się natychmiast, podbiegł do Artura i ujrzał z przerażeniem, że przy ręce chłopca wisi mały, czarny wąż.

*) Głównego miasta w Indjach.

„Ach, Boże! to kobra — jadowity wąż,“ — krzyknął Gisah.

Bez namysłu chwycił węża, rzucił go na ziemię i roztrzaskał mu głowę kamieniem. Poczem podtrzymując Artura, przyłożył usta do zacerwienionej rany i z całej mocy zaczął ssać z niej jad.

Na krzyk syna do ogrodu wbiegł major. Ujrzawszy omdlałego Artura i usmierconego gada, zrozumiał wszystko i wydał okrzyk grozy i rozpacz.

Proszę się nie obawiać,“ uspokajał go Gisah. „Już niebezpieczeństwo minęło. Wyssałem wszystek jad z rany.“

„Dzięki Bogu“, zawołał major. „Lecz co się teraz z tobą stanie, biedny chłopcze!“

„Trucizna dostawszy się ze śliną do żołądka, nie jest tak niebezpieczną, jak wówczas, gdy wejdzie w krew“, odparł Gisah i chciał pomódz majorowi podnieść Artura, lecz w tem zatoczył się i jęknął boleśnie.

Dobytując resztek sił, dowlókł się do poblizkiego krzaka akacyi, urwał kilka liści i zaczął je jeść.

Przerażony major przywołał dyżurnego żołnierza i posłał go po lekarza. Doktor, obejrzawszy ranę Artura, pocieszył stroskanych rodziców, że dzięki roztropności Gisaha, niebezpieczeństwo już minęło.

„Ten zacny młodzian poświęcił życie swe dla mego syna“, zawołał major. „Błagam cię więc, doktorze, uratuj go od śmierci.“

Doktor zbliżył się do Gisaha, który, jęcząc boleśnie, wił się w bólach. Z ust jego wydobywała się zielonawa piana.

„On już się sam wyleczył,“ odrzekł z uśmiechem lekarz. „Widzę bowiem, że najadł się gorzkich liści akacyi, której sok jest znakomitym środkiem przeciw ukąszeniu kobry. Proszę położyć obydwóch do łóżek i zmusić ich do picia jak największej ilości bardzo gorącego mleka.“

Zlecenie doktora szybko wykonano. Po godzinie Artur i Gisah zaczęli się pocić; było to oznaką, że już niebezpieczeństwo minęło. Minęło jednakże jeszcze kilka dni, zanim obaj ukąszeni nabrali sił i mogli opuścić łóżka.

Major i majorowa serdecznie dziękowali Gisahowi za jego szlachetny czyn i zaczęli się z nim obchodzić, jak z rodzonym synem. Wdzięczny zaś Artur począł go nazywać swym bratem.

Na zwiadach.

Upłynął miesiąc.

W Delhi i w dalszych okolicach panował wzorowy porządek.

Hindusi zachowywali się bardzo spokojnie.

Nieopodal miasta na wzgórzu mieszkał w swym bungaluf bogaty radża*) Dżall, który żył w wielkiej przyjaźni z Campbellen i z innymi oficerami. Urządzał zabawy, polowania i zapraszał na nie swych przyjaciół. Anglicy chętnie odwiedzali księżę bungal, uzależniony z niezwykłym przepychem. Dżall urozmaicał zabawy tańcami bajader*), sztukami fakirów, akrobatów, pogromców zwierząt i oswajaczy węzów. Podczas uczt stoły zwykle uginały się pod wspaniałemi potrawami i najdroższymi winami, które podawano w srebrnych kubkach i chłodzono lodem, sprowadzanym ze szczytów niebotycznych gór. Uprzejmość miłego gospodarza sięgała tak daleko, że po każdej zabawie obdarzał swych gości bogatymi podarkami.

Świeżo więc książe Dżall znowu urządził zabawę. Dżall był bardzo wesoly i przy każdej sposobności glosił o swem przywiązaniu do angielskiego tronu. Bardzo ubolewał nad tem, że krajowcy dotychczas byli niezadowoleni z angielskiego rządu, lecz upewniał gości, że obecnie usposobienie ludu zupełnie się zmieniło, bo Hindusi widzą, że pod panowaniem angielskiego berła zaczyna się im dźać coraz lepiej: handel i przemysł wzrastają, a co za tym idzie — i dobrobyt kraju. Mowę swoją radża jak zwykle zakończył toastem za zdrowie królowej Wiktorji. Toast ten przyjmowano burzliwemi okrzykami zadowolenia. Anglicy cieszyli się z tych zapewnień księcia. Zresztą ufając w swoją siłę, uważali, że do takiego porozumienia musiałoby przyjść wcześniej czy później, tem bardziej, iż widzieli, że Hindusi są podziwem i drżą przed potęgą wielkiej Brytanji.

Okazało się jednak, jak się wkrótce Anglicy sami przekonali, że w skórze tych „indyjskich zajęcy“ bije serce krwiożerczych tygrysów.

Gisah, nie wierząc w uprzejmość i przyjaźń Dżalla, zawsze z obawą oczekiwał powrotu majora, który bardzo chętnie jeździł do bungal księcia. Obawy Gisaha powiększały tajemnicze wycieczki Zyka. Gdy Campbell wyjeżdżał do bungal Dżalla, Zyk zawsze wykradał się nocą z domu i znikał gdzieś aż do świtu.

Nie chcąc się gubić w domysłach, Gisah postanowił śledzić Zyka i razu pewnego, uzbrojwszy się w sztylę, puścił się za nim. Noc była ciemna, lecz bystre oko Gisaha dostrzegło postać Zyka, skradającego się chyłkiem ku rzece. Gisah zachowując wielką ostrożność, szedł w ślad za Zykem i doszedł za nim aż do brzegu rzeki. Zyk przystanął i rozejrzał się naokół. Po chwili namsłu skreślił w boczną ścieżynę i znikł z oczu Gisaha.

*) Książe Hindusów.

*) Indyjskich tancecznic.

„Udał się pewnie do opuszczonej rybackiej chaty!“, pomyślał Gisah. „Pójdę za nim! Chociaż otaczają mnie ciemności, znam jednak dobrze te kąty.“ Wyciągnął z za pasa sztylet i ruszył na prawo.



... lecz Gisah skoczył ku zwierzwowi i wystrzelił.
(Zobacz str. 148.)

Po paru minutach usłyszał kilka stłumionych głosów:

„Nie omyliłem się!“, szepnął i przyłożył ucho do wąskiego otworu między dwiema starymi spaczonymi deskami, w ścianie chaty.

Po chwili po dźwięku głosu poznał bramina, który go chciał zamordować w parowie, zwanym świętym cmentarzem białych słoni.

Bramin uciszył zebranych i rzekł:

„Bracia, cieszcie się, bo chwila radości i wesela już się zbliża. Niezadługo znów będziemy wolnymi synami tej ziemi. Pod wodzą Nany Sahiba wywalczymy prawa wolności. Święte dzieło już się rozpoczęło. Czuwajmy wszyscy! Ty zaś, Zyku bacz pilnie, co robi Campbell, donoś nam o wszystkim i — czekaj znaku. Nana Sahib wynagrodzi hojnie twe usługi.“

„Dostojny Szakao!“, odezwał się Zyk, „racz mnie wysłuchać. Przekonałem się, że młody Hindus, Gisah, którego Campbell otacza wielką łaską, jest chrześciani-
nem. Dziś udało mi się wyśledzić, że wraz z synem majora modlił się do Boga chrześcjan.“

„Rzekłeś prawdę!“, odparł bramini. „Wiem już o tem, bo tego nędznika major wyrwał z rąk moich. Niech będzie trzykroć przeklęty i on i jego rodzina. Gisaha ostatnia godzina już wybiła. Zginie jak płaz rozdeptany nogą. Tymczasem bądź dla niego uprzejmym, bo jest bardzo przebiegłym i może łatwo zniszczyć nasze święte dzieło. A teraz wracajmy do domów!“

Słyszając to Gisah, odbiegł od chaty i kilku zgrabnymi kocimi ruchami, wdrapał się na wierzchołek palmy.

Zaledwie to uczynił, przed chatą rozległ się głos Zyka: „Wielki Szakao! Przed chwilą słyszałem tu czyjeś kroki.“

„Zdawało ci się“, odparł bramini. „W każdym razie zaraz się o tem przekonamy.“

W chacie zabłysło światło. Ukryty w gęstej koronie palmy Gisah, ujrzał bramina i Zyka, który trzymał gorejące łuczywo i wraz z kilku innymi Hindusami obiegł pobliskie krzaki. Gisah, drżąc ze strachu, myślał:

„Jeśli mnie spostrzegą — zginę napewno!“

Lecz bramini zawołał: „Darmo szukacie, bo któżby się tu mógł zakraść? Ciszę tego pustkowia mogą przerywać tylko aligatory*), pełzające po brzegu rzeki.“

Od wody ozwał się plusk.

„Słyszycie? Nie omyliłem się“, rzekł znów Szakao. „Zgaście łuczywo! Światło może nas zdradzić. Uchodźmy stąd!“

*) Aligatory — wielkie jaszczurki, podobne do krokodyłów.

Po chwili Hindusi rozeszli się z wolna w rozmaitych kierunkach. Gdy kroki ucichły, Gisah zsunął się z drzewa, przebiegł szybko przestrzeń dzielącą go od domu, przeskoczył ogrodzenie i cicho, jak kot, wsunął się do swego pokoiku. Leżąc na łóżku, zaczął się zastanawiać nad tem, co przed chwilą usłyszał.

„Teraz już jestem przekonany, że Hindusi się gotują do powstania, które nastąpi w krótkim czasie“ myślał. „Przewrotny Zyk donosi im, co się dzieje w domu Campbella.“

Młodzian postanowił nie prędzej mówić o wszystkim majorowi, aż pozna zupełnie dokładnie plany Hindusów.

• • •

Nazajutrz Gisah poprosił majora o pozwolenie udania się na zabawę ludową.

Ponieważ Zyk miał być także na niej, Gisah zaczął się skarżyć przed nim na ból głowy i żalował, że musi pozostać w domu.

Po wyjściu Zyka, Gisah przywdział stare indyjskie szaty, owiązał oko i część twarzy brudną szmatą, prawą nogę owinał kawałkiem płótna i opuściwszy niepostrzeżenie bungal, udał się boczną drogą do Delhi!

Tu niepoznany przez nikogo, wmieszał się w różnobarwny tłum, złożony z bajader, fakirów, muzykantów i sztukmistrzów.

Porządku strzegli w mieście angielscy żołnierze.

Przysłuchując się chętnie rozmowom, chwytając bacznie każdy wyraz odbijających się o jego uszy rozmów, Gisah zgarbiony i kulejąc na prawą nogę, mijał wolno ulicę za ulicą. Wtem drgnął i zgarbił się jeszcze bardziej. W jednej z bocznych uliczek ujrzał bramina Szakao, który żywo rozmawiał z Zykiem i z kilkoma Hindusami. Gisah zbliżył się do nich i stanął nieopodal bramina.

Ten spostrzegłszy go, zawołał podniesionym głosem: „Czego tu chcesz, marny parjasie*?)? Idź dalej swoją drogą!“

Gisah, skrzyżowawszy ręce na piersiach, schylił się jeszcze niżej i rzekł zmienionym głosem: „Nie odpędzaj mnie, o wielki braminie! Jestem biedny, lecz poctewy i prawowierny Hindus. Nana Sahib nie pogardza parjasami, którzy mu mogą być pomocnymi w świętem dziele.“

Usłyszawszy imię Nany Sahiba, bramin już go nie odpędzał i zwrócił się do Hindusów: „Stanowcza chwila“, rzekł, „nadeszła prędzej, niż przypuszczaliśmy. Ogólne powstanie ma się rozpocząć dziś o północy. Czu-

*) Parjas — Hindus należący do ostatniej kasty.

wajcie tedy! Na dany znak rzućcie się na mieszkania naszych wrogów i zabijajcie ich, nieoszczędzając nikogo, nawet dzieci. Podpalone mieszkania ciemniców niech będą ognistym znakiem naszego zwycięstwa. Cypaje*) już należą do nas; sprzyjają naszej sprawie i pomogą do wycięcia w pień angielskich oficerów. W tę świętą noc powstaną i inne miasta. Rozkazy już są rozdane. Ja zaś na czele gromadki wtargnę do bungal majora. Dopomoże mi w tem Zyk, który o północy otworzy wrota.“

Wtem w pobliżu rozmawiających ukazał się angielski policjant. Na jego widok bramini zaczął głośno wygłaszać przymioty angielskiej królowej i namawiać rodaków do przyjaźnienia się z Anglikami.

Gisah dowiedziawszy się o wszystkim, pragnął jak najprędzej zobaczyć się ze swym dobroczyńcą i namówić go do natychmiastowej ucieczki przed grożącym niebezpieczeństwem.

Pragnął się pospieszyć jak najbardziej, lecz obawiając się zwrócenia na siebie uwagi, udawać musiał kulawego. Przechodząc z ulicy na ulicę i prosząc przechodniów o jałmużnę, dostał się wreszcie do rzeki. Obejrząwszy się raz jeszcze, czy go kto nie podpatruje, zaczął biec w kierunku domu. Wtem zdrzął i przystanął. Naprzeciw niego szedł Zyk. Gisah prędko jednakże otrząsnął się z obaw. „Niepotrzebnie się go obawiam“, pomyślał. — W tem przebraniu napewno mnie nie pozna.“

Pochylił się do ziemi, niby poprawiając szmatę na nodze, poczem zaczął iść dalej wolno i kulejąc.

Zyk zrównawszy się z Gisahem, spojrział na niego obojętnie i — minął.

Gisah odetchnął. Wtem nagle krzyknął przeraźliwie. Uczuł, że jakieś silne dłonie chwyciły go z tyłu za gardło.

„Myślałeś, że ci się uda mnie okłamać“, zasyczał nad głową jego głos Zyka. „Drżyj zdrajco! Tym razem nie ujdiesz kary!“ Wyciągnął sztylet i zamierzył się na Gisaha. Lecz tenże wyrwał się z jego rąk i zaczął uciekać. Zyk niestety go dopędził i pochwycił za ramię. Rozpoczęła się straszna walka: Gisah szamotał się rozpaczliwie i uchylał się od razów, lecz Zyk był mocniejszy.

Zadawszy mu silny cios w ramię, powalił go na ziemię.

Nieszczęśliwy Gisah stracił przytomność i po stromym brzegu stoczył się do rzeki.

*) Cypaje — indyjscy żołnierze, wywiezieni w służbie wojskowej przez oficerów angielskich.

Wartkie fale pochwyciły swą ofiarę i porwały ją w dal.

„Już nas nie zdradzisz! Życze dobrego apetytu krokodylom!” zawołał tryumfującym głosem Zyk i zaczął co sił uciekać z miejsca swej zbrodni.

Ucieczka.

Major, zaniepokojony długą nieobecnością swego ulubieńca, spytał Zyka, czy nie widział w mieście Gisaha.

„W mieście go nie widziałem,” odparł Zyk, „i dziwię się, że tam miał być, bo dziś zrana uskarżał się na ból głowy i żalował, że nie może pójść na ludową zabawę.”

Wróciwszy do mieszkania, major powtórzył żonie odpowiedź Zyka.

„A może,” rzekła majorowa, „Gisah spotkał w mieście owego bramina, który go chciał zamordować na cmentarzysku słoni.”

„To niemożliwe!” odparł major. „Nad bezpieczeństwem mieszkańców Delhi czuwa angielska policja, która obroniłaby Gisaha od napaści wroga. Gisah najprawdopodobniej bojąc się wracać w nocy do domu, zanoćował w Delhi.”

Przed północą Zyk wzięwszy klucz od furtki, wykradł się z izby i stanął przy bramie, czekając na rozkaz bramina.

Po pewnej chwili ktoś zapukał do wrót.

„Kto tam?” spytał Zyk.

„Czy to ty, Zyku?” rzekł ktoś stłumionym głosem.

„Ja.”

„A więc spiesz się — otwieraj.”

Zyk włożył klucz do zamku, lecz zanim otworzył furtkę, spytał jeszcze: „Dlaczego przybywacie wcześniej?”

„Bo taki otrzymaliśmy rozkaz Nany Sahiba.”

Zyk teraz już bez wahania otworzył furtkę. Na podwórze weszła jakaś ciemna postać.

Po ciele Zyka przebiegł dreszcz zgrozy. Postać przybysza była niższego wzrostu od bramina.

„Kto jesteś?” spytał Zyk.

Zamiast odpowiedzi postać nagłym ruchem zarzuciła mu na szyję mocny stryczek i szarpnąwszy, powaliła prawie zdławionego Zyka na ziemię.

Potem nieznamy zamknął furtkę i wyjął klucz z zamku. Następnie związał Zykowi ręce i nogi, a usta zatkał szmatą, aby nie mógł krzyczeć i przy świetle księżyca poznał tego, którego uważał już za umarłego i spoczywającego na dnie rzeki albo w żołądku jakiego aligatora. Zyk odzyskał teraz przytomność. Zadrżał więc z przerażenia. Złożył ręce jakby do modlitwy i wzro-

kiem błagał Gisaha o litość, lecz ten, nie zwracając nań uwagi, pospieszył do mieszkania majora. Obudziwszy Campbella, opowiedział mu o grożącym niebezpieczeństwie. Major, nie tracąc przytomności umysłu, wysłał niezwłocznie dyżurnego żołnierza z rozkazem, by cała załoga była w pogotowiu.

„Spóźniłem się, lecz nie mogłem wcześniej pana uprzedzić,” rzekł Gisah. „W mieście już pewnie powstałoby wybuchło.”

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, usłyszano w dali huk wystrzałów.

„Podaj mi konia!” zawołał major. „Muszę do miasta jechać i stanąć na czele oddziału.”

„Błagam pana, niech pan tego nie czyni!” zawołał Gisah. „Hindusi łatwo pana poznają i zabijają napewno. Według mego zdania, ucieczka i to rychła, jest jedynym naszym zbawieniem.”

Majorowa, dowiedziawszy się o wszystkim, zaczęła prosić męża, żeby nie opuszczał jej i Artura i nie narażał swego życia. Długo major się wzdragał, zanim uległ błaganiom żony, syna i Gisaha. Idąc za radą przornego Hindusa, ubrał się w szaty Zyka; Artur zaś wdział strój Gisaha, a majorowa przebrała się w suknię swej służącej indyjskiej. Gisah natarł im twarze i ręce tytuniowym sokiem, żeby przyciemnić kolor ich ciała — a potem zaczął naglić do pospiechu.

Wziąwszy pieniądze, zapasy żywności i fuzye, ruszyli do miejsca, gdzie bujała na fali, przywiązana do słupa, duża łódź majora. Już mieli wsiadać do łodzi gdy wtem za sobą usłyszeli czyjeś pospieszne kroki. Obejrzawszy się, ujrzeni Zyka, biegnącego ku nim ze sztyletem w ręku.

Zyk jakimś cudem zdołał się uwolnić od pęt, albo też Gisah w pospiechu nie zdołał go dobrze spętać. Dowiedziawszy się od służącej, że Gisah umknął wraz z rodziną majora, zapragnął zemsty i już dopędzał wroga.

Widząc to majorowa, krzyknęła z przerażenia.

„Nie obawiaj się!” zawołał major. „Wnet się go pozbędziemy.” I dobywszy rewolweru, w chwili, gdy Zyk zamierzał się na Gisaha, wystrzelił i zdradziecki Hindus padł na ziemię bez życia.

„Dzięki ci, panie!” zawołał Gisah. „Lecz spieszmy! Wystrzał może nas zdradzić. Uciekajmy co prędzej! Słyszycie, jak tam w Delhi strzelanina się wzniaga?”

W istocie z oddali dolatywały coraz głośniejsze krzyki i odgłosy wystrzałów. Zarywały działa, lecz wkrótce umilkły. Było to smutną oznaką, że gromady wzburzonego ludu już się dostały do fortcey i mordowały załogę. Łódź z uciekającymi, porwana prądem rzeki, oddalała się coraz bardziej od miejsca zgrozy

i śmierci. Ciemne sklepienie nieba różowiła łuna olbrzymiego pożaru, niszczącego koszary żołnierzy i domy angielskich urzędników. Nareszcie za zakretem rzeki straszny obraz zniszczenia znikł z oczu uciekających. Otoczyła ich ciemność. Przez chwilę nie widziano nie zgoła. Ciszę nocy przerywał tylko szmer zdradliwych wirów, których tu było pełno.

Po pewnym czasie przez oponę czarnych chmur przedarło się blade światło księżyca.

Gisah oglądając się raz po raz, dostrzegł, że za niemi płynie jakaś wielka łódź.

„Jesteśmy ścigani,” szepnął do majora. Lecz na szczęście obawy jego były płonne. Łódź była pusta.

Upewniwszy się, że tak jest w istocie, Gisah zawołał:

„Łódź jest wielka, wygodna. Radzę więc, prześiadźmy się do niej, naszą zaś łódź przewrócimy. Spostrzegłszy ją Hindusi, będą pewni, że utonęliśmy i przestaną nas ścigać.”

„Wspaniała myśl!” odparł major.

Nie zwlekając, pomógł żonie i Arturowi do zajęcia miejsca w pustej łodzi, potem przeniósł do niej worki z jedzeniem, a następnie, przy pomocy Gisaha, przewrócił własną łódź do góry dnem.

Gisah siadł do wiosel i zaczął dzielnie pracować. Lekka łódź indyjska pędziła jak strzała po powierzchni Dżumny (rzeki).

Nadbrzeżne rybackie osady były opuszczone. Mieszkańcy ich, chciwi mordu i lupu, opuścili swe siedziby i pospieszili do Delhi.

Na nowym zakrebie rzeki ujrzano na sklepieniu nieba groźną krwawą łunę.

„To pewnie nasz dom się pali!” zawołał major i zacisnął pięści z gniewu. Majorowa, przycisnąwszy do piersi syna, cicho płakała.

W istocie dom majora stał w płomieniach. Bramin Szakao, przybywszy z gromadą Hindusów do domu Campbella, zdziwił się, że wrota zamknięte. Pukał do bramy, wołał na Zyka, lecz napróżno. Nareszcie rozkazał Hindusom przedostać się przez płot na podwórze i donieść mu, co się tam dzieje.

Hindusi spełnili rozkaz, lecz drżeli z obawy, że padną pod strzałami żołnierzy ukrytych w domu majora. Spostrzegłszy jednak, że na podwórzu panuje głucha cisza, odważyli się wtargnąć do wnętrza domu. Tu do ich uszu doleciał krzyk przestraszonej służącej, która pod groźną śmierci wyjawiała Hindusom całą prawdę. Dowiedziawszy się o ucieczce majora, bramin rozkazał kilku Hindusom wsiąść do czołen i ścigać zbiegów. Po kilku godzinach wysłańcy wrócili z wieścią, że na je-

dnym z zakreków rzeki znaleźli czołno majora przewrócone do góry dnem.

Wówczas bramin wznosił ręce do góry i zawołał: „Bóg pomsty, Szywa, jest sprawiedliwy! Karze winowajców, nagradza skrzywdzonych. W jego imieniu rozkazuje wam równać z ziemią to wrogie gniazdo. Podpalcie je i zniszczcie! Niech nawet śladu z niego nie zostanie.”

Hindusi z okrzykiem radości spełnili rozkaz bramina. Zabrawszy co tylko było warto zabrać, podpalili dom majora i wrócili do Delhi, gdzie rozbewstwił tłum mordował nieszczęśliwych Anglików.

Przygody na rzece.

Major i Gisah wiosłowali aż do rana. Środze zmęczeniu, skierowali łódź do spokojnej, zacienionej łoziny zatoki i odpoczęli po uciążliwej pracy. Major, majorowa i Artur położyli się na dnie łodzi i twardo zasnęli. Poczciwy zaś Gisah postanowił ezuwać nad ich bezpieczeństwem. Nie obawiał się spotkania z ludźmi, lecz groźnego wroga — krokodyli, których w indyjskich wodach jest bardzo wielka ilość. Gisah długo nie czekał, gdyż niebawem z wody wynurzyła się ohydna, olbrzymia głowa krokodyla, który rozwarł paszczę uzbrojoną we dwa rzędy gestych i ostrych zębów i cicho podpłynął do łódki. Gisah, nie tracąc przytomności umysłu, uderzył go silnie po głowie żelaznym, ostrym końcem wiosła. Przestraszony krokodyl zniknął pod powierzchnią wody.

Raz po raz pokazywały się jeszcze nowe krokodyle i zdradzały chęć wtargnięcia do łodzi, lecz dotkliwe razy, jakie im wydzielał Gisah, psuły im apetyt.

Reszta nocy przeszła zupełnie spokojnie. Nad ranem pokrzepiono się skromnym posiłkiem, poczem major zdecydował, aby skwarne południe przepędzić w cień nadbrzeżnych krzaków. Ukryci w gęstej krzewinie, czuli się tu zupełnie bezpiecznymi. Gisah wyciągnął łódź na brzeg, umieścił ją w gestych krzakach, poczem, zająwszy miejsce obok majora, opowiedział swym przyjaciółom o wczorajszym zajściu z Zykem.

„Zyk, straciwszy mnie do wody”, ciągnął Gisah, „był pewny, że się utopił lub że mnie zjadły krokodyle. Szczęściem dla nas wszystkich, stało się inaczej. Fale rzeki wyrzuciły mnie na jakąś małą wysepkę. Pan Bóg widocznie sprawił, że mnie nie zjadły krokodyle. Wkrótce odzyskałem przytomność, lecz byłem tak osłabiony, że nie mogłem powstać. Zagrożające wam niebezpieczeństwo dodało mi jednak sił. Udało mi się dopłynąć do ładu i ruszyłem do domu.” Wreszcie opowiedział młody Hindus, jak się sprawił ze Zykem.

„Dzielny z ciebie młodzieniec“, zawołał major, i chwyciwszy Gisaha w objęcia, serdecznie go ucałował. Majorowa i Artur, idąc za przykładem majora, dziękowali Gisahowi za jego dobroć i szlachetność.

„Jestem bardzo szczęśliwy“, odparł wzruszony Gisah, „że mi się udało ocalić was od śmierci. Lecz i teraz nie jesteśmy bardzo bezpieczni. Dla tego też radzę, żebyśmy dalszą podróż odbywali tylko w nocy, dni zaś spędzali w ukryciu. W ten sposób unikniemy w dzień spotkania z ludźmi, a w nocy z dzikimi zwierzętami.“

Major, uważając radę Gisaha za bardzo roztropną, postanowił postępować według jego wskazówek. Z nadejściem wieczoru wyciągnięto łódź na wodę i ruszono dalej po lśniącej powierzchni Dżumny.

Po paru godzinach drogi, Gisah dostrzegł, że łódź zaczyna płynąć coraz szybciej.

„Gdzieś w pobliżu musi być chyba wodospad“, zauważył major. „Nie znając drogi, myślę, że lepiej będzie zawrócić do brzegu i tę niebezpieczną część rzeki przebyć w dzień.“

Gdy łódź dobiła do brzegu, Gisah przywiązał ją do pnia drzewa, poczem udał się do lasu i naznosiwszy suchych gałęzi, rozpalil ogień w celu odstraszenia dzikich zwierząt. Majorowa i Artur usnęli w łodzi, major zaś i Gisah z fuzjami w rękach strażowali. Czuwanie było konieczne, gdyż z dali dochodziły do ich uszu ryki tygrysów; z gestwin odwiecznych borów dochodził wstrętny śmiech hijen. Gisah od czasu do czasu dorzucał drzewa do płonącego ognia, major zaś nie spuszczał oka z pobliskich gąszczów i w każdej chwili był gotów powitać krwiożerczego gościa wystrzałem z dubeltówki.

O świcie ruszono w dalszą drogę. Prąd wody stawał się coraz silniejszym: fale rzeki toczyły się wartko i z szmerem rozbijały się o skaliste brzegi. Wtem Gisah, wpatrzywszy się bacznie w dal, dostrzegł, że za nimi pędzi jakieś duże czołno, a w nim siedzi kilku ludzi.

Gdy się czołno zbliżyło, zauważono w nim pięciu Hindusów. Jeden z nich zawołał: „Hola! Dokąd jedziecie?“

„O, Boże, zginęliśmy“, zawołała majorowa i zaczęła drżeć ze strachu.

„Niech pani zapanuje nad sobą i nie okazuje obawy“, rzekł Gisah. „Od naszego zachowania się dużo zależy.“

To rzekłszy, powstał i krzyknął: „Jedziemy do Alahabadu (Kalkutty).“

„I my tam jedziemy“, brzmiała odpowiedź. „A czy wiecie o tem, co się stało w Delhi?“

„Naturalnie. Święty wiec Nany Sahiba zwyciężył wrogów.“

„Rzekłeś prawdę, bo w Delhi już teraz niema ani jednego czerwonokabnatnika. W innych miastach także wycięto ich w pień.“

Tymczasem czołno zrównało się z łodzią majora. Naraz jeden z Hindusów zaczął się bacznie przyglądać Gisahowi.

Gisah zdrzął. Poznał bramina Szakao, który uśmiechnął się chytrze i zwróciwszy się do swoich, rzekł:

„Przyjaciele, bóg pomsty Szywa okazał wam swą wielką łaskę. Ten oto nędznik“, wskazał na Gisaha, „to zdrajca, który już raz uszedł sprawiedliwej kary. Ucieka wraz z Campbellem i jego rodziną. Poznałem ich, choć są przebrani. Musimy ich pochwytać.“

Słyszając to, majorowa krzyknęła z przerażenia i przytuliła do piersi Artura, major zaś chwycił za fuzję.

Zanim jednak miał czas strzelić, Gisah rzucił się do wody, podpłynął pod łódź Hindusów i przechylił ją. Łódź zakolysała się silnie i — wywróciła.

Rozległ się straszliwy krzyk Hindusów, których porwał silny prąd rzeki.

Gisah nie puścił czołna, lecz starał wydostać się na wierzch tejże i płynął na nim pomy, póki majorowi nie udało się zbliżyć i wciągnąć go do swej łodzi.

Rozpaczliwe krzyki tonących i pożeranych przez krokodyli Hindusów, ucichły.

„Boże odpuść mi“, szeptał Gisah, wzniosłszy oczy ku niebu. „Popelnilem okropny czyn, lecz inaczej nie uratowałbym siebie i drogiej mi osób. Wiedziałem, że się narażam na pożarcie przez krokodyla, lecz inaczej bylibyśmy i tak zginęli. Bóg mi dopomógł.“

Wzruszony poświęceniem Gisaha, major uściśnął mu dłoń, majorowa zaś pocałowała go w czoło i ze łzami w oczach dziękowała za uratowanie im życia.

Tymczasem łódź pędziła dalej jak strzała. Naokoło huczały spienione fale. Nagle zagłębił się przód łodzi. Płynącym się zdawało, że zapadają do głębin. Owionął ich zimny wiatr, twarze, dłonie i ubranie zrosiła wodna kurzawa wodospadu. Zdawało się, że zginą. Na szczęście jednakże wodospad nie był wielki i dzięki przytomności umysłu majora i zręczności Gisaha, łódź się nie wywróciła. Wydostali się szczęśliwie z toni, choć przemokli do suchej nitki.

Pieniące się fale i zradne wiry już były daleko za łodzią, która zwolniła biegu i po jakimś czasie płynęła po spokojnej już powierzchni rzeki. Gdy się przekonano, że groźne niebezpieczeństwo już minęło, major skierował łódź do brzegu i zdecydował, że tu na

skraju odwiecznej puszczy pozwolą sobie na dłuższy odpoczynek.

Ponieważ Gisah był wycieńczony bezsennością i długim wiosłowaniem, major kazał mu spocząć, a sam czuwał nad bezpieczeństwem rodziny. Dorzucając gałęzi do ogniska, wpatrywał się bacznie w ciemną puszcę. Dokoła panowała głęboka cisza, przerywana tylko szmerem prastarych drzew. Po parogodzinnem czuwaniu, major ucałował wielkie znużenie: usiadł więc na starym pniu drzewa i oparłszy się o fuzyę, usnął. Nagle obudził go straszny ryk. Przerażony major przetarł oczy i ujrawszy, że ognisko już wygasa, chciał dorzucić drzewa.

„Baczność, majorze!“, odezwał się głos Gisaha. „W krzakach błyszczą oczy tygrysa.“

Majorowa, chwyciwszy za rękę Artura, zaczęła biedz do łodzi, major zaś zmierzyl do krzaków we wskazanym przez Gisaha kierunku.

Zanim jednak zdołał pociągnąć za cyngiel, z krzaków wyskoczył olbrzymi tygrys i z przeraźliwym rykiem dopędził Artura. Sroga bestya powaliła chłopea i szponami przycisnęła do ziemi.

Major nie śmiał strzelić, żeby nie zabić przypadkiem syna; lecz Gisah, nie tracąc ani chwili czasu, wyrwał fuzyę z rąk majora i podskoczył ku zwierzowi i w chwili największego niebezpieczeństwa wystrzelił. Olbrzymie zwierzę ugodzone kulą w łeb, padło na ziemię bez ryku, bijąc łapami ziemię.

Majorowa widząc, że Artur żyje, a nawet nie jest zranionym, podbiegła do Gisaha i objawszy go za głowę, tuliła w swym uścisku, dziękując za ten nowy, dzielny i szlachetny czyn jego.

„Mój drogi synu!“, zawołał major, przyciskając Gisaha do piersi. „Jesteś naszym aniołem stróżem. Jeśli mi Bóg pozwoli, potrafię ci się odwdziżyć za wszystko, coś dla nas uczynił.“

„Zrobiłem to, co było moim świętym obowiązkiem.“ odparł Gisah. „Największą zaś nagrodą jest dla mnie to, że mnie kołhacie i nazywacie synem. Obyśmy tylko szczęśliwie dojechali do jakiego angielskiego miasta.“

„Sądzę, że do Kalkuty już niedaleko“, odparł major. „Słońce już weszło, więc możemy ruszyć w dalszą drogę.“

Lecz przypuszczenia majora wcale się nie sprawdziły. Kalkuta jeszcze była daleko. Tymczasem do łodzi naszych podróżnych zawitał bardzo przykry gość — głód. Po spożyciu resztki szczyplwych zapasów, zaczęto się rozglądać dookoła, szukając palm bananowych lub kokosowych. Lecz na wybrzeżach rzeki rosły tylko dzi-

kie drzewa i krzewy. Ponieważ zapuszczanie się w puszcze było połączone z wielkim niebezpieczeństwem, więc płynęli dalej o głodzie, marząc o dostaniu się do jakiegokolwiek osady lub miasta.

Nareszcie skończyły się ich utrapienia. Wypłynąwszy o zachodzie słońca na szerokie wody Gangesu, napotkali statek angielski. Kapitan statku bardzo się ucieszył, dowiedziawszy się, kogo podejmuje na swym pokładzie. W rozmowie oświadczył, że w tych miejscowościach powstanie jeszcze nie wybuchło. Objaśniał to tem, że w Kalkucie i jej okolicach znajduje się mnóstwo angielskiego wojska, które w razie potrzeby stłumiłoby powstanie bardzo łatwo.

„Coprawda“ dodał kapitan, „powstanie Hindusów jest dla nas groźną niespodzianką. Z otrzymanych wiadomości dowiedzieliśmy się, że jest ono dziełem Nany Sahiba, młodego księcia Hindusów, który chce się stać samowładnym panem całych Indyi. Ogłosiwszy świętą wojnę, pozwałał Hindusom na największe bezprawia, którym jednak rząd angielski położy rychły koniec.“

Zakończenie.

Po dwóch dniach podróży parowiec przybył do Kalkuty. Major udał się do naczelnego wodza wojsk angielskich i opowiedział mu, z jakiego powodu i w jaki sposób tu przybył. Wódz wyznaczył mu odpowiednie mieszkanie, poczem po tygodniowym odpoczynku wysłał go na czele wojska przeciw powstańcom indyjskim. Dużo upłynęło czasu, zanim powstanie stłumiono. Obydwie strony walczyły zawzięcie. Nareszcie Angliecy zwyciężyli.

Głównych winowajców powstania ukarali okrutni Angliecy w straszny sposób. Przywiązali ich do nabitych dział i zapalili lonty. Kule rozszarpały ciała ofiar w drobne kawałki.

Tak się skończyła walka nieszczęśliwych, ale i okrutnych Hindusów o wolność.

Major okrucieństw tych nie pochwalał i w nich nie brał udziału. Rozumiał on, że Hindusi mogli zapragnąć, by się pozbyć jarzma angielskiego, by być narodem wolnym. Dla tego też sam się nad nimi nie paścił i przeszkadzał żołnierzom w okrucieństwach, gdzie tylko mógł. Walczył przeciwko Hindusom jako żołnierz, któremu rząd walczyć każe, ale jako żołnierz brzdził się też okrucieństwem. Wrócił z wojny ranny w lewe ramię. Dzięki jednak troskliwej opiece lekarza prędko się wyleczył, a za swą odwagę został mianowany pułkownikiem.

W końcu roku 1857 podał się do dymisy i powrócił do Anglii. Osiadłszy w Londynie, zajął się wykształceniem Artura i Gisaha.

Chcąc się wywdzięczyć Gisahowi za jego dzielność i przywiązanie, pułkownik przyjął go za własne dziecko i kochał na równi z Arturem.

Przygoda z Indyanami Pampy*).

Spolszczył Wiktor Kulerski.

Pierwsze blaski wschodzącego słońca różowiły trawę Pampy i łamały się w milionach kropli rosy, jak w kryształach brylantu. Jakiś dziwaczny, ogromny powóz, ciągniony przez osiem rosłych i, z wyjątkiem jednego, silnych koni, niedaleko miasteczka Kruzalta, sunął szybko przez rzadkie w tych miejscach trawy pampy. Każdy koń był osiodłany. Na sześciu z nich siedzieli smagli gałchowicze**), których poncha***)) i czarne kudłate włosy wiewały w powietrzu. Na koźle powozu, powiedzmy omnibusu, siedział siódmy gałcho, woźnica o śniadej cerze i dzikiem wejrzeniu jak wszyscy inni. Obok niego siedział tak zwany major-domo czyli kierownik lub konduktor powozu, stary, niemowny, chmurny gałcho, zwany Don Pedro. W omnibusie zaś samym siedziało dziesięć osób a mianowicie właściciel jego, profesor Don Sebastyan Orella, zwany krótko Don Sebastyanem, dalej niejaka pani Huston z swym 17-letnim synem Johnem i córeczką Elizą i prócz tego 6-ciu jeszcze młodzieńców we wieku Johna, mianowicie trzech Anglików, dwóch Belgijczyków i dwóch Hiszpanów argentyńskich. Wszyscy młodzi ludzie byli uczniami zakładu naukowego Don Sebastyana w mieście Mendozie, które codopiero zostało zniszczone przez straszne trzesienie ziemi. Całe towarzystwo podróżnych dążyło do Buenos Ayres, stołecznego miasta Argentynii. Pani Huston z dziećmi dążyła do męża, bogatego kupca, który coprawda w Mendozie miał swoją siedzibę,

*) Pampami zwią się stępy południowo-amerykańskie w Ameryce Południowej.

**) Gałcho — pasterz bydła i koni w pampie. Gałchowicze są znakomici jeźdźcy, większą część życia spędzają w siodle.

***)) Poncho, płaszcz z jednej sztuki materyi podługnej czworograniastej z dziurą w środku dla przetknięcia głowy.

ale bardzo znaczną część roku spędzał w Buenos Ayres, dla załatwienia interesów kupieckich.

Profesor Orella zaś wioził uczniów swoich do Buenos Ayres, aby w czasie świątecznym i poświęconym zwiedzić z nimi stolicę kraju. Dwieście mil trzeba było przebyć, aby dojechać do Buenos Ayres. Droga wiodła prawie ciągle przez pampę, w której dzicy Indyanie nie raz grabili i mordowali podróżnych. Profesor Orella jednakże, choć był człowiekiem małym, suchym i słabym, jakoś się tej podróży nie bał, mimo, że było wiadomem, że pewna część Indyan pampy wydała znowu wojnę białym. Tak on jako i jego uczniowie, którzy w duszy gorąco pragneli spotkać się z Indyanami, byli uzbójcami w znakomite strzelby, dalekoosne dubeltówki. Prócz tego mieli przy sobie 7-miu peonów czyli gałchów i dzielnego Don Pedra, ich przywódcę. Na peonów coprawda profesor Orella nie bardzo liczył, ponieważ znani byli z tego, że za bardzo o swoją dbają skórę. Natomiast można było Don Pedra liczyć za trzech lub czterech nawet. Swoją drogą był profesor Orella prawie pewnym, że ze swymi towarzyszami odbędzie podróż bez przygody. Już bowiem kilka dni byli w drodze i dotąd nie im się nie przytrafiło. Następnie wiedział, że krażyło i wojsko po stepie, odkąd było wiadomem, że Indyanie rozpoczęli znowu wojnę. Każda godzina zresztą zbliżała ich bardziej do granicy obwodu Buenos Ayres. A choć z tamtąd jeszcze zawsze było kilka dni drogi do stolicy samej, to znana było rzeczą, że tak daleko Indyanie prawie nigdy nie zapuszczali swych zagonów. Profesor Orella był więc w najlepszym humorze i ciekawie rozpatrywał się po stepie. Dawał też objaśnienia swym uczniom, którzy tę podróż po raz pierwszy odbywali i ze zdumieniem patrzyli na stada półdzikich koni i bydła, które swe harce wyprawiały na stepie; patrzeli zdumieni na stada strusiów, pędzących przez step i stada flamingów o długich różowych szyjach i najrozmaitszego rodzaju innego plectwa.

Tymczasem pędził powóz w szalonym pedzie przez pampę i na widuokregu ukazywał się już jako czarny punkcik następnego rancho*). Nagle jak gdyby na komendę, obrócili się gałchowicze w siodłach i bystre spojrzenia posyłali ku północy.

„No i co tam!“, zapytał prędko majordomo, który dotąd obojętnie patrzył przed siebie. Zamiast odpowiedzi wskazywali gałchowicze na północ i stary rozpoznawał tam mały tuman kurzu, a w owym tumanie jakieś ciemne przedmioty, które się szybko zbliżały i widocznie zamierzały skrzyżować ich drogę.

*) Rancho nazywa się samotny dom właścicieli półdzikich stad koni i bydła na stepie.

— „A cóż to do licha? Indyjanie czy co? Niby tak wygląda!”

Jeden z gałchów przecząco potrząsał głową. „Strusia, mruknął krótko — „już poznaję skrzydła.”

Majordomo przez chwilę świdrował dal bystrym swym wzrokiem. Nagle zaklął szpetnie i mruknął: „tak tak, strusie, — a za strusiami Indyjanie.”

I stary wilk stepowy miał racye. Za pierwszym tumanem kurzu już było można rozpoznawać maleńki drugi — i za chwilę już się wylaniały postacie dwóch jeźdźców czerwonoskórnych, którzy widocznie polowali na strusie.

Stary majordomo wyrzucał ze siebie potok przytłumionych przekleństw. Spotkanie było nieuniknionem. No, było ich dwóch tylko. — Ale nuż za nimi szedł większy oddział. —

Młodzieńcy tymczasem patrzeli rozpromienieni na widok jakie się przed ich oczami odgrywało. Indyjanie na swych chyżych rumakach już doganiali stado olbrzymich ptaków. W powietrzu zaszczyły dwa „lassa”, poczem dwie pętlice, rzucone z odległości kilku metrów, spadły na długie szyje strusiów. Konie indyjskich jeźdźców, widocznie bardzo wywęczone w tego rodzaju polowaniach, nagle się odwróciły w przeciwną stronę i stanęły jak w ziemię wryte. I dwa olbrzymie ptaki w odległości kilkudziesięciu metrów od drogi, runęły bezwładnie na ziemię.

Młodzieńcy nie mogli się powstrzymać od wykrzykników zadowolenia i podziwu. Nadzwyczaj zadziwiła ich ogromna wprawa dzikich w rzucaniu lassa. Lasso jest to lina do 15 metrów a do pół cala gruba, z plecionych rzemyków ze surowej skóry. Na jednym końcu znajduje się żelazne kółko. Przedzierając się przez takowe linę i w ten sposób gotowa pętlica, zawierająca mniej więcej 10 stóp liny, którą Indyjanie lub gałcho trzyma w prawym ręku. W lewym ręku zaś trzyma resztę koło 40 stóp liny. Pętlica wywija kilka razy w powietrzu i potem rzuca ją z taką pewnością, że zadzierzgnie ją na karku każdego zwierzęcia, do którego się zbliży albo też nawet na każdą nogę zwierzęcia, będącego w najszybszym pędzie. Tak chwytają Indyjanie i gałchowic też konie ze swych stad albo bydło. A ponieważ ani konia, ani byka nie mogliby utrzymać ręką, przeto jeden koniec lassa jest przyczepiony do popręgu. Konie zaś już tak są wywęczone do polowania lassem, że gdy tylko widza, że pętlica już zarzucona, natychmiast stawiają jak wryte, aby pierwsze, najgorsze szarpnięcie pochwyconego zwierza zrównoważyć.

Inną bronią Indyan a i gałchów jest tak zwana bola. Są to trzy kamienie wielkości kurczaka jaja albo też kule ołowiane albo żelazne tejsze wielkości na trzech

rzemieńskich, mniej więcej o czterech stóp długich. Końce rzemieni związują się mocno i — bola gotowa.

Przy rzucaniu boli bierze Indyjanie, lub gałcho jedną a kule do ręki a obydwoma drugimi kulami wywija kilka razy w powietrzu i puszcza bolę w kierunku zwierza, którego zamierza upolować. Gdy jedna z kul oprze się o ciało zwierza, drugie dwie z błyskawiczną szybkością opasuje ofiarę, która pada jakby rażona śmiertelnym ołowiem.

Do chwytania swych koni gałchowic i Indyjanie rzadko używają boli, gdyż bola najczęściej łamie zwierzęciu kości. Natomiast używają boli przy polowaniu na każdego rodzaju zwierza i także jako broń we wojnie.

Uczniowie profesora Orelli najchętniej byłiby wyskoczyli z powozu, aby się przypatrzeć upolowanym przez Indyan strusiom. Indyjanie zaś, przedtem zajęci polowaniem, ze zdziwieniem spostrzegli pędzącą powózkę. Skierowali też zaraz swe rumaki ku drodze i ciągnąc upolowane strusie na lassa za sobą, stanęli w odległości 1000 kroków od raneho, po obu stronach drogi. Oparli długie swe dzidy o ziemię i ciekawie wpatrywali się w zbliżający się powóz. Jeden z nich miał zamiast ostrza dzidy, stary złamany i zaostrozony bagnet.

„Kompagnero^{*)}”, rzekł w tej chwili stary majordomo, zwracając się do profesora, „czy strzelby wasze w porządku?”

„A jakże”, odrzekł John, „nabitą i gotową do strzału!” Lecz przecieże strony tych trzech ludzi niczego się obawiać nie potrzebujemy.”

„W takim razie będziecie laskawi”, ciągnął dalej majordomo, jak gdyby prosił o ogień do profesora, „wysadzić mi tych dwóch czerwonoskórnych lajdaków celnymi strzałami ze siodeł, gdy między nimi przejeżdżać będziemy. Chybić właściwie nie możecie, boć stać będą ledwie pięć kroków od wozu.”

„Człowieku, przecież to morderstwo!” zawołał przerażony młody profesor. „Przecież ci ludzie wcale nie wyglądają na to, jak gdyby nam chcieli wejść w drogę. Inna byłaby rzecz, gdyby nas mieli zaczepić.”

„Dajcie mi no jedną strzelbę i poczęstujcie kulą tego po prawej stronie, ja sprzatnę tego po lewej.” zawołał przedk stary gałcho. „Czas najwyższy!”

„Za żadną cenę nie pozwolę na taki czyn”, odpowiedział oburzony profesor. „Nie miałbyśmy potem prawa narzekać, gdyby nas Indyjanie ścigali i pomścili niewinnie przelaną krew.”

„Pańska — wola”, mruknął majordomo i obojętnie cofnął się w swój ką. „Teraz byłoby zresztą i tak już zapóźno.”

^{*)} Kompagnero, tyle co towarzyszu.

W tej chwili bowiem minęło powozisko szybko — dla nich nie było czasu na zatrzymanie. — obu Indian. Były to wspaniałe ciemno-brunatne postacie o długich, kruczych włosach, spływających bujnie na ramiona, a przepasanych u skroni niebieską wstęgą. Niebieski, w brunatne pasy zdobiony poncho pokrywał górną część ciała, a każdą nogę pokrywała skóra, zdarta z końskiej nogi. Prawa ręka dzierżyła dzidę, z jakie 15 stóp wysoką. Dzieci widocznie jednakże nie żywili wrogich zamysłów, bo gdy podróżni przejeżdżali, przypatrywali im się tylko ciekawie i z uśmiechniętymi minami kiwali im głową.

„No i co?” rzekł profesor. „Gdybyśmy tych biedaków byli zastrzelili?”

„Mielibyśmy w każdym razie spokój”, mruknął niezadowolony majordomo, „a co teraz będzie — tego nie wiemy.”

„Szkoda, że nie mogliśmy się Indianom lepiej przypatrzeć”, zawołał załośnie John —

„Wolnego, wolnego, mój młody panie”, mruzczał sobie majordomo pod nosem. „Mnie się zdaje, że nastreczy się jeszcze znakomita do tego okazja. Bo nie chcę mi się wierzyć, żebyśmy tych czerwonych dyabłów spotkali po raz ostatni.”

Tymczasem zajęli podróżni przed rancho, w którym spędzili noc. Noc ta była dla starego majordoma bardzo niespokojna, gdyż spotkanie się z Indianami bardzo go niepokoiło. Choć mieli przyjazne niby miny, to wiedział dobrze, że po nich niczego dobrego spodziewać się nie można. Grabieże i rozbój, to ich żywioł. To też następnego dnia, gdy dalej pędzili przez step, stary majordomo bardzo pilnie śledził południowy widnokrąg, przyczem mu pomagał stary profesor, który posiadał mały kieszonkowy teleskop czyli dalekovidz. Jako tako pocieszała go jedynie ta myśl, że granica obwodu Buenos-Ayres już nie daleko, i że tam częściej kręca się oddziały wojskowe.

Znużony ciąglem wyteżeniem wzroku, stary gałcho trochę się zdrzemnął, gdy nagle go zbudził głośny wykrzyknik jednego z jadących na przedzie peonów, wskazującego ręką ku południowi. Konie właśnie dopędzały do jakiegoś wyższego punktu na stepie, gdy peonowie, jak gdyby na umówiony znak nagle zatrzymali konie, by móżd się spokojniej rozpatrzeć po dalekim stepie.

Majordomo zerwał się na równe nogi. Podniósł rękę do oczu, by je zasłonić od rażącego blasku słońca i z uwagą obserwował step w kierunku południowym. Nie mogło być wątpliwości, że tam się coś ruszało. Szeroki, dosyć gęsty tuman kurzu, unosił się ku niebu.

„Jak daleko będzie do najbliższego rancho”, zapytał majordomo siedzącego obok siebie woźnicę.

„Trzy mile”, mruknął tenże.

„A więc naprzód chłopcy”, zawołał stary, „co konie wybiedz mogą. Najbliższa stacya, to estancya*). Tam możemy spokojnie odczekać, co się tam na południowej pampie kręci.”

Peonowie coś półgłosem do siebie szeptali i jakoś niechętnie słuchali rozkazu majordoma. Dali coprawda wreszcie koniom ostrogi i powiedli powóz szalonym pędem naprzód, ale jakoś ciągle niedowierzająco zerkali ku południowi.

Tuman kurzu stawał się tymczasem coraz gęstszym, lecz nie było można nic rozpoznać, ponieważ wiatr wiał z tej samej strony. Wreszcie po pół godzinnej szalonej jeździe poznał majordomo, że zdziczałe stada bydła w szalonym pędzie zbliżały się do nich.

„Karamba!” zaklął stary półgłosem, „teraz chwila się rozpoczyna. Hej! — Kompagnerowie — —!” Lecz słowa mu zamarły na ustach. Peonowie jakoś w tej chwili bardziej wzięli jego uwagę niż nawet najstraszniejszy nieprzyjaciel, który najprawdopodobniej pędził za spłoszonymi stadami.

„Cóż chcecie uczynić? Czyście zwaryowali. —

„Ha! — Łajdacy!” —

Peonowie ponownie zatrzymali konie, ostrymi nożami przecięli śle i co koń wyskoczyć może, pomknęli ku północy. Woźnica również wyskoczył z wozu.

„Stój, lotrze! Przynajmniej ty zostaniesz”, wrzasnął stary gałcho, i pochwycił woźnicę za poncho. Lecz gdy tenże mu zaświecił w oczy długim nożem, cofnął się przerażony. Woźnica zaś jednym susem wskoczył na siódmego konia, przeciął postronek i popędził za towarzyszami. Majordomo pienił się ze złości.

„Ha, lotrze! — Dać mu ładunek ołowiu!

„No, dla czego nie strzelacie?”, wrzasnął wściekły majordomo. — „Czy strzelby wasze w pogotowie?”

„Przecież do peonów strzelać nie będziemy i przeciwko krowom także strzelb używać nie myślimy”, odparł profesor.

„Ale przeciwko tym, co za krowami idą”, huknął stary. „Trzeba było mnie słuchać. Gdybyśmy tych dwóch czerwonych dyabłów byli sprzatneli, to nie byłibyśmy tu usiedli na piasku. — Całe szczęście, że tu widzę trochę wody. To błotko tam, może nam uratuje życie.”

„Na Boga, co się stało?”, zawołała teraz pani Hunston, która się obudziła z drzemki, gdy powóz stanął i z zdziwieniem, lecz bez zrozumienia patrzyła na uciekających peonów.

*) Estancya czyli stannica wojskowa.

„Nie takiego“, odpowiedział uspokajająco profesor. „Parę kłów tam pędzi przez step, a naszym peonom się zdawało, że to Indianie i — drapnęli.“

„Co, uciekli?“, zawołała przerażona niewiasta. „Na Boga, to my się teraz zład ruszyć nie możemy?“

„Na razie nie, ale niech się pani niczego nie obawia. Choćby naprawdę parę Indian miało się zbliżyć, to się nie odważą nas zaczepić. Najfatalniejsza tylko rzecz, że z powodu głupoty tych ludzi z pół dnia stracimy czasu.“

Na szczęście stanął powóz z jakie dwadzieścia kroków od jednego z owych błotek, jakich się w stepie o tej porze roku nie tak często spotyka. Widocznie miało tam być jakieś źródelko. Woda była w każdym razie. A co do żywności, to warto było także o niej pomyśleć, na wypadek, gdyby Indianie ich napadli i osaczyli.

Spłoszone stada bydła tymczasem już były zupełnie blisko wozu.

„Don Juan“, odezwał się stary do Johna, przetłumaczywszy imię jego na hiszpańskie. „Potrafisz pan dobrze strzelać?“

„A jakże“, odpowiedział John zaciekawiony.

„To proszę pana na chwilę zejść. — Don Sebastianie, może pan zechce postarać się o to, aby we wozie wszystkie strzelby były gotowe do użytku. Za kwadrans mogłoby może być za późno.“

„Wszystko w porządku“, odpowiedział profesor, bądź co bądź słowami starego galeha trochę zaniepokojony. Wyjął więc też wszystkie strzelby z futerałów, wsadził kapiszony i oparł je o otwarte okna wozu.

„Bueno“*), rzekł stary, dając znaki Johnowi, by poszedł za nim. „Najpierw więc damy wolność tej szkapie, by nam tu czasem nie zdechła i nie zasmrodziła powietrza. No — idź stary“, zawołał galeho, zdejmując siodło i śle. I zmęczone, zmarnowane na śmierć konisko powlokło się ku błotku, gdzie się do niego uśmieciała zielona trawka.

„A teraz, don Juanie“, ciągnął dalej stary galeho, wskazując na stado bydła, które lada chwila miało minąć podróżnych, „temu dużemu cielakowi tam dać ładunek ołowiu za uszy.“

„Jakto? A do kogo one należą?“, odpowiedział John.

„Do kogo należą?“, zawołał stary galeho zdziwiony. „Do nas!“ A czyż my tu mamy zginąć z głodu, gdy nas czerwonoskórcy osaczają? Dalejże ognia — bo będzie zapóźno!“

*) Bueno — dobrze, po hiszpańsku.

John, choć jeszcze nie przekonany, prędko wymierzył i celnym strzałem powalił cielaka.

„Brawo!“ zawołał stary galeho. W oka mgnieniu odarł cielaka ze skóry, wypaproszył i rzucił między przednie koła wozu.

„A teraz dalej na wóz, młody panie, na posternek, bo to nie żarty! Ot tam, już się zbliża drugi tuman. „Będziemy mieli zajęcia pełne ręce.“

Młodzieńcy w omnibusie nie mało byli poruszeni i zaniepokojeni. Bo choć jeszcze nie dobrze znali strażnego niebezpieczeństwa, jakie im groziło, gdyby się dostali w ręce tych nieprzyjaciół, to jednakże już same te przygotowania, napełniały ich grozą.

Stary galeho natomiast był bardzo spokojny i zwracając się w głąb wozu rzekł: „Lecz nie strzelać na raz, don Sebastianie, bo bylibyśmy zgubieni. Zawsze tylko po dwóch i potem prędko nabijać! A na Boga dobrze celować!“

„Ale przyjacielu“, rzekł profesor, „przecież jeszcze nie wiemy wcale, czy to Indianie. Przecież trzeba czekać.“

„Aż nam gardła poprzeryznają, prawda?“ — przerwał mu majoronno zaciekawiony. „Ot — tam leżą. Już wyróżniam końce ich dzid ponad tumanem! A teraz baczność — bo gdzie taka horda wpadnie, tam na litość liczyć nie można! Do stu djabłów, gotowi wpaść na nas, zanim nas spostrzegą, a potem wszystko zależy od pierwszego natarcia!“

I stary nie mylił się. Jak poprzednio stada bydła wozu nie widziały, gdyż tuman kurzu go zasłaniał, tak i teraz Indianie. Tuman kurzu zaledwie już trzysta kroków był oddalony i tenże tuman świadczył o tem, że to musiał być spory oddział jeźdźców indyańskich. Nagły powiew wiatru od zachodu odsłonił dzikim powóz i podróżnych. Ale i podróżni zobaczyli przed sobą z trzydziestu czerwonoskórców, którzy na chwilę zdumieni zatrzymali konie. W następnym zaś momencie z okrzykiem radości z pochylonemi dzidami popędzili w kierunku wozu.

Położenie podróżnych było po prostu straszne. Indianie pampy byli znani jako okrutni i krwiożerczy rabusie, gdy raz rozpoczęli wyprawę wojenną. Wiedział o tem doskonale także profesor Orella, który mimo swej małej postaci, był energicznym i dzielnym człowiekiem. We walkach o niepodległość w Brazylii i Peru w niejednej krwawej walce brał udział. Ponieważ znał on dobrze przybyszów, wiedział też, iż przedewszystkiem za każdą cenę trzeba odeprzeć pierwsze natarcie. Gdyby ich potem Indianie oblegiwali, była nadzieja, że może żołnierzom, którzy mogli np. leżeć w najbliższej estan-

cyi, wiatr zanieś ogłos wystrzałów, i że przybędą na pomoc.

„Ave Maria“, zawołał stary gałcho, któremu teraz klątwy zamaryły w gardle. Wyciągnął długi nóż i postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi. Ave Maria! Dajcie im na przywitanie ładunek ołowiu, Senior.)* Lecz nie strzelać prędzej aż lotry się zbliżą na odległość długości trzech dzid. Ale na Boga, nie chybić! —

Profesor Orella pragnął napastnikom dać od razu dobrą naukę. Bo musiał sobie powiedzieć, że gdy napastnicy zdołają się tak zbliżyć, iżby dzidami mogli sięgnąć podróżnych, to wtenczas wszyscy zgubieni! Więc trzeba było od razu dobrej salwy!

„Kto ma kule w swej strzelbie?“ zawołał profesor patrząc nieustraszenie na zbliżających się pędem nieprzyjaciół.

„Ja“ — zawołał Henryk, młody Belgijczyk, w obu łufach — Nie chybiam nigdy“.

„Więc strzelisz w najgęstsza gromadę, lecz dopiero wtenczas, gdy ci powiem“, rzekł prędko profesor.

„Dobrze!“

„A wy drudzy zaraz po nim strzelajcie, ale tylko z jednej lufy... Jedną strzelbę sam wezmę“, dodał i wziął ją jednemu z Argentyńczyków, bo wiedział, że ci ze strzelbami jakoś nie umieją sobie poradzić. „Teraz baczność! Już są. Ty Ryszardzie strzelaj po mnie.“

Oparł teraz strzelbę o brzeg otwartego okna, aby móżdżek dobrze celować. Gdy Indyanie się zbliżyli na jakie 60 kroków, wziął na cel ich naczelnika, olbrzymiego wojownika.

Gdy padł strzał, spał się koń i naczelnik z dzikim okrzykiem bólu runął na ziemię.

„Henryku! Ognia“, zawołał profesor i z gromadki 5-ciu czy sześciu wojowników po prawej stronie padł koń i jeden z jeźdźców zadygotał w siodle. To zmieszało ich szeregi. Ale jeszcze konie były w pełnym pedzie, a odległość wynosiła już tylko około 30 kroków. W tej chwili jednakże posłał John gromadzie napastników po lewej ładunek loftek czyli najgrubszego srotu. Profesor zaś wysadził drugim strzałem ze siodła po prawej stronie jeszcze jednego wojownika.

A gdy i młodzi Anglicy już z bliska poczęstowali dzikich ładunkiem ołowiu i John i profesor z drugiej lufy jeszcze po jednym wojownikowi położyli trupem, wówczas przyjęcie wydało się czerwonym wojownikom jednakże za nadto gorącym. Takiego przyjęcia w każdym razie się nie spodziewali. Powstrzymali więc niezdęcydowani konie. A gdy teraz jeszcze Willy i Fred plunęli im dwa ładunki ołowiu w oczy — zawrócili ko-

*) Senjor — tyle co — pan.

nie i cofnęli się przerażeni tak daleko, by ich kule dosięgnąć nie mogły.

„Hurra“... wykrzyknęli młodzieńcy. Wskazując na oddalających się Indyan i na kilku poległych czerwonoskórców i kilka zabitych koni.

„Cicho“ — krzyknął profesor i nabijać strzelby. „Gdyby byli teraz ponownie natarli, byłoby po nas, bo ani kuli w strzelbach.“

Młoda załoga omnibusu prędko nabiła znowu strzelby, gdy też już majordomo zawołał: „Na Boga, znowu jada i teraz niech nam Bóg będzie miłościwym.“

Czerwonoskórcy naprawdę znowu pędzili ku omnibusowi, lecz nagłe podzielili się na dwa oddziały i zdawało się, że z przodu i tyłu będą chcieli uderzyć. Lecz gdy profesor prędko wyciął dwie wielkie dziury w tylnej ścianie omnibusu i gdy więc z tyłu i z przodu ukazały się lufy strzelb, woleli czerwoni wojownicy jednakże z wielkim respektem pozostać w takim oddaleniu, by ich kule nie mogły dosięgnąć.

Wtem odłączył się jeden z nich od gromady i podniosłszy prawą rękę na znak swych pokojowych zamiarów, szedł ku wozowi.

„Kompanjero, nie wdawaj się na Boga z tym lajdakiem. Widocznie wymyślili jakieś lajdactwa. Kula, to najlepsza odpowiedź.“

„W każdym razie trzeba wiedzieć, z czem przychodzi“, odrzekł profesor.

„O — o“, zawołał majordomo. „Czy to nie jeden z tych lotrów, com to chciał, by ich sprzątnąć tam nad drogą? Naprawdę to — on — złamany bagiet. A nie miałem racyi — a co? Było ich trzeba sprzątnąć — byłby teraz spokoj.“

„Mieścieście racye, — lecz cóż teraz z tego! Zresztą spamiętam sobie tego pana, gdybyśmy się mieli ponownie spotkać.“ — odrzekł profesor.

Gdy się Indyanin zbliżył na jakie 30 kroków odległości, zatrzymało go gromkie „Stó“, starego gałcha. „Czego chcesz“, rozpoczął, wlaższy na dach wozu, gałcho rozmowę po hiszpańsku, który to język niejednym z Indyan pampy jako tako rozumiał.

„Jestem dobrym przyjacielem białych — bardzo dobrym przyjacielem“ — zapewniał dziki.

„Idź ty do djabła“, mruknął sobie majordomo i do- dał głośno: „No i czego dobry przyjaciel sobie życzy?“

„Zawrzeć pokój z białymi — dobry pokój — biali mogą sobie spokojnie pójść! — Indyanie są dobrzy — nie im więcej nie uczynią.“

„Po pierwsze, mój skarbie, odpowiedział śmiejąc się gałcho, dotąd nie nam jeszcze nie zdołaliście zrobić. A jeżeli chcecie pokoju, to jeno idźcie, gdzie nieprz rośnie i zostawcie nas w spokoju a rzecz — skończona.“

kie były we wozie i w towarzystwie Jona pobiegł do błotka po wodę. Indianie zauważyli naturalnie ruchy białych i dwóch z nich popędziło natychmiast w kierunku wozu. Lecz tymczasem majordomo już był nabrał wody, a gdy John groźnie podniósł swą strzelbę, czerwoni synowie pampy zawrócili i popędzili do ogniska swych towarzyszy. Majordomo biorąc wodę, zauważył, że błotko było dosyć głębokie i że było można rzetelnie w niem ugrzesnąć. Szczególnie koń musiałby w danym razie utkwąć w błocie. Stary gałcho zauważył też skrawek ziemi, z jakie 5—6 kroków szeroki, wrzynający się jak półwyspek, jak język, aż prawie do środka bagna. Spostrzeżenia te bardzo mu się jakoś podobały, bo kilka razy z zadowoleniem uśmiechnął się i pod nosem mruknął „bueno.“

Przygotowanie jedzenia nie bardzo dużo zajęło czasu i podróżni pokrzepili się soczystym kawałem cielęciny i popijali herbatę, poczem pokładli się we wozie do snu, aby nocą mieć siły do walki, bo tej walki wszyscy się na pewno spodziewali. Tylko profesor czuwał ze strzelbą na kolanach. Ale były chwile, że i jego sen zmorzył. Tak wreszcie nadszedł wieczór. Majordomo już dawno nie spał i ciekawie wpatrywał się w dalekie ognisko dzikich. Było widocznem, że chwilowo o walce nie myślał. Step zaległa taka cisza, że nikt nie byłby przypuszczał, że owa gromada czerwonoskórców, to dziki mordy krwi i łupów żądny wróg. Gdy się zciemniało, zaczęły się też mgły unosić nad pampą. Niebawem była mgła tak gęsta, że wozu już się nie widziało ani błota. Gęsta ta mgła była właściwie jeszcze gorszym nieprzyjacielem podróżnych aniżeli noc. Bo pod osłoną tej mgły, mógł krwiożerczy nieprzyjaciel się zbliżyć na kilka kroków, mógł bolami (bolo = kule do rzucania) zdruzgotać powozisko i dzidami zakłuć podróżnych, zanimby padł choć jeden strzał.

Stary majordomo jednakże umiał skorzystać z gęstej mgły. Był przekonany, że zaraz po zapadnięciu nocy Indianie walki nie ponowią. Zbudził więc podróżnych i popchnęli zjednoczonymi siłami omnibus na owy półwyspek w bagnie.

„Tak widzicie,“ rzekł majordomo, „mogą nas te czerwone djabyły tylko z jednej strony zaczepić. Z boków i z tyłu jesteśmy zakryci, bo jeździec i koń utkwiliby, gdyby się chciał przeprawić przez bagno.“

Wszyscy byli z pomysłu starego gałcha bardzo zadowoleni, bo zrozumieli, że miał rację, że ten mądry pomysł uchronił ich od napaści z wszystkich 4 stron, pod osłoną nocy i mgły.

Zapadła głęboka noc. Minęła północ i dalsze godziny. Załoga omnibusu zasnęła, tylko profesor stał na straży i przed wozem chodził jako warta od jednego

brzegu półwyspu do drugiego i nasłuchiwał, co się w stepie dzieje. Step zaś — milczał. Mimo swej czujności jednakże nie zauważył profesor jak na kilka kroków od niego przez trawę pampy, wilo się jak wąż żywe ciemne ciało Indianina, który z rozkazu nowego naczelnika szpiegował, co biali robią.

I gdy szpieg wrócił do ogniska swych towarzyszy i opowiadał naczelnikowi, że biali we wozie śpią, że słyszał nierówny ich oddech i że widział, że warta ich kiepsko strażuje, wówczas zawołał nowy ich przywódca: „Dalej na koń!“ Indianie pragnęli przelaną krew naczelnika Tangiopana i resztę poległych ich braci pomścić przed wzejściem słońca.

Już też nie było daleko do rana. Zimny powiew wiatru i krzyk wielkich szurów, dzikich kaczek ciągnących na niebie, zwiastowały zbliżający się poranek.

Staremu gałchowi, którego owe zwiastuny poranku zbudziły, nie chciało się wcale wierzyć, że tak długo był mógł spać. Przeraził się formalnie i przedko wdrapał się do wnętrza wozu, by obudzić młodzieńców. John, który nie chciał także spać, jeno czuwał ze strzelbą pod pachą, a którego sen wreszcie także zmorzył, zaraz się zbudził. „Czyż już idą?“ — pytał gałcha.

„Jeszcze nie, — ale do rana nie daleko, więc pewnie już dłużej czekać nie będziemy. Tylko ostrożnie i nie mówić głośno, bo licho wie, gdzie te lotry tkwią w tej mgle. A nie trzeba się zdradzić, gdzie sami jesteśmy.“

Głęboka cisza zalegała jeszcze pampę. Żadnego nie słyszało się szmeru. Wtem doleciał starego gałcha zupełnie z bliska przytłumiony krzyk małej sowy, któremu niebawem zawtórował drugi, także nie daleko.

Stary gałcho wpil swe szare oczy w szarą oponę mgły, jak gdyby ją chciał przebić wzrokiem. Nagle pochwycił Karola za ramię i szepnął mu do ucha: „Amigo*) czy dobrze strzelasz?“

„A jakże“, odpowiedział młody Anglik, „bo co?“

„Widzisz tam tę szarą kupkę tam — o — odrobinę na lewo od wody? Widzisz — o — rusza się? Ognia!“

Młody Anglik przedko podniósł strzelbę i już huknął strzał. Strzałowi odpowiedziało wściekło wycie Indian, którzy zrozumieli, że ten strzał prawdopodobnie powalił ich szpiega, który ponownie miał wywiedzieć się, co robią biali.

„Naprzód“, zagrzmiał ich naczelnik i nagle wyłoniła się ze mgły gromada dzikich i ciemnych postaci, jak horda szatanów zbiegłych z piekiel....

*) Amigo — przyjaciel.

„Baczność“, komenderował mały profesor i strzelby się podniosły. „Ognia“, zabrzmiała druga kolumna, i siedem strzelb zionęło kule i śmierć napastników. Nie było można poprawa dokładnie ocenić, ale dzicy byli tak bliscy woza, że każda kula trafiała. Przypadkiem ugodziła jedna z kul konia w sam łeb, tak że padł tuż przed wozem. Drugi zaś wyrócił się przez co dopiero ubitego, a inny znowu wpadł na dyszel, złamał go i nadział się na ostrze złamanego dyszla. Jeździec zaś zwał się tuż przed siedzeniem woźnicy, gdzie mu majordomo toporem strząskał czaszkę. Ale już i kilku innych Indian dopadło do woza i dzidy swe pchali na chybił trafił do wnętrza. Ale strzały, z bliska oddawane, kładły ich trupem i tak tworzył się przed wozem wał z trupów ludzkich i końskich. Inni, którzy nie zauważyli, że wóz stoi na półwyspie, wpadli do wody i tam grzęźli w błocie. Jednakże rozmach pierwszego naporu był tak wielki, że wóz się zakolysał i byłby się napewno wyrócił, gdyby nie był stał na półwyspeku — przodem do napastników.

„Nabijając strzelby“, zawołał profesor, ale ta komenda była już niepotrzebna, bo młodzieńcy zawsze no wystrzeleniu szybko nabijali. W tej chwili jednakże z trzaskiem zdruzgotała bola jeden z drewnianych filarów woza, jak gdyby był ze szkła. Ale na szczęście nikogo nie zraniła, choć trochę zabiła profesorowi ramię, tak że głośno krzyknął z bólu.

Ale profesor nie miał czasu oddawać się swym bólom, bo dzicy parli się coraz liczniej ku wozowi, usiłując przeskakiwać poległe przed wozem konie.

Ale te właśnie poległe konie stały się niejako wałem ochronnym dla podróżnych. Konie nieprzyzwyczajone do huków strzelb i widząc przed sobą trupy ubitych towarzyszy — strachały się. I gdy się spinały i na chwilę przystawały, napewno celny strzał wysadzał ze siodła ich jeźdźców, których trupy tworzyły nowe przeszkody dla napastników.

Wszystkie strzelby były wystrzelone, gdy dwóch Indian dopadło szalonym skokiem do woza i uderzyło się brzegu woza, usiłując wtargnąć do wnętrza. „Nabijając!“ — zawołał profesor ponownie, — sam zaś wyciągnął pistolet o dwóch lufach z za pasa i szybkimi strzałami palił w łeb czerwonoskórych śmiałków.

Największy był czas, że znowu strzelby były nabite, bo Indianie z wściekłością rzucili się na wóz. Znowu huknęły salwy. Jedna i druga — i znowu liczne trupy Indian i koni zastały ziemię stepu.

Profesor nabijał gorączkowo swoją strzelbę, bo już tylko miał drugi pistolet nabity za pasem i topór

obok siebie — ale jakoś nieprzyjacieli się ponownie nie zbliżali. Nastąpiła głucha cisza.

Profesor rozglądał się naokoło siebie, by się przekonać czy wszyscy żyją. Sam miał kilka ran na sobie, a i ci dwaj młodzi Anglicy byli pokłóci dzidami, ale wszyscy żyli i rany nie były niebezpieczne. Nie było jednakże nigdzie majordoma i już profesor się obawiał, że poległ, gdy tenże tymczasem z twarzą zakrwawioną i widocznie okropnie pociętą, gramolił się z pod woza i wlaził do wnętrza.

„Łotr nikiemny — to ci mi twarz pokrajał. Długo nie będę się mógł pokazać wśród przyzwwoitych ludzi“, jęczał. „Ale też go poczęstowałem moim nożem tak, że na pewno się wybrał do swych ojców w lepsze światy. A i drugiego tam jeszcze sprzątnął z tych, co to z koni pozlatywali“, chwalił się stary. „Gdy tu zaczęły bole świszczeć, myślałem, że pewnie lepiej wleść pod wóz i że zresztą może i tam będę miał zajęcie. Jako też miałem robotę nie lada!“

Tymczasem rozjaśniło się na świecie — słońce widocznie weszło. Ale gdy tak majordomo opowiadał o swoich przygodach, nagle znowu coś zasyczało w powietrzu!

„Baczność“, zawołał, lecz już jedna kula boli huknęła w powóz a drugie dwie opasały przednią część woza.

„Łajdaki!“ wrzasnął gałcho. „Widzą nas lepiej, niż my ich. Ale chyba mają dużo bol, jeżeli tak rzucać mogą.“

Nagle wydał stary gałcho okrzyk bólu i zatoczył się na swoje siedzenie. — „Ha łotry. —“ Bezwładnie opadło mu ramię, jak gdyby zdruzgotane kula boli.

Indianie porozrzynali bole i z jednego pocisku mieli trzy. Jeden z nich właśnie tak nieszczęśliwie ugodził starego gałcha, że byłby mu zapewne złamał ramię, gdyby go był ugodził wprost. Ale na szczęście trafił go dopiero odbiwszy się o ścianę omnibusowa. Położenie podróżnych stało się jednak niebezpiecznym. Bo byli wystawieni na pociski wrogów. Sami zaś wroga nie widzieli. Raz po raz naprawdę posłali ładunek ołowiu w tę stronę, skąd im się zdawało, że leciała kula boli. Ale nie mieli pewności, czy strzały były celne.

Na szczęście zawiął teraz silny wiatr po stepie, przed którym pierzeły mgły. Złote promienie słońca rozlały się po stepie i teraz ujrzeli też podróżni gromadkę Indian, która oddalała się szybko od woza, by być bezpieczną przed kulami podróżnych. Z gromady pozostała tylko gromadka. Wczoraj jeszcze naliczyli ich 25, dziś było ich zaledwie 10.

Wóz stał dosyć nisko, więc młodzieńcy powchodzili na dach woza, by się rozpatrzeć po okolicy. Blisko woza leżało kilka koni i kilka trupów wojowników in-

dyańskich. Ale i w dali, tuż przy gromadzie wrogów widzieli na ziemi jakieś ciemne przedmioty. Trudno jednakże było poznać, czy były trupy czy też ranni.

Nagle zawołał młody Anglik, Karol: „Z dali nadjeżdża jakiś jeździec! Daje znaki rękami. Z hordy dwaj wyjeżdżają naprzeciw niego — —“

„Boże, może to odsiecz dla nas“, zawołała pani Huston, która przez cały czas walk leżała z córeczką na dnie woza.

„O — jedzie ich więcej“, wołał Karol. „Boże miłościwy, — to także Indianie! Wielka horda — większa, niż była ta pierwsza.“

„Tośmy zgubieni“, szepnął przed siebie profesor...

Słyszała te słowa jednakże pani Huston i zawołała przerażona: „I cóż — nie mieliby mieć litości!“

„Litości — ci?“, zawołał stary gałcho. „Nawet wtenczas nie mieliby jej, gdyby byli od razu zdobyli nasz wóz. A teraz, to już wcale nie, kiedy tyle ich trupów pokryło ziemię. — Don Sebastyanie, nabij strzelby, aby z tych łajdaków ubić jeszcze tyle, ile się da, a potem krótki pacierz — polećmy dusze nasze Bogu.“

„Nie mamy prochu ani nawet na drugi jeszcze ładunek“, odrzekł profesor.

„Też nie potrzeba“, odparł gałcho, „bo dziś nam czasu nie dadzą. Jedna dobra salwa — a potem po nas.“

„I to naprawdę są Indianie?“ — pytał profesor.

„Indianie, Indianie“, odparł gałcho, „nie ma co! Trzydziestu do czterdziestu!“

Profesorowi zrobiło się smutno na duszy, gdy patrzył na swoich młodzieńców. Nie o jego życie mu chodziło, lecz o te młode życia. I żał mu było życia tych młodych, które miało się stać niebawem łupem krwiożerczego wroga.

Rzucił jeszcze raz prędkie spojrzenie na zbierającą się i niespokojnie falującą w jedną i drugą stronę gromadę Indian. Zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia, że niebawem uderzą!

Uściskał więc wszystkim rękę, najserdeczniej Johnowi i rzekł wzruszony: „A więc, dzieci, — to ostatnia walka. dzielnie się trzymaliście dotąd. — — Będzie jak Bóg da. A jeżeli inaczej być nie może — to żegnaj was w tym życiu — zobaczymy się w przyszłym.“

Odwrócił się prędko, by ukryć łzy i pochwyił swą strzelbę. — Gromada dzikich rozdzieliła się na dwie części. Lada chwila zagrzmia ich wycie wojenne. Tymczasem dzicy jakoś jeszcze nie byli zdecydowani, jak wykonać napad. Bo znowu złączyły się obie gromady i kilku jeźdźców popędziło po drodze, która wiodła do następnej estancyi. Czyżby jeszcze oczekiwali dalszych oddziałów?

Coprawda nie wiedzieli, że podróżnym już zabrakło prochu na dalszą walkę. To oczekiwanie napadu było dla podróżnych czemś okropnem. Wiedzieli, że zginąć muszą — a więc byle przedzej. Już dusze swe polecieli Bogu i czekali w mecie ostatniej godziny.

Tymczasem coś się działo niezwykle w szeregach dzikich. Wysłani w stronę estancyi jeźdźcy wracali, co koń wybiedz może, — wymachiwali rękami, a cały oddział zwrócił się ku nim frontem, jak gdyby do walki.

Cóż to miało znaczyć?

Nagle wypadł majordomo z powozu i pospiesznie wskrabał się na dach, nie dbając o posiekaną twarz. Wpił oczy na chwilę we widnokrąg w stronę estancyi i wrzasnął: „Hura!... Boże — mój — dzięki Ci —“

„No i cóż tam“, zawołał zdziwiony profesor.

„Żołnierz, wojsko, konnica“, — radośnie wykrzykiwał majordomo i wyskakiwał na dachu powozu jak opętany.

Jak młodzieniec wskoczył profesor na wóz i przekonał się, że stary gałcho się nie mylił.

„Teraz ognia“, wrzasnął tenże, „do tych czerwonych djabłów, by żołnierze nas zauważyli.“

Jeszcze raz więc zagrzmiały strzelby podróżnych, a choć odległość wynosiła jakie trzysta kroków, to jednakże dwa czy trzy strzały były celne. Dwa konie zerwały się bez jeźdźców z szeregów Indian. Żołnierz zaś, których karabiny i lance zamigotały w powietrzu, od razu spostrzegli wóz i pojęli położenie podróżnych. Po kilku minutach też, gdy się dostatecznie zbliżyli, zagrzmiała ich salwa i szeregi Indian się zmieszały. A gdy po krótkiej chwili zagrzmiała nowa salwa z tym skutkiem, że znowu parę koni bez jeźdźców popędziło w step, wówczas przerażeni Indianie ratowali się dziką ucieczką, ścigani przez żołnierzy, którzy bez litości dobijali także spotykanych rannych.

Od oddziału żołnierzy, ścigających dzikich, odłączyła się tymczasem gromadka pięciu jeźdźców i popędziła ku omnibusowi, z którego młodzieńcy dawno wybiegli i wzajemnie się ściskali radośnie ze łzami w oku, dziękując Bogu za ratunek. Pani Huston zaś tuliła do swej piersi ze łzami radości swego syna i swą córeczkę.

Nagle wyrwał się John z objęć matki, popędził na spotkanie jeźdźców i zawołał uszczęśliwiony: „Ojciec!“

Był to istotnie pan Huston, który jak błyskawica zeskokczył z siodła i tulił do siebie uratowanego syna, a następnie żonę i córkę.

Pan Huston, który zdążył na spotkanie swej rodziny, o której wiedział że miała przybyć, spotkał przypadkowo wojsko, które wysłane zostało w te okolice, ponieważ były nadeszły wiadomości o napadach Indian

na samotne rancho czyli siedziby gałęhów. Nie przypuszczał nawet p. Huston, że właśnie te wojska, do których się przyłączył, miały jego własną rodzinę ocalić od niechybnej zagłady.

Uratowane towarzystwo niebawem puściło się w dalszą podróż. Jeszcze tego samego dnia stanęli w miejscowości Arcifa i tu odpoczęli przez cały dzień.

Teraz już była droga do Buenos-Avres wolna. W kilka dni stanęli tam nasi podróżni w stolicy rzeczypospolitej, a straszne przygody w stepie przypominały im się tylko jak okropny, męczący sen.

Poświęcenie i nagroda

czyli dzielna córka osadnika w Ameryce
Północnej.

I.

Spotkanie.

Nowy Orlean, miasto leżące przy ujściu Missisipi na południu Ameryki Północnej, a zamieszkałe ongi przeważnie przez wychodźców francuskich, straciło od kilku tygodni swój zwykły wygląd wesoly. Od jakiegoś czasu miasto zazwyczaj gwarne, uciechło i posmutniało. Ruch zanikł, ulice opustoszały, i dużo fabryk i sklepów zamknięto; — w mieście zjawił się bowiem wróg srogi dla wychodźców, a niebezpieczny dla tuziemców — żółta febra. Najbardziej srożyła się ta zarażliwa i niebezpieczna choroba w dzielnicach ubogich.

Główną ulicą w tym czasie, prowadzącą do portu w Orleanie, szedł człowiek, lat około czterdziestu, szczupły, ale energiczny w ruchach, z brodą szpakowatą. Gdy przechodził obok kawiarni, postłyszal nagle wymówione swe imię i nazwisko: „Janie Brisson! Janie Brisson!”

Wołany przystanął, spojrzął i po chwili zbliżył się do jednego z stolików w kawiarni, gdzie z ręką wyciągniętą na powitanie stał jego towarzysz podróży z Francji do Ameryki, Henryk Lion, który rzekł spieszenie: „Trzy lata upłynęły od czasu, gdyśmy razem wyjechali z ukochanej Francji, a ty, Brissonie, tak się już postarzałeś? Co robisz? Jak ci się powodzi? Siadaj tu, napij się kawy i mów!”

Obydwaj towarzysze usiedli, zażądali kawy i po chwili Brisson się odezwał: „Na razie, gdy przyjecha-

łem, wiodło mi się dobrze. Dostałem miejsce dozorca składu bawełny, dobrze płatne, ale i odpowiedzialne za całość i bezpieczeństwo towaru. Dwa lata upłynęły właśnie od chwili, gdy objąłem to zajęcie; córeczka moja, Lola, chodziła na pensję, żona była zdrową, i, gdyby nie tęsknota za krajem rodzinnym, byłbym zupełnie szczęśliwy. Nagle pewnego dnia spostrzegam, że ze składu wywożą większą, niż zazwyczaj, ilość towaru, a wnoszą paki dziwnie ciężkie w stosunku do bawełny. Zaraz poszedłem do właściciela, by zawiadomić go o mych podejrzeniach, ale ten sfukał mnie i powiedział, żebym się nie mieszał do spraw fabrykacji.”

Brisson umilkł i zapalił cygaro.

„Cóż dalej? Opowiadaj, to ciekawy wypadek“ — zachęcał go Lion.

„Po kilku dniach skład bawełny zgorzał doszczętnie. Właściciel wziął wysokie ubezpieczenie, a ja zostałem aresztowany na podstawie listu, denuncjującego mnie u policyi, jako podpalacza składu bawełny. Przesiedziałem w więzieniu śledczem trzy miesiące. Naturalnie uwolniono mnie, a zasądzono właściciela jako podpalacza, ale ja straciłem miejsce i drugiego znaleźć już nie mogłem; każdy bowiem lęka się człowieka podejrzanego, chociażby i niesprawiedliwie, o zbrodnie podpalenia.”

„Biedny Janie!“ zawołał Lion wzruszony. „Czemuż nie wyjechałeś w inne strony?”

„Czemu? Mój Boże,“ rzekł Brisson, „chyba łatwo się domyślisz, że przez czas mego więzienia żona i córka żyły z grosza oszczędzonego. Następnie już we troje zjadaliśmy szczupłe zapasy dawnych, dobrych czasów. Przyszła wreszcie choroba żony, ta natrętna żółta febra, i to wreszcie pochłonęło wszystkie pieniądze.”

„No, ale żona żyje?“ — zapytał Lion.

„Zbiedzona, osłabiona, ale żyje“ — odrzekł Brisson. — „Gospodarstwem zajmuje się córka, Lola, dzielna dziewczyna. Zostało nam jeszcze trochę mebli, sukien lepszych, ale pewnie i to pójdzie na sprzedaż, gdy nie dostanę pracy. A teraz, gdy skończyłem moje smutne dzieje, pociesz mnie opowieścią o twem szczęściu.”

Henryk Lion uśmiechnął się smutnie i rzekł:

„O szczęściu! Mogę ci opowiedzieć tylko o przejściach moich, które nie wspólnego ze szczęściem nie miały.”

„Więc i tobie nie powiodło się tutaj? — zapytał Brisson.

„Posłuchaj i sam osądź. Wiesz, że przyjechałem tu z synem Adryanem i z żoną. Osiedliśmy w głębi stanu Luizjany w mieście St. Louis. Założyłem sklep z futrami, bo znam się trochę na tem, gdyż podobnie, jak ty, byłem leśnikiem w naszych rodzinnych Wogezach.

Dochody miałem skromne, ale wystarczające dla nas trojga. Pamiętaj, że żona moja skarżyła się często na duszność w piersiach!”

„A tak, pamiętam nawet, że z tego powodu nie chciałeś osiąść w Nowym Orleanie, bo klimat zbyt tu wilgotny” — dodał Brisson.

„W rok żona mi umarła na suchoty. Ani ja, ani syn mój, Adryan, nie mogliśmy się zająć gospodarstwem; sprowadziłem więc tu z Francji moją siostrę, i chociaż osieroceni i skłopotani, żyliśmy spokojnie dalej. Przed trzema miesiącami wybuchł straszny pożar, i sklep mój wraz z towarem spłonął doszczętnie. Zostało mi tylko trochę grosza u handlarzy, odebrałem więc wszystko i chce rozpocząć nowe życie.”

„Jakie?” — spytał zaciekawiony Jan.

„Sądzę,” rzekł Brisson, „że i ty przystaniesz do nas, gdy ci przedstawię cały projekt. Otóż po pożarze St. Louis zebrano się nas trzydziestu pięciu mężczyzn z żonami i dziećmi; postanowiliśmy osiedlić się w Texas. Chcąc się dobrze a tanio zaopatrzyć w broń i inne przybory, przyjechaliśmy do Nowego Orleanu, za tydzień bowiem wyruszamy.”

„Nie wiem, czy moja żona wytrzyma taką podróż; jest jeszcze osłabioną,” — odpowiedział Jan Brisson.

„Mam dobry wóz, pomieszczą się na nim trzy kobiety, a my ruszymy pieszo”, — zachęcał Lion.

„Hm... wóz i parę koni kupię sam, tylko czy żona zechce jechać w takie odludzie, w sąsiedztwo Indyan?”, wahał się Jan.

„Ależ pomyśl, Janie, co tu będziesz robił dalej! O pracę trudno, żółta febra gnębi miasto, ruch handlowy ustał; więc myślę, że najlepiej uczynisz, gdy z nami pojedziesz?”

„Co za jedni są twoi towarzysze?” — badał dalej Jan Brisson.

„Ludzie odważni i dobrze uzbrojeni; nas trzydziestu pięciu pobije setkę Indyan z łatwością. Między nimi są Anglicy, Hiszpanie, Francuzi i Polacy, a każdy ma rodzinę; ogółem zbierze się do stu osób.”

„I chciałbym, i boję się” — wahał się jeszcze Brisson.

„Pomyśl tylko, Janie, jak to zapolujemy na bizony (żubry amerykańskie) i niedźwiedzie! Nasze celne karabiny pozwolą nam z polowania mieć ładne zyski i dochody. Za skóry i futra płacą dobrze, a na tym handlu znam się trochę.”

„Więc wiesz co, Henryku” — odezwał się Brisson — „chodź ze mną, a w domu postanowimy z żoną i córką, jak urządzić nasze przyszłe życie.”

„Z miłą chęcią” — odparł Henryk Lion.

I żona i córka Brissona przyjęły chętnie propozycję Henryka Liona, który, uradowany pozyskaniem nowego towarzysza, ofiarował Loli swój sześciopistoletowy rewolwer, mówiąc z uśmiechem:



...Wtem Lola zawołała: „Zabij mnie, ale mamie mojej daruj życie!” (Zobacz str. 178.)

„Daję ci, Lolu, ten rewolwer, naucz się strzelać, byś w potrzebie siebie i nas obroniła przed Indianami.”

Lola, ładna blondynka, zgrabna i żywa, podziękowała serdecznie za dar i przyrzekła wyuczyć się wkrótce celnego strzelania. W kilka dni Jan Brisson

sprzedał niepotrzebne meble i lepsza odzież, kupił wóz, konie i różne sprzęty gospodarskie, nabył doskonały dalekonośny karabin i z wiarą w lepszą przyszłość wyruszył ze smutnego Orleanu, dążąc na zachód, gdzie miał się spotkać z nowymi towarzyszami a przyszłymi osadnikami Texasu.

II.

W drodze

Wyprawa cała składała się z pięćdziesięciu wozów i czterdziestu koni wierzchowych. Przekroczywszy wielką rzekę Missisipi, karawana wjechała na rozległe prerie amerykańskie, stepy pokryte bujną roślinnością, obfitującą w ptactwo i zwierzyne. Wychodźcy nasi dążyli ku północo-zachodowi, do krainy bogatej w lasy i pastwiska, ale mało zaludnionej, do stanu amerykańskiego Texas. Mężczyźni urządzali często polowania, tak, że wychodźcom nigdy nie zabrakło świeżego mięsa i zabawy.

Wieczorem przy rozłożonych ogniskach gotowano wieczerzę, śpiewano pieśni narodowe i, dzieląc się na pojedyncze gromadki, gwarzono o przyszłości; osadnicy zbierali się dowolnie po dwóch, trzech razem, tylko pastwiska dla koni były wspólne, i każdy z wychodźców musiał odprawiać kolejno straż przy koniach i obozie.

Rodziny Brissona i Liona w czasie długiej podróży zaprzyjaźniły się szczerze. Na popasach stawali obok siebie, rozpalali wspólne ognisko, razem wieczerzali, a mężczyźni upolowaną zwierzyne oddawali do wspólnego użytku. Zwłaszcza szesnastoletnią Lolę łączyła przyjaźń braterska z dziewiętnastoletnim Adryanem Lionem. Próbowali wspólnie celności rewolwerów, rozmawiali dużo i chętnie o Francji, o podróży morskiej i o przeżytych kolejach losu.

Dzień był upalny, znużone konie wlokły się leniwo, ludzie pomęczeni gorącem poruszali się jak senni. Wreszcie dowódca wyprawy dał znak do odpoczynku, jakkolwiek słońce stało jeszcze dość wysoko. Natychmiast wozy ustawiono półkołem, wyprzeżono konie, a młodzież ruszyła żywo po suche drwa do pobliskich krzaków.

Tego dnia Brisson i Lion nie upolowali, i już miano pożyczyć u sąsiadów kawał mięsa, gdy Adryan Lion zaproponował, iż pójdzie w step i spróbuje szczęścia.

„Pójdę i ja z tobą“ odezwała się Lola, „zobaczę celność tych strzałów.“

Adryan nabił jedną lufę swej dubeltówki kulą, a drugą śrutem na ptactwo — i oboje poszli szybko

w głąb stepu. Naprózno jednak Adryan skradał się, czychał i podpatywał zwierzynę — żadna nie przyszła na strzał.

„Wrócisz z próżnymi rękami, Adryanie,“ odezwała się Lola, „i wszyscy będziemy dzisiaj głodni.“

Uwagi te podrażniły Adryana, który pospieszał dalej w step, zostawiając daleko za sobą obóz wychodźców.

„Adryanie, słońce już zachodzi, czas nam wracać!“ upominała Lola.

„Jeszcze tylko tam, za temi krzewami, i już wrócimy,“ prosił Adryan.

Szli dalej cicho, skradając się; nagle jednak Adryan przystanął i szepnął do Loli: „Patrz, tam rusza się trawa, może to koza lub sarna? Stój tu, a ja podejdę.“

Zaledwie uszedł z dziesięć kroków, gdy z owej chwiałej się trawy podniósł się Indyanin i wywijając tomahawkim (toporkiem), biegł szybko na Adryana. Ten, widząc niebezpieczeństwo, strzelił. Indyanin padł ugodzony kulą, a Adryan przerażony, wracał spiesznie do pobliskiej Loli.

Wtem z boku wypadł drugi Indyanin, i zanim Adryan zdolał broń pochwytać, już czerwonoskóry wyrwał mu strzelbę i usiłował rzucić go na ziemię. Młodzieniec bronił się zawzięcie, lecz pochwycony zniemaka za nogi, padł. Wówczas Indyanin, ukląsknąwszy mu na piersiach, sięgnął po skalpel, nóż krzywy, przeznaczony do skalpowania (zdzierania skóry wraz z głową) nieprzyjaciół, i, dusząc kolanami bezbronnego, podniósł nóż w górę. W tej chwili, gdy ycie Adryana było w mocy Indyanina, z ręki Loli padł strzał. Indyanin zwałił się na bok i wkrótce leżał bezwładny.

Lola przybiegła do Adryana, który z wolna się podnosił, i podając mu rękę, zapytała — wielką troskliwością: „Czyś ranny?“

„Uniknąłem śmierci dzięki tobie, Lotu. Teraz będę twym sługą i niewolnikiem na całe życie!“

„Bądź mi tylko przyjaacielem, to mi wystarczy“ rzekła Lola. „A teraz wracajmy, już się ściemnia,“ ja się boje.“

„Wpierw pozwól mi, Lotu, nabić strzelbę kulą, bo kto wie, z ilu wrogami możemy się tu spotkać.“

„O, nie mów tak, boję się“ rzekła Lola, oglądając się trwożliwie. „Chodźmy już, chodźmy!“

W powrotnej drodze nie spotkali nikogo, i już noc prawie zapadła, gdy doszli do obozu.

Opowiedzieli swoją przygodę rodzicom, a Henryk Lion, ściskając Lole, mówił ze łzami w oczach

„Uratowałaś mi syna od niechybnej śmierci, czem ci się odwdzięczę?“

„Przyjaźnią“ odpowiedziała Lola; „zresztą jest

w tem i pańska zasługa, gdyż rewolwer ten otrzymałam w Nowym Orleanie od pana.“

„Błogosławiona ta chwila,“ odparł z zapalem Lion „gdy ci go darowałem; póki życia nie zapomnę twej przysługi.“

„A ja bardzo żałuję, że musiałam strzelić do tego Indyanina, bo nigdy nie chciałabym odebrać życia człowiekowi. Wolałabym, żeby był tylko raniony, a nie zabity.“

„Prawda, moje dziecko, ale strzelaliście tylko we własnej obronie“ uspokajał ją Henryk Lion.

Gdy inni wychodzący dowiedzieli się o zjawieniu się Indyan, podwojono strażę, a starsi i doświadczeńsi zebrali się na naradę.

Jeden z osadników, stary Anglik, który kilkakrotnie walczył z Indyanami i znał dobrze ich zwyczaje, i obyczaje, przemówił: „Ci dwaj zabici Indyanie byli szpiegami, wysłanymi przez jakieś plemię. Gdy nie wrócą do swoich na czas oznaczony, plemię wyśle nowych, liczniejszych, a ci po śladach łatwo odnajdą, kto był zabójcą tych dwóch dzikich. Naród to chytry i mściwy, zaczną nas prześladować, więc teraz musimy trzymać się razem i strzedz się pilnie, bo o nieszczęście i napad łatwo.“

Skoro świt, ruszyli mężczyźni na miejsce napadu, gdzie istotnie znaleziono zabitych. Stary Anglik poznał w Indyanach mieszkańców puszczy leśnej Texasu, myśliwców, polujących na bawoły. Pogrzebano też zaraz zabitych i niezwłocznie ruszono dalej.

III.

Sasiedzi.

Wbrew przepowiedni Anglika podróż odbywała się spokojnie, i oprócz tych dwóch Indyan nowi osadnicy nie spotkali innych. Gdy dotarli do texaskiej rzeki, Trinidad, Brissonowa czuła się tak osłabiona, że dalsza podróż stała się dla niej niemożliwą. Wówczas Brisson i Lion postanowili zbudować tutaj swe domy, gdyż bliskość boru i obszerny step nadawały się szczególnie do polowania. Uproszeni towarzysze wyprawy pomogli im chętnie przy budowaniu domów z bierwion grubo ociosanych, i w kilka dni obie zaprzyjaźnione rodziny zyskały przynajmniej dach nad głową.

Reszta osadników pociągnęła dalej w głąb kraju, obiecując swe odwiedziny, skoro założą osadę.

Kilka tygodni minęło. A gdy pewnej niedzieli odpoczywano po ciężkiej pracy, Brisson odezwał się: „Teraz czas pomyśleć o zarobku.“

„I ja tak sędzę“ odpowiedział Henryk Lion; „jutro pójdziemy na polowanie.“

Powrót z polowania był bardzo wesoły. Obaj myśliwi przekonali się, że bór jest pełen zwierzyny, zdobyć więc futer będzie łatwe i obfite.

„Dziś na stepie widziałem bizony,“ dorzucił Adryan.

„A ja wielkie ryby w naszej rzece,“ rzekł Brisson.

„Mamy więc wszystko, co nam potrzebne do życia. Myślę jednak, że nasze prace należałoby podzielić.“

„Bardzo słuszna uwaga,“ odparł Lion.

„Sądzę,“ zaczął Brisson, „że przedewszystkiem celem zabiegów naszych powinien być powrót do Francji. Wszak całe życie spędzić w tej pustyni nikt z nas nie myśli.“

Przyznano mu jednogłośnie słusność.

„A więc my dwaj starsi,“ ciągnął dalej, Brisson, „zajmiemy się polowaniem, by zyskać futra i skóry. Adryan niech się postara o świeże mięso i ptactwo, a kobiety będą łowiły ryby na czas postu.“

Plan ten przyjęto i zaraz nazajutrz wprowadzono go w życie. Ilość skór i futer wzrastała tak szybko, że Brissonowa i siostra Henryka Lion z trudnością nadążały w suszeniu i dopilnowaniu skór. Lola i Adryan dostarczali sumiennie żywności, ale jednostajność zaczęła ich nużyć, postanowili tedy zmienić swe role.

„Naucz mnie strzelać, a sam idź po ryby,“ rzekła Lola.

Posłuszny młodzieniec chętnie wyuczył dziewczę celnego strzelania, i teraz Lola polowała, a Adryan łowił ryby.

„Wiesz, Lolu,“ rzekł raz Adryan. „Pracować zawsze samemu jest smutno i przykro. Proponuję więc, abyśmy jednego dnia wspólnie polowali, a drugiego razem łowili ryby.“

Lola przyjęła chętnie tę propozycję, a że robili dalekie wycieczki, więc Adryan nauczył ją jeździć konno i teraz wspólnie spędzali ze sobą dni całe.

IV.

Przygody.

Jednego dnia Lola i Adryan wrócili do domu na spienionych koniach, donosząc rodzicom, iż na preryi (stepie) zjawily się bizony (żubry amerykańskie).

Postanowiono tedy zapolować, gdyż nietylko skóry tych zwierząt są cenne, ale i mięso ich należy do bardzo pożywnych i smacznych.

Napróżno Lola prosiła, aby i ją wzięto na polowanie: oboje rodzice odmówili ze względu na możliwe niebezpieczeństwo. Samotrzcę tedy ruszyli w step; Lion wraz z synem, Adryanem, konno, Brisson zaś pieszo. Na ogromnym stepie zieleniła się bujna trawa, perliła się

rosa w promieniach wschodzącego słońca, i raz po raz odzywały się głosy rozlicznych ptaków, porywających się z hałasem przy zbliżaniu się myśliwców. Wtem zdala bystre oczy Adryana spostrzegły stado bizonów. Stado składało się z dziesięciu sztuk, a prowadził je wielki, grzywiasty bizon, który od czasu do czasu głucho porykiwał.

Natychmiast powzięto plan napadu. Adryan miał je objechać z jednej strony, Henryk Lion z drugiej, z trzeciej stanął Brisson, a czwartą, jako zasłoniętą lasem, pozostawiono wolną, gdyż pyszne te zwierzęta jedynie koniecznością zmuszone, kryją się w lasy, nato miast chętniej uciekają w otwarte pole. Spłoszone bizony porwały się do biegu w kierunku Brissona, który przypuścił je dosyć blisko. Padły wreszcie dwa strzały i dwa bawoły przyklekły, zuów się porwały, lecz leży w trawie. Reszta stada przerażona niespodziewanym hukiem przystanąła, a potem rzuciła się w kierunku Adryana, wtedy, kiedy ojciec jego gonił naprzeciw uciekające zwierzęta.

Adryan, widząc nadbiegające zwierzęta, wstrzymał konia, zmierzył i dał ognia. Raniony bizon zaryczał groźnie, roziskrzonym wzrokiem szukał przeciwnika, a spostrzegłszy Adryana, pędził wprost na niego. Jeszcze raz udało się Adryanowi strzelić, lecz i tym razem strzał zranił, lecz nie zabił bizona. Rozwścieczony zwierzę dopadł go, a gdy koni przerażony uskok przeciwny, Adryan zgubił strzemiona, zachwiał się i spadł z siodła na ziemię.

Bawół niebawem dostrzegł leżącego i biegł, schyliwszy potężny łeb ku ziemi, ku Adryanowi. Nagle padł strzał. Zwierzę przystanął, zachwiał się, zatoczył i runął na ziemię. W tej chwili Adryan podniósł się z ziemi i w rękę swego ojca ujrzał dymiącą jeszcze po strzale strzelbę.

„Zdrów jesteś, mój synu?” zawołał Lion.

„Dzięki ci za ocalenie,” odpowiedział wesoło Adryan i pobiegł do ojca, ucałował go i obaj szli obejrzeć zabitego bawołu.

Wkrótce nadszedł Brisson, który zdala widział całą przygodę. „Będziesz żył długo i szczęśliwie,” mówił, ściskając rękę Adryana, „już dwa razy śmierć ci zagrażała w oczy, a zawsze wymknąłeś się bez szwanku.”

Po chwili Lion rzekł: „Dziś mieliśmy świetny dzień; trzy bizony upolowane i żadnego nieszczęścia. Adryanie! Siądź na konia i sprowadź tu wóz, trzeba zawieźć zdobycz.”

Adryan nie dał sobie powtórzyć tego rozkazu, wskoczył na siodło i pogalopował w kierunku osady. Zaledwie Adryan znikł w wąwozie, gdy od strony boru zjawiała się konno Lola i szybko zbliżyła się do ojca.

„Co tu robisz?” spytał Brisson.

„Jadę łowić ryby. Wczoraj nastawiłam wędzice, chcę zobaczyć, ile się złapało.”

„Niepotrzebne dziś ryby,” zaśmiał się Lion, „mammy trzy bizony.”

„Aż trzy?” zadziwiła się Lola.

„Ojciec twój dwa zabił, a ja trzeciego,” rzekł Lion.

„A Adryan żadnego?” spytała Lola.

Brisson opowiedział teraz szczegóły uratowania Adryana.

„Przez cały tydzień zwolnimy was od dostarczania mięsa i ryb,” rzekł Lion, „wystarczą nam bizony.”

„W takim razie muszę zabrać swoje wędzice; są niedaleko, pójdę, a może ojciec zaczeka na mnie?” rzekła Lola.

„Pójdziemy razem,” odezwał się Lion.

Spętawszy konie, poszli nad rzeczkę. Lola prowadziła ich, opowiadając, że gdy nastawiła w małej zatoce wędzice i już wyskoczyła z łódki, zobaczyła jakąś ogromną rybę. Szli brzegiem stromym i śliskim. Wtem z pod nóg Loli usunęła się wielka bryła ziemi, i dziewczyna wpadła z stromego brzegu do wody. W tej samej chwili wynurzyła się z głębi wstrętna paszcza aligatora*), świecąca białemi, ostreimi zębami, i posuwała się w kierunku Loli.

Z przerażenia obydwaj mężczyźni stanęli jak wryci. Loli groziła niechybna śmierć. Henryk Lion pochwylił wiszącą na ramieniu strzelbę i już miał strzelić, gdy usłyszał plusk wody i tuż obok Loli ujrzał w rzece Indyanina. Trzymał on w ręku twardą, opłataną gwoździami maczugę, u pasa wisiał nóż myśliwski, a na głowie sterczały pióra orle, oznaka godności wódza plemienia.

W jednej chwili zbliżył się do aligatora i w rozwartą paszczę wraził głęboko swą maczugę, tak, że aligator nie mógł zamknąć paszczy, lewą zaś ręką objął Lolę i niósł do brzegu. Naprawdę aligator chciał chwycić rękę Indyanina; silna prawica wytrzymała parcie i po chwili Indyanin wyszedł z wody i złożył omdlałą Lolę na brzegu.

Zanim ktokolwiek zdążył mu podziękować, czerwonoskóry znikł w nadbrzeżnych zaroślach.

Ouceno Lola i wszyscy z niedobrem przeczuciem wracali do domu. Wprawdzie dziewczyna została szczęśliwie uratowana, ale to spotkanie Indyanina i nagłe jego zniknięcie nie wróżyły nic dobrego.

*) Wielka drapieżna jaszczurka, podobna do krokodyla.

V

Napad.

Przez dłuższy czas nikt jednak nie zamącił spokoju mieszkańców puszczy leśnej. Ubezpieczeni tem, dwaj osadnicy postanowili wyjechać ze skórami i futrami do miasta i zakupić tam różne potrzebne rzeczy, a zwłaszcza proch i kule, których zapas był już niewielki.

Po ich wyjeździe pani Brisson zasłabła i musiała się położyć, Lola więc pilnowała chorej i zajmowała się gospodarstwem. Gdy zabrakło mięsa świeżego, Adryan, któremu była poręczona opieka nad kobietami, wyszedł rano na polowanie, obiecując rychły powrót.

Lola siedziała właśnie u wezłowia śpiącej matki, głęboko zamyślona i zmartwiona nieobecnością ojca.

Właśnie zmrok zapadał, gdy nagle drzwi się otwarły i do chaty wpadł Indianin. Okrywał go płaszcz z bawolej skóry, w rękę miał tomahawk (toporek), a na głowie barwne pióra. Spojrzał wokoło, a widząc kobietę, leżącą w łóżku, poskoczył ku niej.

Pani Brisson obudziła się i z przerażeniem spojrzała na dzikiego, a przewidując śmierć niechybną, zawołała drżącymi ustami: „Panie Boże, zmiłuj się nademną, w ręce Twoje oddaję ducha mego!”

Indianin zaśmiał się chrapliwie, ucieszony widokiem ich przerażenia. „Ciebie zabiję!” rzekł, wskazując na Brissonową. — „a ciebie, biała dziewczyno, wezmę do niewoli.”

Pewnym krokiem zbliżył się do łóżka. Wtem Lola padła mu do kolan i odpychając go, zawołała: „Zabij mnie, ale mamie mojej daruj życie!”

Indianin spojrział drwiąco, a pochwyciwszy Lole, rzucił ją na drugie łóżko, mówiąc: „Tu leż cicho, niewolnico, twój pan ci każe!”

Sam zaś śpiesznie skierował się do łóżka chorej.

Lola, upadając na łóżko, spojrzała na ścianę i spostrzegła zatknięty swój rewolwer, a gdy Indianin się odwrócił, powstała szybko, pochwyciła broń i w chwili, gdy dziki zamierzył się tomahawkiem, strzeliła, trafiając w samą głowę wroga.

Indianin runął na ziemię, chora zaś z powodu tylu wzruszeń omdlała. Wtem drzwi się otwarły i weszła siostra Henryka Liona, z przerażeniem patrząc na to, co się stało.

„Usuńmy naprzód tego Indianina, — rzekła Lola, — ale ostrożnie, bo może nie jest zabity: lecz zdaje się, że nie żyje, gdyż nie rusza się.”

Nie cucąc zemdłonej, obie wywlokły martwe cia-

ło napastnika i dopiero potem zaczęły krzątać się około chorej. Noc przeszła spokojnie; wszystkie trzy kobiety nasłuchiwały każdego szelestu, każdego szczekania psa, któryby im oznajmił powrót upragnionego Adryana. Lecz i noc minęła, i słońce zaszło, a Adryan nie wracał. Obawa kobiet wzrastała. Nagle, wśród ciszy, Lola rzekła: „Pozwól mi, mamó, pójść poszukać Adryana... Może leży gdzieś ranny, może osaczyły go dzikie zwierzęta, pójde przekonam się.”

Matka, widząc niepokój i obawę swej ukochanej córki, pozwoliła, a siostra Henryka Lion obowiązała się tymczasem dopilnować chorej.

Nie przyzwyczajona jednak do śledzenia śladów stóp na ziemi, nie dopatrzyła Lola ich nigdzie; postanowiła wreszcie dać znać o swej obecności wystrzałem. Echa powtórzyły huk rozgłosnie, odpowiedziały mu krzyki płoszonego ptactwa, ale po chwili umilkło wszystko, tylko bór szumił smętnie dalej. Lola szła dalej w nadziei, że pomiędzy skałami leśnymi, znanymi jej z poprzednich wypraw, spotka Adryana.

Nagle posłyszała szelest, obróciła się i tuż za sobą ujrzała Indianina, uzbrogonego w strzelbę, tomahawk i maczugę. We włosach jego tkwiły pióra orle, jako oznaka wodza, i Lola poznała tego, który ją uratował z rzeki. Pełna przerażenia, zawołała bezwiednie: „Nie zabijaj mnie!”

„Waż preryi (stepu) nie zrobi nic złego Białej Lili; uratował ją od aligatora, ratuje i teraz. Pójdź, Biała Lilio, ze mną, podzielisz mój wigwam (namiot) jako moja żona.

„Nie dotykaj mnie!” — krzyknęła dziewczyna.

W oka mgnieniu Indianin uderzył ją maczugą w rękę, a przyskoczywszy, zarzucił na nią pętlę i związał. Tym sposobem Lola została rozbrojona. Indianin kazał jej iść przed sobą.

Lola szła, nie wiedząc dokąd ją wódz prowadzi, ale wkrótce ujrzała namioty, posłyszała głośne krzyki i wrzaski czerwonoskórych, które ucichły na chwilę, gdy ujrzano wodza. Na widok skrepowanej Loli podniosły się okrzyki radosne: „Hugh! hugh!”

Indyanki zaczęły grozić Loli maczugami, a niektóre gotowały się już teraz do bicia jej. Lecz wódz spojrział groźnie i zawołał: —

„Biała Lilia jest pod opieką Węża preryi!”

Umilkli wszyscy, patrząc z bojaźnią na niego, on zaś szedł dalej w głąb osady. Wtem na placu ujrzała Lola grubego słup, a przy nim przywiązanego skrepowanego człowieka. Przypatrzawszy mu się z bliska, krzyknęła: „Adryanie! ty tutaj!”

Zawołany spojrział z złością na Lole i rzekł: „Więc i ty w niewoli!”

„Szukałam ciebie, i ten dziki pochwyił mnie.“

„Milczeć!“ — rozkazał groźnie Wąż preryi.

Po chwili skinął na starą Indyankę i rzekł: „Biała Lilię oddaję twej pieczy. Zanim zostanie żoną. Weża preryi, ty jej pilnuj i doglądaj, aby na niczem jej nie brakło.“

Stara z pokorą ucałowała rękę wodza i zwracając się do Loli, rzekła: „Niech Biała Lilia pójdzie do mego wigwamu; tak rozkazał Wąż preryi!“

VI.

W niewoli.

Jan Brisson i Henryk Lion, przybywszy do Jeffersonu ze skórami i futrami, trafili szczęśliwie na chwilę wielkiego zapotrzebowania towaru. Sprzedali więc bardzo zyskownie futra i skóry, poczynili potrzebne zakupy i po kilku dniach wyjechali do domu. Jeszcze pół dnia drogi dzieliło ich od osady, gdy spotkali dwóch jeźdźców, w których poznali swoich towarzyszy wprawdy z Nowego Orleanu do Texasu. Po przywitaniu spytał Brisson o cel podróży.

„Jedziemy do Jeffersonu, gdzie piętnastu nowych osadników chce z nami zamieszkać, wskażemy im więc drogę,“ odpowiedział zapytany.

„Droga prowadzi obok naszych siedzib,“ dorzucił Lion, „prosimy was serdecznie, wstąpcie do nas; wszak przyrzekliście dawniej odwiedzić nas!“

„To też nasi wybierają się do was, aby wspólnie zapolować na bizona. Jakże wam się powodzi? Czy Indyanie was nie niepokoją?“ rzekł drugi jeździec.

„Dotychczas wszystko dobrze i spokojnie,“ odpowiedział Henryk Lion. „A u was jak?“

„Mielśmy kilka utarczek z tymi czerwonymi diabłami, ale nas jest duża gromada, więc boją się porażki. Skąd wracacie?“

Z Jeffersonu,“ rzekł Brisson, „sprzedaliśmy skóry.“

Jeszcze chwilę pogawędzili i rozjechali się w swoje strony. Gdy obaj mężczyźni usiedli na wozie obok siebie, Lion zaczął nucić wesołą piosenkę, lecz Brisson zawołał: „Przestań śpiewać, Henryku, mam jakieś złe przeczucie. Zbyt szczęśliwie nam się wiedzie, a gdzie dużo szczęścia, musi przyjsć i nieszczęście.“

„Przesady!“ zawołał ze śmiechem Lion. „Co może stać się złego? Kobiety nasze zostawiłmy zdrowe, mają opiekę Adryana, a i Lola strzela celnie.“

„Ciagle obawiam się Indyan,“ mówił zamyślony Brisson.

„To prawda; ten dziki, który uratował Lolę a potem znikł, nie żądając podarunku, to podejrzany; ale

bądź dobrej myśli, w razie napadu potrafimy się obronić. A teraz mówmy o naszych interesach.“

Rozmawiając tedy o przyszłych korzyściach handlu futrami i skórami, dojechali do domu. Gdy się dostatecznie zbliżyli, Lion krzyknął: „Hej! Hola! Adryanie!...“

Na te wołania z domu Brissona wyszła siostra Liona.

„Co nowego, Maryo, u was? Wszystko dobrze?“ spytał ją brat.

„U nas źle i smutno,“ odpowiedziała ze łzami w oczach.

„Na Boga! Mów, co się stało?“ zapytał Brisson.

Obydwaj zeskoczyli z wozu i zbliżyli się do płaczącej, która łkając, z trudnością odpowiedziała: „Adryana niema od dwóch dni, a Loli od wczoraj rana.“

„Jakże się ma moja żona?“ spytał Brisson.

„Leży słaba,“ odpowiedziała siostra Liona.

„O moje przeczucie!“ zawołał rozżalony i wszedł do domu; z nim poszli Lion z siostrą.

Na łóżku leżała blada i schorowana Brissonowa, która na widok męża zaczęła cicho płakać i zapytała:

„Jak myślisz, Janie, czy Lola żyje?“

„Jeśli wpadła w ręce Indyan, to napewno żyje; pójdę i wyswobodzę ją, lub sam zginę.“

„I ja pójdę z tobą, mój przyjacielu,“ rzekł również zgnębiony Lion.

„Więc nie traćmy czasu, Henryku, posilmy się i dalej w drogę!“ zawołał Brisson.

W czasie jedzenia kobiety opowiedziały o Indyaninie, który napadł na dom Brissona i o obronie Loli. Wypytawszy się o kierunek, w którym poszli Adryan i Lola, obaj myśliwi ruszyli na poszukiwanie dzieci. Wkrótce natrafili na ślad Loli, a po chwili na ślad stóp Adryana; szedł on w innym kierunku. Obaj ojcowie, ścisnąwszy sobie ręce, rozłączyli się i każdy poszedł śladem swego dziecka.

Już zaczęło się zmierzchać, gdy Brisson, pilnując wciąż śladu stóp Loli i Indyanina, wyszedł z lasu i zobaczył w oddali osadę indyjską. Szybko skrył się w gęstwinę i położył się na ziemi. Po chwili posłyszał jakieś kroki, ostrożnie wychylił głowę i zobaczył swego przyjaciela, Liona. Porozumieli się na migi, by cofnąć się w głąb lasu i tam rozmawiać.

„Lola u Indyan,“ szepnął Brisson, gdy przyszli w bezpieczne miejsce.

„Adryan również,“ odpowiedział Lion, „widocznie bronil się, bo znalazłem ślady krwi, lecz później ranę musiano opatrzyć, bo więcej krwi nie widziałem. Jak ich uwolnić?“

„Zaczekamy do nocy, ale wpiery muszę zbadać osadę,” zauważył Brisson.

„Spostrzegą cię,” przestrzegal Lion.

„Nie tak łatwo; pójdę na skraj lasu i wejść na drzewo, a ty zaczekaj tutaj.”

„Pójdziemy razem!” rzekł Lion, „ty będziesz badał z góry, a ja stanę na straży.”

„Niech i tak będzie.”

Brisson z wysokiej sosny dojrzał istotnie dwa wigwamy, przed którymi stała straż. Dostęp do tych wigwamów był łatwy, gdyż stały na samym skraju osady. Rozpatrzywszy tedy dokładnie miejsce, zszedł z drzewa i opowiedział Lionowi spostrzeżone szczegóły.

„Ilu Indian stoi na straży?” zapytał Lion.

„Po jednym przy każdym wigwamie,” odparł Brisson.

„Dwom dzikim łatwo poradzimy,” zauważył Lion, „idzie tylko o to, aby dojść.”

„Zaczekajmy do nocy,” radził Brisson, „niebo chmurne, więc mimo księżyca będzie ciemno. Podsunie się po cichu, trzeba będzie bez hałasu straż zdusić.”

„Miłość dla syna doda mi siłę,” rzekł Henryk Lion, ściskając nóż myśliwski.

„Najmniejsza nieostrożność może zgubić nie tylko nas, ale i uwięzionych.”

„Niepotrzebnie mi to mówisz, Brissonie, wiem, wszyscy ruszyliby na nas, gdyby straż krzyknęła.”

Cofnęli się obaj w głąb boru, a gdy noc zapadła, zbliżyli się do osady. Na pozór wszystko spało w osadzie, wódz Indian jednak przed nocą nie tylko podwoił straż u wigwamów, lecz nadto rozkazał dwudziestu ludziom stać w pogotowiu na wypadek napadu; przypuszczał bowiem, że biali zechcą ratować uwięzionych i urządzić niespodziewany napad.

Obaj myśliwi, cicho skradając się, ruszyli ku namiotom, mając w pogotowiu broń, by w razie pogoni stawić opór. Posuwali się naprzód tylko wówczas, gdy księżyc krył się za chmurami; wreszcie dopełzli blisko, może jakie dwadzieścia kroków od więziennych wigwamów. Przyglęli ku ziemi, gdyż właśnie księżyc, odsłonięty z chmur, przeświecał bladawym światłem.

Na płaskiej, odkrytej równinie dwaj leżący myśliwi przedstawiali szarą bryłę, jednak bystre oczy Indianina na straży dostrzegły niezwykle przedmiot, i dziki już ~~z~~ nie spuszczał wzroku. Niecierpliwy Lion ruszył naprzód, zanim księżyc skrył się za chmury. Indianin zahuczał, jak sowa, że ktoś się zbliża i ~~z~~ prawie bez szelestu, przybiegło do niego dziesięciu Indian, czekając wyraźniejszego hasła.

Brisson i Lion, nie podejrzewając takiej siły, a korzystając z ciemności, pospieszali żywo. Już Brisson schwycił w swe silne ręce jednego ze strażników, a Lion drugiego, gdy wokół rozległy się krzyki Indian.

„Jesteśmy zgubieni!” zawołał ojciec Loli.

„Bronimy się!” krzyknął Lion.

I w cieniach nocy rozpoczęła się rozpaczliwa walka. Już trzech czerwonoskórych broczyło krwią ziemię, już Brisson był ranny w ramię tomahawkiem, gdy w osadzie huknęły strzały i myśliwi przy błysku strzałów spostrzegli biegnących ze wszech stron uzbrojonych Indian. Wąż Preryi, dopadłszy do miejsca walki, krzyknął wielkim głosem: „Żywcem ich wziąć! żywcem! zginą na palu!”

Na broniących się zarzucono sieci i powrozy, obalono na ziemię i skrępowano. Ośmiu zabitych Indian postanowiono pogrzebać, ale dopiero po zamęczeniu uwięzionych myśliwców.

VII

Ofiara i nagroda.

Skoro świt, wszczął się w osadzie indiańskiej niezwykły ruch. Jedni przyciągali kłody i drwa na ognisko, inni dźwigali ciężkie pale, część kopała doły; kobiety piekły zwierzynę i przygotowywały napoje, gdyż miała się odbyć wspaniała uroczystość. Trzech białych zginie na palu męczeńskim, krwią ich pokroją zabitych w nocnej walce Indian, a wieczorem wódz, Wąż Preryi, wyprawi ucztę weselną z Białą Lilią. To też radość Indian była nadzwyczajna.

Gdy pale były już wkopane i umocowane, wprowadzono najpierw Adryana. Błady, w obdarciem odzieniu, szedł śmiało, a nawet uśmiechał się, aby ochronić się od drwin i złośliwości wrogów. Przywiązano go do pala tak, że ruszyć się nie mógł i dopiero wówczas wprowadzono drugiego więźnia, Jana Brissona.

„Witaj i żegnaj!” zawołał Brisson.

„Nie boję się śmierci,” odpowiedział Adryan, „lecz przeraża mnie los biednej Loli.”

„Widziałeś ją?” spytał ojciec.

„Widziałem. Żywa i zdrowa; ale czeka ją hańba,” odparł z boleścią młodzieniec.

„Niech blade twarze milczą!” wrzasnęli Indianie, „jeżeli nie chcą mieć poucinanych języków.”

Przywiązano do słupa Brissona, i wkrótce nadszedł trzeci więzień, Henryk Lion.

„Synu mój!” zawołał ojciec i mimo więzów rzucił się ku Adryanowi.

Pochwycili go Indianie i zawlekli do słupa, stojącego pośrodku. Henryk Lion, patrząc na syna, za-

plakał. Dziecy, widząc łzy, a sądząc, że płyną z obawy śmierci, zaczęli śmiać się i wołać: „Tchórz! Błade twarze mają zajęcze serca!”

„Ojcie mój!” zawołał Adryan. „Nie płacz nademną, wszak umrzemy razem i zobaczymy się na tym świecie.”

„O, mój synu! mój synu!” zakała Henryk Lion.

„Umierajmy mężnie!” zawołał Brisson.

„Milczeć! milczeć teraz!” krzyknęli Indianie, widząc zbliżającego się Weża Preryi.

Na dany znak przez niego rozpoczęła się zabawa. Najpierw wystąpili łucznicy i celnymi strzałami dziurawili odzież jeńców, nie drasnawszy ciała. Po tym popisie wystąpili Indianie z tomahawkami. Rzucali temi siekierkami tak zręcznie, że każdy tomahawk trafił w słup, nie raniąc związanych. Wąż Preryi uśmiechał się, rad z widoku zręczności swoich wojowników.

Dał znak, Indianie się uciszyli, a on rzekł: „Podajcie mi mój tomahawk, a temu młodemu przywiążcie włosy do słupa!”

Gdy rozkaz spełniono, Wąż Preryi stanął przed słupem Adryana, zamierzył się i rzucił tomahawk tak zręcznie, że uciął włosy tuż nad głową. Radosny okrzyk „Hugh!” rozległ się wokoło, a wódz Indian z uśmiechem dumy siadł na dawnym swem miejscu.

Wtem, w głębi osady podniósł się krzyk. To Lola biegła ku słupom; gonіło ją kilka Indianek.

Indianie rzucili się, pochwycili dziewczynę i przywiedli do wodza. Na jego znak puścili ją, a ona ukłękła i wznosząc ręce w górę, zawołała: „Wszehmocny Boże, zlituj się nademną!”

„Czego Biała Lilia chce tutaj?” zapytał wódz Indian.

„Wielki wodzu, przyszedłam prosić o zmiłowanie twoje. Puść tych jeńców! Puść ich wolnymi!”

„Biała Lilia nie chce być żoną Weża Preryi”, odparł wódz, „a żąda wolności dla białych.”

„Puść ich! puść!” prosiła Lola.

„A wówczas Biała Lilia dobrowolnie zostanie w moim wigwanie?”, zapytał wódz Indian.

„Odmów! odmów!” zawołał Adryan.

„Ja jedna tylko będę nieszczęśliwą, a was trzech uratuje.” odpowiedziała Lola ze łzami w oczach.

„Wąż Preryi nie pozwala rozmawiać z więźniami”, krzyknął czerwonoskóry. — „Co Biała Lilia postanowiła?”

„Będę twoją żoną”, odpowiedziało dziewczę pewnym głosem, „tylko puść ich wolno!”

„Wąż Preryi jest szlachetny i mężny, zrobi to dla Białej Lili i puści wolno blade twarze.”

Lola uśmiechnęła się radośnie przez łzy.

Wąż Preryi kazał rozciąć więzy, a gdy wykonywano jego rozkaz, wszczął się w tłumie Indian szmer; narzekania rosły stopniowo, gdyż żal ogarnął dzikich, iż biali unikną śmierci. Wódz spochmurniał i krzyknął: „Wąż Preryi, wódz mężnych wojowników, puszcza ich wolno. Kto się sprzeciwi, jest synem śmierci!”

Szmer ustał. Wąż Preryi nie pozwolił Loli pożegnać się z więźniami, lecz wzięwszy ją za rękę, szedł do swego wigwamu. —

Zaledwie trzech myśliwi uwolnieni wyszli z koczowiska indyjskiego, gdy z lasu wysunął się oddział białych. Byli to właśnie owi nowi osadnicy, którzy przybyli z Jeffersonu.

Dowiedziawszy się bowiem od Brissonowej, że w osadzie indyjskiej znajduje się jej córka Lola, ruszyli cwałem. Lecz i Indianie spostrzegli przybywających i gotowali się do obrony.

Rozpoczęła się zacięta walka, w której biali, posiadając doskonałą i szybko strzelającą broń, wkrótce wzięli przewagę. Indianie, widząc, że wielu z nich jest już zabitych i rannych i że nie zdołają wytrzymać naporu białych, rozproszyli się po całym koczowisku.

Brisson i Adryan nie brali jednak udziału w walce, spieszyli do wigwamu wodza, do uwiecznionej. Zaledwie wpadli do wigwamu, gdy za nimi wbiegł Wąż Preryi. Walka trwała krótko, kordelas Adryana przeszył serce wodza.

Indianie, straciwszy wodza, poddali się dobrowolnie i prosili o pokój. Biali wypalili z nimi kalumet, fajkę pokoju, i wrócili do osady myśliwców.

W kilka dni potem, w czasie uczty wyprawionej obrońcom Loli, stary Lion wstał i rzekł:

„Przyjacielu Brissonie! Na uczczenie tej uczty pozwól, bym cię poprosił o rękę twej córki, Loli, dla mego syna, Adryana.”

A gdy Brissonowie zgodzili się na to, i młodzi siedli obok siebie, uszczęśliwieni pozwoleniem rodziców, obecni goście krzyknęli, podnosząc kielichy w górę:

„Niech żyje młoda para!!!”

Cudowne ocalenie

czyli

przygoda myśliwego w Labradorze.

W Ameryce Północnej na północ od Kanady leży kraina Labrador, obfita w jeziora, słynna z rychłych siarczystych mrozów i zawię śnieżnych, oraz z mnogiej

plakał. Dzicy, widząc łzy, a sądząc, że płyną z obawy śmierci, zaczęli śmiać się i wołać: „Tchórz! Błede twarze mają zajęcze serca!”

„Ojciec mój!” zawołał Adrian. „Nie płacz nade mną, wszak umrzemy razem i zobaczymy się na tym samym świecie.”

„O, mój synu! mój synu!” zakała Henryk Lion.

„Umierajmy mężnie!” zawołał Brisson.

„Milczcie! milczcie teraz!” krzyknęli Indianie, widząc zbliżającego się Weża Preryi.

Na dany znak przez niego rozpoczęła się zabawa. Najpierw wystąpili łucznicy i celnymi strzałami dziurawili odzież jeńców, nie drasnawszy ciała. Po tym popisie wystąpili Indianie z tomahawkami. Rzucali temi siekierkami tak zręcznie, że każdy tomahawk trafiał w słup, nie raniąc związanych. Waż Preryi uśmiechał się, rad z widoku zręczności swoich wojowników.

Dał znak, Indianie się uciszyli, a on rzekł: „Podajcie mi mój tomahawk, a temu młodemu przywiążcie włosy do słupa!”

Gdy rozkaz spełniono, Waż Preryi stanął przed słupem Adryana, zamierzył się i rzucił tomahawk tak zręcznie, że uciał włosy tuż nad głową. Radosny okrzyk „Hugh!” rozległ się wokół, a wódz Indyan z uśmiechem dumy siadł na dawnym swem miejscu.

Wtem, w głębi osady podniósł się krzyk. To Lola biegła ku słupom; gonilo ją kilka Indianek.

Indianie rzucili się, pochwycili dziewczynę i przywiedli do wodza. Na jego znak puścili ją, a ona uklękła i wznosząc ręce w górę, zawołała: „Wszechmocny Boże, zlituj się nademną!”

„Czego Biała Lilia chce tutaj?” zapytał wódz Indyan.

„Wielki wodzu, przyszedłam prosić o zmiłowanie twoje. Puść tych jeńców! Puść ich wolnymi!”

„Biała Lilia nie chce być żoną Weża Preryi”, odparł wódz, „a żąda wolności dla białych.”

„Puść ich! puść!” prosiła Lola.

„A wówczas Biała Lilia dobrowolnie zostanie w moim wigwaniu?”, zapytał wódz Indyan.

„Odmów! odmów!” zawołał Adrian.

„Ja jedna tylko będę nieszczęśliwą, a was trzech uratuje.” odpowiedziała Lola ze łzami w oczach.

„Waż Preryi nie pozwala rozmawiać z więźniami”, krzyknął czerwonoskóry. — „Co Biała Lilia postanowiła?”

„Będę twoją żoną”, odpowiedziało dziewczę pewnym głosem, „tylko puść ich wolno!”

„Waż Preryi jest szlachetny i mężny, robi to dla Białej Lili i puści wolno białe twarze.”

Lola uśmiechnęła się radośnie przez łzy.

Waż Preryi kazał rozciąć więzy, a gdy wykonywano jego rozkaz, wszeźłał się w tłumie Indyan szmer; narzekania rosły stopniowo, gdyż żal ogarnął dzikich, iż biali unikną śmierci. Wódz spochmurniał i krzyknął: „Waż Preryi, wódz mężnych wojowników, puszcza ich wolno. Kto się sprzeciwi, jest synem śmierci!”

Szmer ustał. Waż Preryi nie pozwolił Loli pożegnać się z więźniami, lecz wzięwszy ją za rękę, szedł do swego wigwamu. —

Zaledwie trzech myśliwi uwolnieni wyszli z koczo-wiska indyjskiego, gdy z lasu wysunął się oddział białych. Byli to właśnie owi nowi osadnicy, którzy przybyli z Jeffersonu.

Dowiedziawszy się bowiem od Brissonowej, że w osadzie indyjskiej znajduje się jej córka Lola, ruszyli cwałem. Lecz i Indianie spostrzegli przybywających i gotowali się do obrony.

Rozpoczęła się zacięta walka, w której biali, posiadając doskonale i szybko strzelającą broń, wkrótce wzięli przewagę. Indianie, widząc, że wielu z nich jest już zabitych i rannych i że nie zdołają wytrzymać naporu białych, rozproszyli się po całym koczo-wisku.

Brisson i Adrian nie brali jednak udziału w walce, spieszyli do wigwamu wodza, do uwięzionej. Zaledwie wpadli do wigwamu, gdy za nimi wbiegł Waż Preryi. Walka trwała krótko, kordelas Adryana przeszył serce wodza.

Indianie, straciwszy wodza, poddali się dobrowolnie i prosili o pokój. Biali wypalili z nimi kalumet, fajkę nokoju, i wrócili do osady myśliwców.

W kilka dni potem, w czasie uczty wyprawionej obrońcom Loli, stary Lion wstał i rzekł:

„Przyjacielu Brissonie! Na uczczenie tej uczty pozwól, bym cię poprosił o rękę twej córki, Loli, dla mego syna, Adryana.”

A gdy Brissonowie zgodzili się na to, i młodzi siedli obok siebie, uszczęśliwieni pozwoleniem rodziców, obecni goście krzyknęli, podnosząc kielichy w górę:

„Niech żyje młoda para!”

Cudowne ocalenie

czyli

przygoda myśliwego w Labradorze.

W Ameryce Północnej na północ od Kanady leży kraina Labrador, obfita w jeziora, słynna z rychłych siarczystych mrozów i zawiei śnieżnych, oraz z mnogiej

zwierzyny, z której pochodzą rozmaite cenne futra. Wywóz też futer i skórek z Labradoru jest znaczny na rynki europejskie.

Zebrało się raz grono myśliwców angielskich, by zimą polować i zebrać nieco skórek, aby je potem dobrze spieniężyć. Myśliwi wzniesli sobie w lesie z grubych kłód drzewa szałas, aby mieć schronienie przed mrozem, dochodzącym do 45 stopni, oraz przed wichrami mroźnymi i zawiejami śnieżnymi. Szałas w północnym Labradorze nad brzegiem jeziora, długiego i szerokiego na jakie 35–40 kilometrów, zamieszkali nasi myśliwi i urządzali polowanie na psy morskie i różną zwierzynę celem zdobycia futer i skórek. Cała okolica pokryta lasami jest jakby stworzona dla myśliwców, w których gronie znajdował się też pewien doświadczony i wytrawny łowiec, nazwiskiem Atkinson. Zaden z myśliwców nie strzelał celniej od niego, nikt nie znał tyle przepisów i sposobów podchodzenia zwierzyny, co Atkinson, nikt też w obozowisku nie sprostował mu w opowiadaniu o rozmaitych przygodach, o jakie nie trudno myśliwcom w dzikich okolicach Labradoru.

„Otóż pewnego razu“ — zaczął Atkinson swoje zajmujące opowiadanie, — „po południu wziąłem strzelbę swoją na ramię i szedłem wzdłuż brzegu jeziora, nad którym obecnie polujemy; chciałem ubić jeszcze nieco zwierzyny na zapas. Jakkolwiek już nadchodziła wiosna, to jednak lód nadzwyczaj gruby pokrywał jeszcze zupełnie wody jeziora; zima bowiem była nadzwyczaj ostra i sroga. Nagle spostrzegłem wysoko w powietrzu nad sobą gromadę dzikich kaczek, lecących ku jezioru. Pobiegnąłem za nimi, spodziewając się, iż niebawem opuszczą się niżej. A mogłem tem więcej spodziewać się, iż mi się uda zbliżyć do nich, gdyż drobny śnieg, który poprzednio trochę popruszył, bardzo mi ułatwił kroki na śliskim lodzie. Tak się też stało. Wkrótce zbliżyłem się do kaczek na strzał. Wypaliłem z mej strzelby do gromady, która spłoszona zerwała się i chyżo odleciała. Dwie dzikie kaczki śrótem ugodzone, pozostały na lodzie. Jedną z nich podniosłem i przytroczyłem do torby myśliwskiej, gdy druga tylko lekko ranna w skrzydła przedemną szybko zaczęła umykać na nogach.

Gdy ja tak z 300 kroków gonił, spostrzegłem z wielkiem zdziwieniem, że lód woda pokrywała na 2–3 cali wysoko. Natychmiast zaprzestałem dalszej pogoni; niewątpliwie bowiem nadchodziła odwilż, a z doświadczenia wiedziałem, że w Ameryce zachodzą często nader nagle zmiany powietrza co do ciepła i lody na jeziorach i rzekach wcale nie rzadko nagle pękają i ruszają ku morzu.

Szeregi gęstych obłoków, które jeszcze przed chwilą sunęły spiesźnie po niebie, zaczęły się nagle zbijać i pokryły całe niebo. Wnet lunął deszcz urozmaicony wielkimi płatkami śniegu. Równocześnie tak się ściemniło i zaintrygowało powietrze, że nie mogłem brzegu jeziora rozpoznać. Uważnie rozglądałem się na wsze strony, by znaleźć właściwą drogę powrotu na ląd. Jednocześnie zmrok rósł z każdą minutą, a cisze pustej okolicy przerywał tylko raz po raz krzyk ptaka postrzelonego, który szybko oddalał się odemnie.

Zdawało się, jakoby miało zająć coś nadzwyczajnego. Nie śmiałem ruszyć się naprzód, ani wstecz, stałem jak przykuty do miejsca, — gdy nagle rozległ się dziwny trzask i huk przeciągły, który powoli doszedł do miejsca, na którym stałem jak skamieniały. Odezwwał się gdzieś w dali jakoby ciężki grzmot kilkakrotnie i pomruk dziwny, przytłumiony, poczem rozległ się trzask i loskot, tak że zdawać się mogło, iż brzegi skaliste jeziora w gruzy się rozpadną.

Nagle zadrżałem; — poczułem bowiem, że lód pod moimi stopami zaczął się chwiać i kołysać. Wtem rozwarła się skorupa lodowa w pobliżu z ogromnym hukiem, a z szerokiej szczeliny chlusiła woda spieniona w górę i wszystko wkoło mnie zalała.

Teraz nie było już czasu do stracenia. Spieszyłem co sił do brzegu, sądząc, iż idę w właściwym kierunku, — gdy nagle stanąłem jak wryty przed odpazeliskiem, jakie nieraz przerywa powłokę lodową. Powoli i ostrożnie obszedłem niebezpieczne miejsce i postanowiłem, skorom nieco ochłonął i odzyskał zinną krew, póty nie ruszyć się z miejsca, póki nie wyśledzę kierunku drogi powrotnej do brzegu, by ująć przed groźącym niebezpieczeństwem.

Dokąd jednak miałem zwrócić swe kroki? Darmo starałem się rozpoznać brzeg jeziora. Jedyne ucho moje chwytalo poszum i szelest gałęzi drzew, miotanych wichrem szalonym, który nagle zadał z południa. Wiedziałem więc, iż ląd jest tuż, tuż w pobliżu, — ale widzieć go nie mogłem, bo podmuchy wichru obсыpywały mnie śniegiem, gradem i potokiem deszczu, a takie ciemności zapanowały, że w końcu już sobie nie mogłem zdać z tego sprawy, dokąd mam dążyć, by dotrzeć do brzegu zbawczego.

Okropne było moje położenie! Błysła mi myśl do głowy, strzelaniem dać znać o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdowałem. Miałem tę nadzieję, że moi towarzysze usłyszą strzały i pospieszą mi na pomoc. Naprawdę jednak strzelałem kilkakrotnie! Nikt niestety nie zjawił się z pomocą; strzałów bowiem — o ile później o tem się dowiedziałem, nikt nie usłyszał, gdyż zagłuszył je zupełnie trzask i łomot konarów i gałęzi drzew,

miotanych wichrem, i wogóle pomruk i piekielne wycie i wrzawa rozpasanych sił w przyrodzie.

Tymczasem wznagał się wicher coraz bardziej, a raz po raz dochodził do moich uszu straszliwy trzask lodu pękającego na jeziorze. Zdawało się niekiedy, iż to huczy gdzieś grzmiot niedaleko. Lęk i zmęczenie odbierały mi czasami wszelką przytomność. Porzuciłem wkońcu swoją strzelbę, na ślepo pobiegłem pod wiatr i odczuwałem pewną rozkosz w tem, że mogę walczyć i zmagać się z wichurą. Wszędzie trzeszczał lód pod moimi stopami, a śmierć zaglądała mi w oczy bezustannie bez względu na to, czym stał na miejscu lub też uciekał jak szalony. Tymczasem noc zapadła na dobre. Wycieńczony znużeniem i przestracchem otuliłem się płaszczem i ległem jak długi na lodzie, którego okowy pryskały pod naporem wód wzburzonych. Około północy nagle znowu nastąpiła zmiana powietrza. Wicher się uspokoił, ciemne obłoki gdzieś się rozprzerzły, a księżyc zaśwycił światłem bładawem. Trzask i huk pękającego lodu jednak trwał jeszcze ciągle dalej, aż po kilku godzinach uczułem, iż lód podemną zaczyna się kołysać i poruszać. Zerwałem się strwożony na równe nogi, obejrzałem się naokoło siebie i spostrzegłem, że niedaleko odemnie na jeziorze ruszyły lody i wznosiły się i opadały bałwany na powierzchni wody.

Na ten widok uczułem zawrót głowy: wszystko zaczęło wirować wkoło mnie z niepojętą szybkością. Wiatr, który znowu zaczął dać z wrażliwą siłą, światła mi koło uszu, a loskot, trzask i zderzanie się kawałów kry były okropne. Często pochylały się ku sobie dwie wielkie bryły lodowe, tworząc olbrzymią ścianę, która jednak parta i miażdżona przez inne kawały kry, rozsypywała się z przeraźliwym hukiem. W ten sposób już po kilku minutach na powierzchni jeziora powstał nieopisany zamęt i straszliwa walka wśród kry zderzanej i miażdżonej się wzajemnie.

Pole lodowe, na którym się znajdowałem, nie było zbyt małe. Wielkie kawały lodu spietrzone po bokach i wypchnięte w górę przez uapór kry, spadały z hukiem na nie. Stałem na środku kry i z trwożą przypatrywałem się temu wszystkiemu, co się naokoło mnie działo.

Niebawem zadał wicher znowu gwałtownie i pędził krę z szaloną szybkością ku ujściu jeziora, z którego wypływała rzeka szerokim łożyskiem.

To mi dodało otuchy; teraz bowiem zbliżałem się coraz więcej ku brzegom jeziora.

Nagle jednak wielka kra, na której płynąłem, uderzyła gwałtownie o zwal lodowy z taką siłą, że straciwszy równowagę, potoczyłem się, padłem jak długi i nieomal byłbym runął w jezioro. Z znacznym

wysiłkiem pobierałem się, doczołgałem się do środka swej tratwy lodowej i spostrzegłem z radością, że już wypłynąłem z jeziora i znajduję się na rzece. Wzdłuż brzegów jej jeszcze lód nie ruszył, który w niektórych miejscach dochodził prawie do środka rzeki. Zbliżałem się widocznie do krawędzi lodu na rzece. W sam raz dotarła moja kra do tegoż i nastąpiło też zderzenie.

Nie tracąc ani chwili napróżno, skoczyłem z wielkiej kry na lód, pokrywający jeszcze rzekę po brzegach. Szybkiem i lekkim krokiem popędziłem ku brzegowi, lękając się stapać zbyt mocno, by lód na rzece czasem nie zarwał się podemną. Wkońcu też udało mi się szczęśliwie dotrzeć do tak upragnionego ładu.

Dnię już zaczęło, ale nigdzie nie zauważyłem ani śladu ludzi lub zwierząt. Niezmierne lasy otaczały mnie zewsząd, a nie chcąc zabłądzić, nie odważyłem się iść w las. Szedłem więc brzegiem rzeki i zauważyłem po godzinie pochodu dym unoszący się po nad konarami drzew. Natychmiast poszedłem w tym kierunku i wnet spostrzegłem gromadkę Indian, czerwonoskórców, którzy przykucaeli w koło płonącego ogniska.

Skorom się zbliżył, przyjęli mnie z widoczną nieufnością i niechęcią. Pomimo to przysiadłem się do nich i odezwałem się w różnych narzeczeniach indiańskich, jakie tylko znałem. Wkońcu udało mi się przemówić do nich zrozumiale i opowiedzieć im swoją przygodę niebezpieczną na jeziorze.

Gdy wszyscy im opowiedział, spojrzeli na mnie wszyscy z nieufnością i znakami dali mi do zrozumienia, iż mi nie wierzą. Po tylu trudach byłem też ogromnie wyglodzony. Poprosiłem ich zatem o kęs pożywienia. Po krótkiej naradzie podano mi kawał suszonego mięsa. Uczynili to jednak z pewną niechęcią, co wcale nie zgadzało się z uczynną gościnnością, z jakiej słyną Indianie.

Gromadka Indian liczyła 5 mężczyzn, 2 kobiety i dwoje dzieci. Wszyscy koczowali przy ognisku płonącem i milczeli zawzięcie. Jeden z Indian wlepił we mnie długie i przenikliwe spojrzenie, tak że zacząłem obawiać się tego spotkania z czerwonoskórcami. Zdawało się, iż mnie ów młody Indianin zna, jakkolwiek nie mogłem sobie wcale przypomnieć, czy go niegdyś gdzieś już widziałem. Zapewnie widział ów Indianin we mnie jakiego wroga.

Po upływie godziny zabrali się Indianie do dalszego pochodu i ruszyli w las, nie mówiąc do mnie ani słowa. Spostrzegłem zaraz, iż nie chcą się wdawać ze mną. Pomimo to prosiłem najstarszego z nich, którego ubiór wskazywał jako naczelnika, aby mi pozwolił iść za nimi, gdyż nie chciałbym zabłądzić w lesie.

Naczelnik Indian przystanął, spojrzął na mnie

ozieble i rzucił szybko pytanie: „Gdzie twa strzelba? Gdzie twój nóż? Gdzie twój tomahawk (toporek)?”

„Zgubiłem wszystko na lodzie jeziora“, odparłem. „Strzeż się“, mówił dalej Indyanin, „rozniewać bostwo nasze, wielkiego ducha, twemi kłamstwami. Człowiek ten, który ci się tak badawczo przypatrywał, zna ciebie. My też wiemy, czem jesteś. Przyszedłeś tu, aby z nami handlować, i niewątpliwie gdzieś w pobliżu ukryli się twoi towarzysze. Oddal się! Boimy się białych ludzi; wiemy bowiem, że nam zgubę gotują. Nie ma nikogo wśród nas, któryby chciał upić się waszą wodą ognistą (wódka). Oddal się, a nikt z nas nie uczyni ci nie zlego.“

Nie wiedziałem z początku, co właściwie mam odpowiedzieć na te przymówki. Powtórzyłem jednak raz jeszcze moje opowiadanie o mojej przygodzie na jeziorze i zapewnilem Indyan, że nikogo z mych towarzyszy nie ma w pobliżu, i że nigdy nie miałem zamiaru szkolenia Indyanom.

Dziki słuchał mnie uważnie; zdawało się, iż mnie nie posiada o kłamstwo. Zbliżył się też ów młody Indyanin, który mi się tak badawczo przyglądał i rzekł: „Niechaj cudzoziemiec idzie z nami! Duch mego ojca gniewałby się na mnie, gdybym go opuścił i nie dał żadnej pomocy. Idźcie za radą Katarewy.“

Słowa owego Indyanina brzmiały przyjacielsko; ale z oczu jego wyzierała taka nienawiść, że przejmowała mnie obawa o własne bezpieczeństwo. Naczelnik, zdawało się, że jeszcze namyślał się nad całą tą sprawą. W końcu jednak skiwnął ręką na znak, iż mogę iść za nim. Zaraz też ruszyli Indyanie w dalszy pochód.

W gęstym lesie nie było widać ani śladu drogi lub ścieżki, a jednak wódz czerwonoskórców wiódł nas śmiało przez największy gąszcz. Podczas tego pochodu nie mówiono ani słowa, i tylko szelest liści, deptanych naszymi stopami, przerywał ciszę puszczy drzemiącej. Widma głodu już nie obawiałem się, idąc w towarzystwie Indyan; jedynie zaczęła mnie niepokoić obawa, czy też Indyanie nie oddalają się od nas, o szalasu, iż się do niego zbliżamy. Nawet pod wieczór zaczęło mi się zdawać, iż okolica, przez którą prowadził nas wódz Indyan, stawała się coraz dzikszą i nieznaną.

Poócz tej troski dawało mi się też we znaki ogromne zmęczenie, które co krok stawało się coraz większe. To też z największym wysiłkiem włókłem się za Indyanami, a stracić ich z oczu nie chciałem, by nie zabłądzić zupełnie w dziewiczym lesie Labradoru.

Zatrzymano się w końcu dopiero po zachodzie słońca. Indyanie rozbili spieszenie namiot, a Indyanki wznieciły ogień. Jedu z Indyan wypatroszył sarnę w ciągu

dnia ubita, odarł ją ze skóry i przygotował całą ćwiartkę na pieczeń, którą upieczono nad wolnym ogniem. Każdy otrzymał kawał pieczeni na wieczrę. I mnie się dostał spory kawał tejże do zaspokojenia głodu. Żaden jednak z Indyan nie chciał do mnie przemówić.

Po wieczery zabrali się Indyanie do palenia tytoniu i ziół jakichś z fajek, co czynili w milczeniu głębokiem. Następnie pokładli się na skóry i futra zwierząt upolowanych i otulili się niemi, by wypocząć i snem się pokrzepić. Ja zaś opodał siadłem na pniu drzewa powalonego wichrem, — spać bowiem nie mogłem. Dręczony jakimś dziwnym, niewytłómaczonym lękiem, Przesiedziałem tam na pniu może z godzinę, trapiiony smutnymi myślami, gdy nagle wysunął się z namiotu jeden z Indyan i oglądając się ostrożnie dokoła, zbliżył się do mnie. Skoczyłem na równe nogi. Indyanin jednak dał mi znak, abym był spokojny. Potem schwytał mnie za rękę i pociągnął za sobą w las. Skoro spostrzegł, iż żaden z jego towarzyszy nie śledził nas, zaczął dosyć spiesznie zemną uchodzić, a gdyśmy oddalili się przeszło pół mili od koczowiska, Indyanin zatrzymał się na pagórku zemną i rzekł: „Mój brat biały wyświadczył mi wiele dobrego; Utalissi jest wdzięczny.“

„Czemu mnie wyprowadziłeś w las daleko od braci swych?“ — zapytałem się zdziwiony osobiwem zachowaniem się młodego Indyanina.

„Tutaj jeszcze nie jesteśmy bezpieczni“ — odrzekł Utalissi, — „trzeba nam jeszcze dalej uciec, zanim pomówię z Tobą“.

Szliśmy potem przeszło 2 godziny przez las; wreszcie zatrzymał się Utalissi, położył się jak długi na ziemię i wezwał mnie, abym to samo uczynił. „Teraz słuchaj“, — rzekł Indyanin, — „i zgadnij, czemu z Tobą uciekłem. Niechybnie byłby Takaweri ciebie zabił, gdybyś był pozostał. Twierdzi bowiem, że należysz do narodu, z ręki którego padł ojciec jego lat temu kilka, i że musi śmierć jego pomścić na białych, jacy wpadną w jego szpony. On też sprowadził wodza, że oddał się z Tobą od twoich towarzyszy. Dziś miało się to znowu powtórzyć, a wieczorem miano ciebie zamordować.“

Przez chwilę oniemiałem z zadziwienia; wnet jednak zapytałem Indyanina, dla czego tyle troszczy się o mnie, nieznajomego, i wystawia się sam na wielkie niebezpieczeństwo.

„Nie jesteś mi nieznanym“, — mówił Utalissi, — „ocaliłeś mnie raz, to też odwdzięczam się tylko; chce ci życie ocalić i nie cofnę się przed żadnym niebezpieczeństwem. — Czyż nie znalazłeś przed dwoma laty młodego Indyanina w lesie ciężko rannego obok upolowanego niedźwiedzia?“

„Tak, to prawda“, — odrzekłem, — „młody ten In-

dyanin upolował niedźwiedzia, który broniąc się zadał jemu okropne rany. Niechybnie byłaby go krew uszła, gdybym nie był nadszedł z jednym z swoich współmyśliwców.“

„Tym młodym Indyaninem“, — rzekł Utalissi, — „byłem ja. Tyś mnie dźwignął na ramiona i zaniósłes do swego mieszkania. Tyś opatrzył moje rany i pielęgnowałeś mnie, póki nie wyzdrowiałem. I to wszystko uczyniłeś, chociaż przyjaciel twój drwił z ciebie, że tyle trudu sobie zadajesz, by wyleczyć czerwonoskórca. Teraz jednak cieszy się czerwonoskóry, że może się odwdzięczyć swemu białemu bratu.“

„Utalissi“, — rzekłem wzruszony, ściskając dłoń Indyanina, — „jesteś szlachetnym człowiekiem. Ale ty się narażasz na wielkie niebezpieczeństwo. Cóż powie Tokaweri, gdy spostrzeże, iż mnie obroniłeś przed jego zemstą?“

„Tokaweri“ — odpowiedział Indyanin, — „gotów mnie zabić, gdyby to tylko mógł uczynić. Ale obroni mnie naczelnik i moi ziomkowie, skoro im wytłumaczę, dla czego ciebie ocaliłem. Teraz jednak spieszmy do twoich towarzyszy polowania, by nas nie schwytano!“

I stało się tak, jak mówił Utalissi. Pod wieczór przybyliśmy do myśliwców; wszyscy ogromnie się ucieszyli i powitali mnie radośnie. Sądziłem bowiem, że żywego już mnie nigdy nie ujrzą. Ja zaś Bogu dziękowałem, że mnie dwa razy ocalił od śmierci. Za pomoc nie chciałem wieru Indyanin przyjąć żadnego podarku. Dwa lata później krótko przed wyjazdem moim do Europy, spotkałem się znowu z Indyaninem, który mnie ocalił. Niejedną przykrość musiał on znieść, bo Tokaweri nie mógł mu wybaczyć, iż mnie ocalił. Po śmierci jednak starego naczelnika, Utalissi, mój wybawca, został sam wybrany naczelnikiem swego plemienia“.

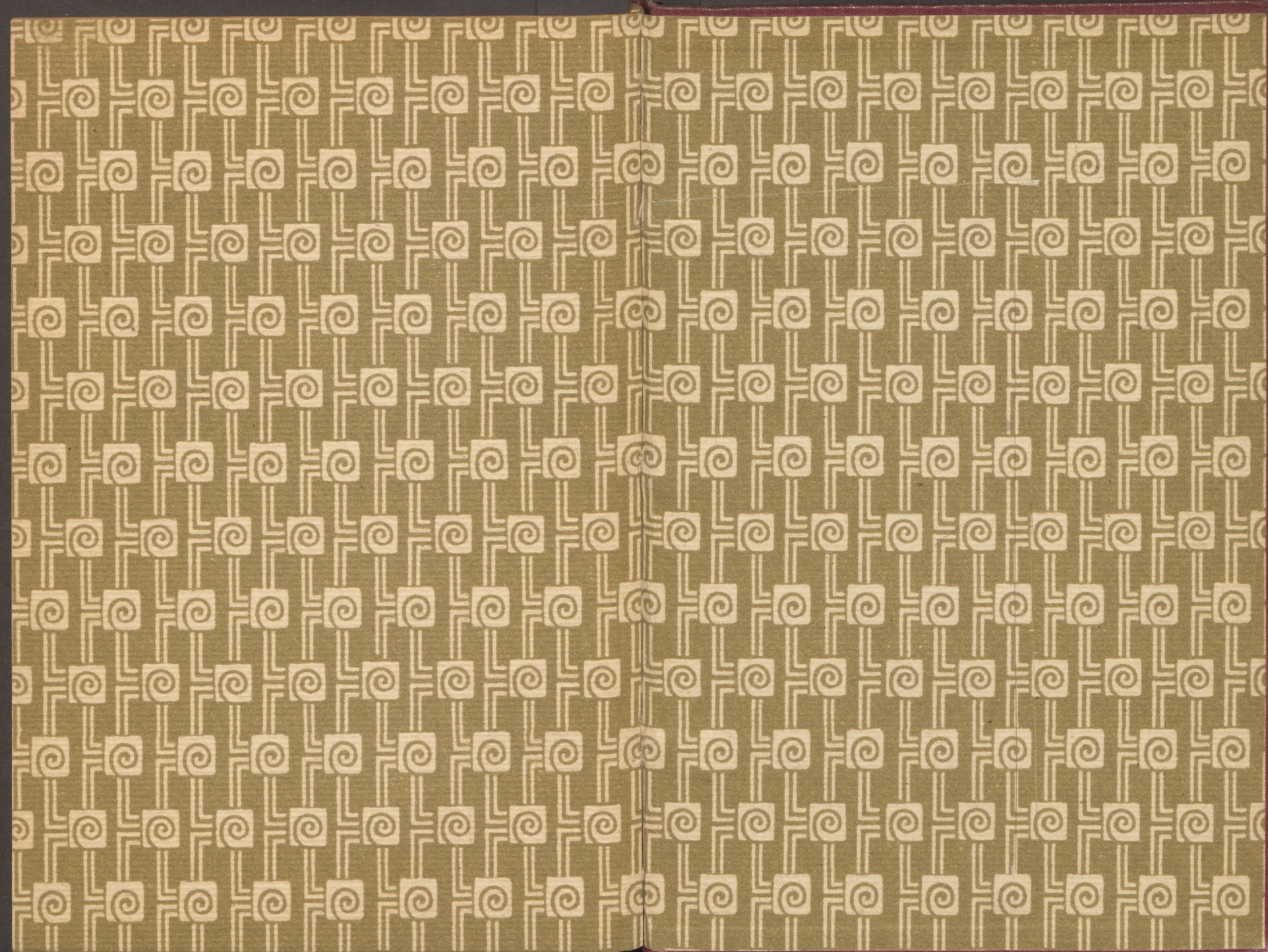


Biblioteka Główna UMK



300040837139

824010 367 P2
1501



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

824010

Biblioteka Główna UMK



300040837139